

CZAR I CZARY SYDONII * NA PRZEKÓR KLĄTWIE
NA ZIMĘ PRZYSZLI, NA ŚNIEGI * ZWARCIE NA REMIS

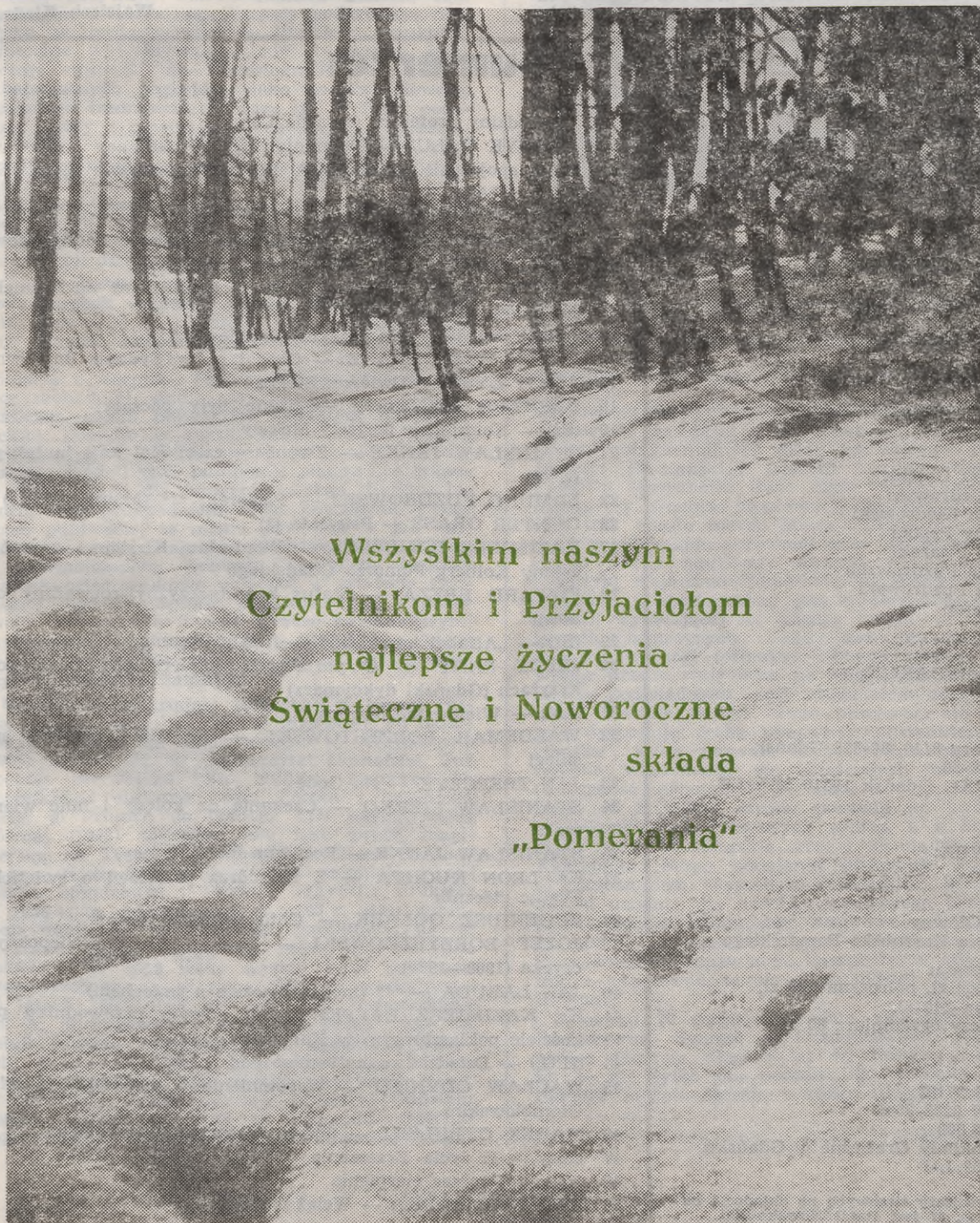
POMERANIA

MIESIECZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

GRUDZIEŃ

1986

12



Wszystkim naszym
Czytelnikom i Przyjaciółom
najlepsze życzenia
Świąteczne i Noworoczne
składa
„Pomerania”

Drodzy Czytelnicy!

Wkraczamy w Nowy Rok, a w „Pomeranii” jeszcze nie przedstawiliśmy wydarzeń KASZUBSKIEJ JE-SIENI. A przecież byliśmy w październiku na XVI KASZUBSKO-POMORSKICH SPOTKANIACH WDZYDZKICH („Kaszubi wobec przyszłości”) i na I COLLOQUIUM GDAŃSKIM, którego temat zain-spirowało 800-lecie kaszubskiej nekropolii w Oliwie. Oglądaliśmy towarzyszącą mu wystawę kaszubskiej rzeźby ludowej SACRUM i CZŁOWIEK oraz oklaski-waliśmy wspaniałą III KONCERT GALOWY folklo-rystycznych zespołów z Leżna, Chmielna, Hopowa, Kartuz („Kaszuby” i „Modraki”), Koleczkowa, Tcze-wa i Sierakowic. W listopadzie uczestniczyliśmy w VII SPOTKANIACH PELPLIŃSKICH poświęconych kultowi maryjnemu na Kaszubach i Pomorzu, a także w SESJI XXX-LECIA ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO, na której gorąco oklaskiwano pre-legentów — prof. Gerarda Labudę i red. Tadeusza Bolduana.

Imprezy te omówimy w kolejnych numerach „Po-meranii”, zaś kilka referatów przedstawimy w ca-łości, gdyż ich treści są ważne dla naszej samowiedzy

historycznej i dla rozwoju współczesnej myśli regio-nalnej.

Jesień obfitowała w nie tylko dobre wydarzenia. Znany jest mi tryptyk Stanisława Kubiaka w war-szawskiej „Kulturze” (nr 42, 43 i 44). Tekst ten w zarzutach pod adresem Zrzeszenia jest swoistą kalką insynuacji znanych z łamów dawnej „Rzeczywistości”, a szereg wręcz obraźliwych sformułowań o Kaszubach ilustruje wyraźną niezgodę na wartości wyznawane przez gremia Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

„Wypadkiem przy pracy” należałoby nazwać zupeł-nie kuriozalne wynurzenie Małgorzaty Dzieduszyckiej na łamach stołecznego „Przeglądu Katolickiego” (nr 43). Jej osąd Kaszubów jest przykładem niespotykanej arogancji i zadufania w traktowaniu poznanej tylko powierzchownie społeczności.

Wzmiankuję o tych artykułach, by utwierdzić Czytelników w przekonaniu, że „Pomerania” zna je. I nie będziemy udawać, iż nic się nie stało. Osobiście ciekaw jestem odzewu inteligencji polskiej. Czy Ka-szubi, jako społeczność, mogą liczyć na reakcje co najmniej środowisk opiniotwórczych?

Wkraczamy w Nowy Rok...

Wojciech Kiedrowski

Rok zał. 1963

Nr 12 (164)

W numerze:

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Zbigniew Gach
Henryk Galus
Stanisław Janke
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Krystyna Puzdrowska
(sekretarz redakcji)
Edmund Szczesiak

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

Eugeniusz Gołabk
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
Stanisław Pestka
Barbara Pisarek
Krystyna Puzdrowska
Edmund Puzdrowski
Jerzy Samp

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10, 80-828 Gdańsk
tel. 31-36-56
Konto PKO Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

Zarząd Główny
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Prenumerata:
roczna 960 zł, półroczna 480 zł,
kwartalna 240 zł.
Pojedynczy egzemplarz 80 zł.

INDEKS 37193
PL ISSN 0238-9045
Nakład 3.800
Druk. Zakłady Graficzne w Gdańsku
Zam. 1952 L-1

Autorem pejzaży zimowych na okładce i na s. 32, 33, 34, 37 jest Rafał Nowakowski

- 1 70 urodziny profesora Gerarda Labudy
- 2 HENRYK GALUS — Podmiotowość
- 3 Inne spojrzeń. Z MARIĄ KOPEĆ rozmawia EDMUND SZCZESIAK
- 5 ZBIGNIEW GACH — Zwarcie na remis
- 7 STANISŁAW PESTKA — Czarowé ogniszcze rodny mowé
- 9 JAN LIPUSKI — IX Seminarium Kaszëbszczié
- 10 MAREK LATOSZEK — Czy „socjologia Ziem Zachodnich” jest znów obecna?
- 12 JERZY SAMP — Na przekór klątwie
- 14 EDWIN ROZENKRANZ — Czar i czary Sydonii Borkówny
- 15 JERZY ŁYSK — Dwiérze; Stegna
- 16 BERNARD SZCZĘSNY — Takie były początki
- 19 (Sz) — Kaszubskie portrety Mokwy
- 21 STANISŁAW JANKE — Zwóné sę czëc; Kol naji ju tak je (s. 40)
- 22 EDMUND FUZDROWSKI — Paciorek; *** (Mamy już po)
- 23 GÜNTER GRASS — Psie lata (8)
- 27 KAZIMIERZ ICKIEWICZ — Władysław Kirstein — współ-czesny Kolberg Pomorza Gdańskiego
- 28 EDWARD BREZA — Status kaszubszczyzny rozważany od nowa
- 29 (Sz) — „Alfabet kaszubski” — film o trwaniu
- 30 JERZY SAMP — O partaczach, papierniach i czarnych krzyżach (Gdański dykcjonarz)
- 31 E.M. — Wielewskie dzwony
- 32 WALDEMAR BORZESTOWSKI — Na zimę przyszli, na śniegi
- 33 JAN TREPCZYK — Na Godë
- 34 STANISŁAW SIERKO — Czekanie na kolędy i inne wier-sze
- 35 STANISŁAW JANKE — Rocznica (obróz trzeci)
- 37 Ks. LEON KUCHTA — Z kalędôrza przësłowi o świętich. Miesąc stëcznik
- 38 EUGENIUSZ GOŁABK — Chto wënalôżł kôło?
- 39 JÓZEF BORZYSZKOWSKI — Eryka Morzycka-Niepokoy-czycka (1908—1986)
- 40 JAN LABUDA — *** (medzë placzem a smiechem)
- 41 Ks. KAZIMIERZ RAEPKE — O nowym przewodniku po kościele poklasztornym w Kartuzach
- 43 (H.G.) — Dziedzictwo kulturowe pod ochroną
- 45 WACŁAW ODYNIEC — Wspomnienie o profesorze Karolu Głombiowskim
- 46 MAREK CYBULSKI — Język Pomorza Zachodniego
- 47 Listy * Z życia Zrzeszenia * Dary (s. 30) * Kleka
- 49 (s.j.) — Poprzez cierpienie
- 50 EWA SZUMAŃSKA — Wciąż u siebie

70 urodziny profesora Gerarda Labudy

Istnieją uczeni, którzy angażując inwencję w rozwiązywanie zagadek naukowych, porywają innych oryginalnością myśli, szerokością horyzontów, nowatorstwem wniosków. Do takich należy największy ze współczesnych pomorzoznawców, profesor Gerard Labuda, który 28 grudnia br. kończy 70 rok życia.

Jedni nazywają Go rewidentem historii, inni genialnym intuicjonistą. Wszyscy podkreślają perfekcję w posługiwaniu się literaturą naukową, umiejętne wyluskiwanie z niej rozwiązań, krytyczny stosunek do historiograficznych legend i bałamutnych poglądów. Jako badacz (głównie) wczesnego średniowiecza, stara się Profesor podprzeć każdy z przedstawianych obrazów przeszłości solidną konstrukcją miarodajnych źródeł, przy czym na szczególną uwagę zasługuje tu świeżość sądów. Twórcze podejście do współczesnych osiągnięć metodologii nauk społecznych sprawia, że podstawową właściwością Jego warsztatu badawczego jest nieustające doskonalenie sposobu rekonstrukcji dziejów.

Gerard Labuda należy do grona uczonych, których dorobek naukowy — od strony problematyki badawczej — obejmuje wiele dziedzin, między innymi: proces kształtowania się państwa polskiego, dzieje Słowiańszczyzny Zachodniej oraz Pomorza z Warmią i Mazurami, losy polskiej granicy zachodniej, studia metodologiczne i historiograficzne, studia poświęcone dydaktyce uniwersyteckiej. Ponadto w zakres zainteresowań Autora wchodzi praca źródłoznawcza (włącznie z wydawaniem źródeł) oraz publikacje stanowiące pomoc dydaktyczną dla uniwersyteckiego studium historii. Nie przypadkiem więc powiedział swego czasu publicznie, że mistrz powinien w jak najszerszym stopniu służyć młodzieży swą wiedzą i doświadczeniem, krzesząc optymizm twórczy i przekazując naukową pałeczkę w sztafecie swobodnej dyskusji. Sposób zachowania się i dokonywania twórcze były i będą zawsze najsilniejszymi czynnikami wychowawczymi — oto dewiza, którą Profesor stosuje co najmniej od lat czterdziestu, czyli od momentu habilitacji.

Urodził się 28 grudnia 1916 roku w Nowej Hucie, pow. Kartuski, w rodzinie gburkiej. Po ukończeniu gimnazjum klasycznego w Wejherowie (1936) zapisał się na Uniwersytet Poznański. Już podczas pierwszego roku studiów historycznych opublikował obszerną pracę *Polska i krzyżacka misja w Prusach do połowy XIII wieku*, którą później (1942) zaliczono Mu jako pracę maderską na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodniej w Kielcach. Podobnie rzecz się miała z rozprawą *Magdeburg i Poznań*, ogłoszoną drukiem w 1938 r., a potraktowaną w 1943 r. jako dysertacja doktorska. W 1946 roku habilitował się na podstawie dzieła *Studia nad początkami państwa polskiego*. W 1950 roku uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w roku 1956 — zwyczajnego. W latach 1962—1965 był rektorem Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Przez wiele lat pełnił funkcję wicedyrektora i dyrektora Instytutu Zachodniego, sekretarza generalnego i prezesa Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W 1972 roku został wybrany prezesem Oddziału Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu. Obecnie pełni funkcję wiceprezesa PAN, kierując jedno-



ześnie od lat Zakładem Historii Pomorza (podlegają mu pracownie w Poznaniu, Toruniu i Gdańsku). Za swą działalność naukową Profesor otrzymywał wielokrotnie nagrody państwowe i inne oraz wysokie odznaczenia, a także to najważniejsze dla naukowca — doktorat honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. Opublikował blisko 1500 artykułów i recenzji oraz szereg większych pozycji monograficznych. Jest współredaktorem kilku fachowych czasopism oraz redaktorem naukowym takich monumentalnych dzieł, jak *Słownik starożytności słowiańskich* (siedem tomów), *Historia Pomorza* (dotychczas dwie części w czterech tomach) czy *Historia dyplomacji polskiej* (dotychczas trzy opasłe tomy). Mimo natłoku wielu innych zajęć znajduje również czas na przewodniczenie radzie naukowej Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie.

Profesor Labuda znany jest z olbrzymiej ruchliwości, wyrażającej się między innymi w inicjatywach badawczych. Jako szef, minimalizuje wszelkie wymogi formalne i biurokratyczne, stawiając przede wszystkim na osiągnięcia naukowe swych podwładnych. Jest znakomicie zorganizowany. Zawsze bardzo wiele pracował, ale poza tym dysponuje cechą nazywaną „instynktem historyka”, która pozwala szybko odszukiwać potrzebne wiadomości we właściwych miejscach. Opatrzność wyposażyla Go także w wyborną pamięć, co z jednej strony pozwala na swobodę w dokonywaniu naukowych syntez, a z drugiej ciągle łączy profesorskie serce z ziemią ojców — Kaszubami. Mimo oddalenia utrzymuje kontakt ze Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim, które w dowód uznania dla dorobku naukowego przyznało Profesorowi członkostwo honorowe, a Pomoranie, oczywiście, Medal Stolema. Z krajanami Profesor chętnie rozmawia po kaszubsku, a jeśli wyjeżdża wczasować, to nie gdzie indziej, tylko pod Kartuski.

Z okazji 70 rocznicy urodzin składamy Panu Profesorowi, Synowi i Orodownikowi Kaszub, gorące życzenia długich lat w zdrowiu i radości — nie tylko dla pomnażania osiągnięć, lecz również zażywania czasem z różką uszczka tabaczi.

REDAKCJA

Punkty widzenia PODMIOTOWOŚĆ

Henryk Galus

Tadeusz Bolduan, wierny swemu publicystycznemu temperamentowi, w dyskusji panelowej na temat „Kaszubi dzisiaj”, która była już relacjonowana na łamach „Pomeranii” i „Gwiazdy Morza”, bardzo jednoznacznie charakteryzował społeczność Kaszub, jej cechy psychospołeczne, postawy i zachowania, a nawet orientację światopoglądową, stosunek do ideologii i polityki. We właściwym sobie stylu, rzeczowym i zwięzłym, sformułował tezy istotne.

Twierdził więc, że Kaszubi są religijni, Kościół katolicki cieszy się wśród nich szacunkiem i autorytetem, na ogół dają posłuch duchowieństwu, ale nie zawsze. Przyznawał, że nie mają oni przekonania do oficjalnej ideologii i w ogóle do jakiegokolwiek ideologii politycznej. Są mało aktywni pod względem politycznym, nie rozpirają się łóckami i nie windują się przez koterie.

Tę lapidarną charakterystykę, sformułowaną przez autora, któremu trudno odmówić znajomości opisywanej społeczności, należy niewątpliwie uznać za usprawiedliwioną, co nie znaczy, że nie budzącą wątpliwości i zastrzeżeń. Zwłaszcza, że tezy zostały ujęte dość ogólnie, autor ich nie rozwinął ani nie uzasadnił.

Myślę, że są to sprawy do dyskusji, która powinna się dalej toczyć, gdyż jest potrzebna, chociaż trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że chyba nie ma dla niej jeszcze w pełni odpowiedniego klimatu, a nawet pewnych niezbędnych warunków. Mimo tych ograniczeń, podjęcie przynajmniej niektórych wątków nader złożonego kompleksu zagadnień może być celowe i pożyteczne.

Pierwsza refleksja, jaka nasuwa się na marginesie się twierdzeń T. Bolduana, to uznanie adekwatności znacznej ich części nie tylko względem społeczności kaszubskiej, ale również społeczeństwa całego kraju. Inaczej mówiąc, zjawiska, o które tu chodzi, nie są właściwościami wyróżniającymi tylko wymienioną zbiorowość regionalną, lecz charakterystycznymi dla zbiorowości krajowej w ogóle. Różnic można by się dopatrywać raczej w stopniu intensywności tych zjawisk, co już jednak trudniej wyrazić w sposób bardziej konkretny.

Zastrzeżenie takie wobec tez Bolduana wydaje się istotne. Wskazuje ono bowiem na istnienie związku między tym, co dzieje się w zbiorowości lokalnej i ogólnokrajowej, pomimo występujących różnicowań i odrębności. Region kaszubski nie jest tu wyjątkiem, choć bardziej niż inne regiony wyróżnia się cechami specyficznymi swej zbiorowości społecznej. Związek ten widać zarówno na przykładzie trwałości kultury tradycyjnej oraz roli religii katolickiej i instytucji Kościoła, jak też perturbacji towarzyszących asymilacji, a zwłaszcza narzucaniu wartości i wzorów społeczno-kulturowych z zewnątrz w naszych czasach.

I zdolność do trzymania się tego, co sprawdzone i swojskie, i oporność wobec rzeczy nie tyle nowych, co narzuconych oraz nie odpowiadających kryterium racjonalizmu zdroworozsądkowego, wynikającego z poziomu cywilizacyjno-kulturowego, to raczej cechy nieco silniej zarysowane w społeczności kaszubsko-pomorskiej niż w innych zbiorowościach re-

gionalnych kraju, ale tam także przecież obecne, choć w mniejszym stężeniu. Przystając na taki pogląd, trzeba jednak mieć na uwadze, że są to zjawiska niemierzalne i rozbieżność ocen może być nawet dość znaczna.

Na nieco szerszą refleksję zasługują twierdzenia T. Bolduana przypisujące charakteryzowanej przezeń społeczności brak przekonania do jakiegokolwiek ideologii politycznej i małą aktywność polityczną. Można by potwierdzić znaczny zakres adekwatności tych tez, poszerzając również ich odniesienie do znacznie większej zbiorowości. Jednak gdyby na tym poprzestać, byłoby to duże uproszczenie skomplikowanych skądinąd zjawisk, które wymagają bardziej analitycznego podejścia.

Deklarowanie identyfikacji z ideologią polityczną w ogóle jest zjawiskiem ograniczonym w zasadzie do ludzi z kręgu elity intelektualnej i politycznej, którzy te ideologie przyswajają głównie rozumowo, chociaż także emocjonalnie. Natomiast manifestowanie identyfikacji z ideologią polityczną w skali masowej jest raczej wydarzeniem rzadkim, pojawiającym się w sytuacjach poniekąd wyjątkowych. Jest ono wówczas oparte na podstawie nie tyle intelektualnej, co emocjonalnej. Nawet niezbyt masowe partie polityczne mają często duży kłopot z przekazaniem ogółowi członków nie tylko subtelności akceptowanych ideologii, ale nawet podstawowych założeń.

Ideologie polityczne przenikają w głąb potocznej świadomości społecznej nie w postaci całych systemów, lecz raczej ich elementów, a więc konkretnych wartości, idei, haseł oraz wzorów życia zbiorowego i osobniczego. Identyfikacja z nimi znajduje wyraz raczej nie w deklaracjach i manifestacjach symbolicznych, lecz w czynach, w działaniu, w postępowaniu na co dzień. Zachowania polityczne, głębiej motywowane ideologią, a nie powodowane spontanicznymi odruchami, wymagają dłuższej tradycji funkcjonowania instytucji demokratycznych umożliwiających ekspresję obywatelskiej podmiotowości.

Ludzie dzisiejsi rzeczywiście nie mają przekonania do ideologii politycznych, ale głównie dlatego, że odczuwają brak ideologii przekonujących i skutecznych, odpowiadających ich potrzebom i dążeniom. Są krytyczni i nieufni [— — —] art. 2 p. 2 Ustawy z 31 VII 1981 r. o kontroli publikacji i widowisk (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. Dz. U. z 1983 r. nr 44, poz. 204).

Rozczarowania do ideologii i kryzysy ideologii, czego doświadczamy z powodu ich nieskuteczności bądź dekoracyjnego lub manipulacyjnego wykorzystania przez siły polityczne, nie przekreślają jednak w ogóle zapotrzebowania społecznego i jednostkowego na ideologie. Wyrazem tego jest chociażby zainteresowanie dla wartości trwałych, pielęgnowanych przez instytucje regionalne z długą tradycją czy też zainteresowanie ideami i normami z tych nurtów filozoficznych, których nie skompromitował doraźny obieg polityczny i propagandowy. Z tych fundamentów, a także z nowych dociekań nad dzisiejszym światem oraz społeczeństwem i jego potrzebami zapewne wyrastać będą nowe ideologie jako humanistyczne środki racjonalizacji życia zbiorowego i jednostkowego.

Zarówno poszukiwanie ideologii i identyfikacja ideologiczna, jak i aktywność polityczna, to w istocie rzeczy różne formy przejawiania się podmiotowości ludzi i całych zbiorowości. Mała aktywność polityczna, to mała podmiotowość. Aktywność polityczna to bowiem nic innego, jak udział w rozstrzyganiu spraw zbiorowości społecznej dla dobra jej członków i całej wspólnoty, to udział w sprawowaniu władzy, w jej kreowaniu i kontroli nad nią, w określaniu treści jej zadań. Oczywiście mowa tu o udziale rzeczywistym, a nie pozornym. Rezygnacja zatem z tego rodzaju aktywności jest w istocie rzeczy rezygnacją z własnej podmiotowości, z obywatelskich uprawnień. To po prostu wyzbycie się indywidualnej autonomii, samodzielności i niezależności, to zgoda na podporządkowanie się z góry.

Jednakże stwierdzając fakt dużej czy małej aktywności politycznej zbiorowości społecznych i jednostek, nie można pominąć kwestii warunków odpo-

wiednich dla takiej aktywności. Nie jest ona bowiem tylko sprawą woli i predyspozycji, lecz właśnie także warunków, jakie dla jej przejawiania się są niezbędne.

Jednym z najbardziej podstawowych warunków aktywności politycznej jest gwarancja bezpieczeństwa osobistego dla uczestników życia politycznego. Ryzyko zagrożenia i naruszenia tego bezpieczeństwa oczywiście bywa podejmowane, czasem nawet w skali masowej, gdy wytworzy się sytuacja zwana rewolucyjną lub spontanicznym protestem i do głosu dojdzie determinacja, a więc niezwykle silne napięcie woli zbiorowej i jednostkowej. Natomiast w warunkach bardziej ustabilizowanych działaniem represyjnym tego rodzaju ryzyko są skłonne podejmować grupy osób o silnej motywacji i zdolności do poświęceń. Większość liczy się z zachowaniem bezpieczeństwa osobistego.

Demokratyczne systemy społeczne oczywiście stwarzają wszystkim uczestnikom życia politycznego gwarancje osobistego bezpieczeństwa, choć są one czasem zawodne, bo na przykład nie chronią całkowicie przed terroryzmem. Rzecz jasna, od gwarancji bezpieczeństwa osobistego dla uczestników życia politycznego należy odróżnić odpowiedzialność za działania polityczne w kategoriach społeczno-moralnych i prawnych, z tym zastrzeżeniem, że oczywiście samo prawo nie może godzić w bezpieczeństwo osobiste podmiotów aktywności politycznej.

Do istotnych warunków aktywności politycznej należy również możliwość swobodnego korzystania ze wszystkich przysługujących członkom zbiorowości państwowej uprawnień, a zwłaszcza tych, które mają zapewnić rzeczywistość, a nie pozorną podmiotowość obywatelską. Często bowiem dominujące grupy polityczne wytwarzają sytuację, w której dopuszczalna staje się aktywność polityczna polegająca tylko na afirmacji tego, z czym one występują, a inne inicjatywy są wykluczone nawet przez zagrożenie dyskryminacją i represją. W takiej sytuacji część zbiorowości społecznej przyjmuje postawę obronną, polegającą na deklarowaniu niechęci do zajmowania się polityką w ogóle, pod pretekstem braku odpowiedzialności zainteresowań lub niezbędnego przygotowania. Grupy dominujące zaś te reakcje identyfikują z biernością, która jest im na rękę, bo mogą tę bierność i brak sprzeciwu traktować jako przyzwolenie

nie na swoje poczynania. Tak jednak nie jest, postawa obronna w takiej postaci ma charakter doząny i wcale nie jest równoznaczna z biernością, a zwłaszcza z wyrzeczeniem się obywatelskich uprawnień.

Bardzo istotnym warunkiem aktywności politycznej jest także właśnie możliwość dokonywania wyboru i przejawiania inicjatywy własnej, przynajmniej w pewnych zakresach spraw publicznych. Wybór zaś sprowadzający się do alternatywy uczestniczenia lub nieuczestniczenia w czymś, aprobowania lub nieaprobowania czegoś jest wyborem zgola elementarnym. Oznacza to jednak, że aktywność polityczna wyraża się nie tylko w afirmacji czegoś i współdziałaniu z jakąś siłą polityczną w ogóle czy w konkretnej sprawie, ale również w nieafirmowaniu programów i posunięć, do których ma się zastrzeżenia, w nieuczestniczeniu w działaniach, które ocenia się negatywnie z punktu widzenia etycznego i społecznego, w rezygnacji z funkcji i członkostwa w strukturach, do których pozytywnej roli nie ma się przekonania. Oczywiście, kryją się za tym niezwykle trudne do rozstrzygnięcia dylematy, ale to jest zarazem miara kultury politycznej i odpowiedzialnej aktywności politycznej.

Jeśli brakuje, scharakteryzowanych pokrótce, warunków dla aktywności politycznej, to dochodzi nawet — w skrajnych sytuacjach — do zablokowania możliwości współdziałania różnych sił politycznych i społecznych także w sprawach, które ich nie dzielą, bowiem w grę wchodzi jednostronne lub wzajemne kwestionowanie podmiotowości, wbrew wymogom realizmu. Elementy takiej sytuacji trwają u nas od kilku lat i przekroczenie tego zakłętą kręgu przychodzi z trudem, chociaż jesienią 1986 r. pojawiło się chyba najwięcej oznak realizmu liczącego się z pluralistycznym obliczem społeczeństwa oraz trwałością i nieodwracalnością wynikającej z tego tendencji w naszym życiu publicznym.

Rozważania te ukazały nieco szerszą panoramę dla tych T. Bolduana, które sformułował on w odniesieniu do zbiorowości regionalnej. Ale przecież nie stanowi ona oazy, lecz także jest uwikłana w realia szerszego układu społecznego. Trzeba ten kontekst uwzględnić, jeśli dyskusja ma przybliżyć poznanie istoty obecnego stanu rzeczy i służyć jego korzystnej zmianie przy użyciu racjonalnych metod.
(11 IX 1986)

Skra Ormuzdowa'86 INNE SPOJRZENIE Rozmowa z MARIĄ KOPEĆ

— Nie pochodzi pani z Kaszub...

— Urodziłam się w górach, w Wytrzybszcze koło Nowego Sącza.

— ... i nawet nie mieszka na ich obszarze...

— Te okolice tutaj, to strony rodzinne męża. Pochodził z Bładowa, to niedaleko stąd, trzy wioski dalej.

— Góralka, mieszkająca co prawda na Pomorzu, ale nie na Kaszubach, jest jedną z najlepszych hafciarek kaszubskich. Nietypowa to sytuacja. Dlaczego upodobała sobie pani właśnie haft kaszubski?

— Bo jest wspaniały. W województwie bydgoskim zbiegają się trzy regiony bogate w sztukę ludową: Kaszuby, Kujawy i Pałuki. Bywają organizowane wspólne wystawy, pozwalające porównać, które wytwory i wzory są najciekawsze. Oglądając hafty

mogłam się przekonać, że piękne są i kujawskie, i pałuckie, ale najładniejsze kaszubskie. Uważam, że nie mają sobie równych — kolorami, kompozycją — w Polsce. Mówi to Góralka wciąż przywiązana do swego regionu.

— Kiedy zaczęła pani haftować?

— Trochę próbowałam jeszcze w górach. Haftowanie pochłania jednak wiele czasu, a mnie go stałe brakowało. Od młodości trzeba było pracować na utrzymanie. Mieliśmy mało ziemi, trzy hektary, a było nas w domu siedmioro, na dodatek ojciec wcześniej zmarł. Wysłałam za męża w wieku 16 lat. Przyszłego męża poznałam w moich stronach. Przyjechał do brata, przed samą wojną. W pobliżu budowano zapórę w Rożnowie, na którą ściągali ludzie zewsząd. Poznaliśmy się i tak jakoś się złożyło, żeśmy się pobrali. Ślub zdążył się odbyć na dwa tygodnie przed wybuchem wojny. Nastąpiły ciężkie czasy. Po wojnie też nie było lekko. Przyszły na świat dzieci. W 1948 zaczęto budować zapórę w Czchowie i nasza wioska poszła pod zalew. Rodzina rozeszła się, każdy w inną stronę. Ja z mężem — do Nowego Sącza. Trzeba było zaczynać od początku. Prowadziliśmy piekarnię, długi czas. Potem mąż zachorował. Zalecono mu zmianę pracy. Postanowiliśmy wrócić na wieś. Mąż ciągnął w swoje strony. Przyjechalśmy tu do Kęsowa w 63 roku. Kupiliśmy gospodarstwo. Nadal nie mogłam się uskarżać na brak zajęć: gospodarstwo spore — 13 hektarów, rozwinęliśmy warzywnictwo, hodowlę trzody. W 1969 roku mąż zginął tragicznie pod kołami pociągu. Gospodarowałam sama. Zachorowałam — na nogi, na zapalenie żył. Leżałam dwa miesiące w szpitalu, potem długo w domu. Ciągle

w ruchu i nagle przymusowa bezczynność. No i wzięłam się w łóżku do haftowania, jeszcze w szpitalu, żeby nie próżnować. Tak mnie to wciągnęło, że do dzisiaj nie przestałam.

— Ktoś pani na początku pomagał?

— Z domu rodzinnego wyniosłam umiejętność robienia koronek, próbowałam też w młodości haftować gorsety. Tak że sama technika nie była mi zupełnie obca. Znałam też tutejsze wzory. W Tucholi w tym czasie bardzo rozwinęło się już hafciarstwo. To zasługa instruktorki Blochowej, która założyła pierwsze kółko hafciarskie. Jej zasługa, że te babki tak naprawdę ładnie nauczyły się haftować i że do tej pory jest tam taki prężny ośrodek i tyle kobiet tym się zajmuje. To także zasługa pani Wandy Szkulmowskiej z Bydgoszczy, która niezwykle troszczy się, żeby twórczość ludowa w naszym województwie się rozwijała, żeby była na poziomie. Bardzo tego pilnuje. Mieszkając blisko Tucholi oglądałam hafty, jakie tutaj są. Bardzo mi się od początku podobały. Podpatrzyłam i zaczęłam robić, ale nie według gotowych wzorów, tylko według własnych pomysłów, kompozycji.

— Znamy chwałę panią właśnie za oryginalne kompozycje. Wspomniana Wanda Szkulmowska w folderze wydany z okazji wystaw w Bydgoszczy i Gdańsku w 1984 roku napisała, że wniosła pani do haftu kaszubskiego „wartości nowe i ogromne — przede wszystkim przez to, że przełamała pewne tradycyjne już układy i schematy kompozycyjne, że znakomicie potrafi dostosować haft do formy, na której go umieszcza, że wprowadza wielkie bogactwo wzorów, że jest zawsze oryginalna, nikogo nie naśladuje, a przeciwnie we wszystkich nowych pracach prezentowanych na kolejnej wystawie zaskakuje zawsze nowymi pomysłami i rozwiązaniami”. Ta oryginalność układów połączona ze znakomitym wykonaniem była również powodem przyznania pani „Skrzy Ormużdowej” — wyróżnienia „Pomeranii”.

— Jeden z etnografów powiedział mi, że wniosłam nowe, inne spojrzenie: mój haft nie jest taki sztywny, jest bardziej miękki. Twierdził, że łatwiej mi było się zdobyć na to inne spojrzenie, ponieważ nie pochodzę z Kaszub, a przez to mniej byłam skrupowana tradycją. Może to i racja; do swego, rodzimego człowieka odnosi się z większym pietyzmem, a w twórczości może to przeszkadzać, takie zbytnie przywiązanie do istniejących wzorów. Prawda jest jednak taka, że ja bym nie potrafiła haftować z gotowych wzorów, z albumów. Jeżeli sama narysuję, haftuję to z pasją, z ciekawością jak wyjdzie. Do końca nie wiem się jak wyjdzie. Czasami przestaje mi się podobać w trakcie pracy, a po wykonczeniu okazuje się, że jednak udało się. Czasem odkładam na bok, nie kończę, bo wydaje mi się, że wychodzi z niczego. Miałam obrus, który zaczęłam haftować i potem odłożyłam, leżał więcej niż rok. A potem go wzięłam i skończyłam, bo po pewnym czasie doszłam do przekonania, że wzór nie jest wcale zły. Nie lubię powtarzać wzorów. Przychodzi mi to ciężko. Bo czasem muszę: komuś bardzo zależy, żeby było akurat to, co zobaczył gdzieś na wystawie, usilnie prosi. Rzadko daję się jednak namówić na powtórki.

— Skąd pani czerpie pomysły do nowych rozwiązań?

— Dużo z podpatrzenia w przyrodzie. Przyglądam się jak to rośnie w przyrodzie, jaki jest układ gałązek. Mieszkając w mieście byłabym pewnie zmuszona do powielania tego, co już wymyślono, na wsi jest się bliżej przyrody i z niej dużo czerpie.

— Tworzenie nowych układów wymaga zmysłu, talentu plastycznego...

— Trochę tego talentu trzeba, żeby samemu coś wniesić, żeby komponować. Jak mieszkalam w Nowym Sączu, to dla odprężenia rysowałam. Te moje rysunki zobaczył kiedyś przypadkowo profesor z gimnazjum, który mieszkał blisko nas i on wciągnął mnie do kółka plastyków amatorów. W konkursie na portret wzięłam I miejsce. Profesorowie, którzy oceniali prace, początkowo nie wierzyli, że sama narysowałam. Zawołali mnie, jeden usiadł naprzeciw-



Fot. Andrzej Klessa

ko i mam go narysować. A za plecami stoi reszta, patrzy. Pamiętam, ten przede mną miał taki sceptyczny, trochę ironiczny uśmiech na twarzy, jakby chciał powiedzieć: ciekawe, co ona pokaże. I wie pan, wyszedł mi chyba najlepszy portret w życiu. Z tym uśmiechem kpiącym, z lekko przymrużonym okiem. Jeden z patrzących powiedział wówczas, że gdyby na własne oczy nie widział, absolutnie by nie uwierzył, że to moje dzieło. Bo tu znać rękę wybitnego plastyka. Tak się wyraził. A ja miałam ukończonych siedem klas przedwojennej szkoły powszechnej. Uznali, że mam talent portrecisty i powinnam się uczyć. Chciano mnie wysłać do szkoły plastycznej, ale dzieci były małe...

— Talent plastyczny nie zmarnował się. „W hacie kaszubskim rozkwitł on w całej pełni, bo też Maria Kopeć pokochała ten haft całym sercem, stał się on w jej trudnym życiu szczęściem największym i odprężeniem po fizycznej pracy” — napisano bardzo pięknie w przywołanym już folderku. Pani hafty zachwycają wspaniałym doborem kolorów i znakomitą harmonią z tłem. Na tradycyjne wzory pracowały pokolenia, nowe kryją ryzyko pomyłek.

— Przywiązuję wielką wagę do kolorów. Za wzorami musi iść dobór kolorów, muszą być z sobą zgrane. Złe dobrane kolory psują efekt i całość traci na wartości.

— Z prac, które oglądałem na wystawie w Galerii Sztuki Ludowej WOK w Gdańsku, wyniosłem wrażenie, że najchętniej haftuje pani w tonacji niebieskiej lub złotej.

— Tu mam dwie chusty, przygotowane na wystawę w Chojnicach: jedna w złotych kolorach, druga w niebieskich. Nie mogę się zdecydować, które ładniejsze. Mieszkam tak na pograniczu: Tuchola blisko, ale i Chojnice niedaleko. W Tucholi haftują w tonacji złotej, w Chojnicach w niebieskiej. Ja jestem w środku.

— Co jeszcze decyduje o wartości haftu, prócz właściwego doboru kolorów?

— Staranność wykonania. Musi być zrobiony solidnie. Do haftu trzeba wielkiej cierpliwości, naprawdę wielkiej. Ważne jest wykończenie. Skręca mnie, gdy widzę na przykład przyszywane frędzle, one powinny być z tego samego materiału, wyciągane, wysnuwane, wtedy dopiero jest efekt. Albo obrusy — haft nienajgorszy, ale boki obszyte gotową koronką fabryczną, zamiast obrobione szydełkiem. I jak to wygląda? Starczyło cierpliwości na haft, musi starczyć na wykończenie.

— To, co mi pani pokazała, świadczy o anielskiej cierpliwości i niezwyklej pracowitości.

— To, co mam w domu, to zaledwie cząstka, nie wiem czy pół procent tego co zrobiłam. Boże, gdybym to wszystko teraz miała! Po tej chorobie, o której mówiłam, nie mogłam już tyle pracować w gospodarstwie. Zlikwidowałam wtedy co cięższe działy. Miałam więcej czasu na haftowanie, zwłaszcza w zimie. Bywało, że haftowałam po 12, 15 godzin dziennie, a zdarzało się i tak, że siadałam o piątej rano, a kończyłam o jedenastej wieczorem. Haftowałam tak dużo, że inne hafciarki nie wierzyły, że ja to wszystko sama robię i podejrzały, że pomagają mi kobiety we wsi. Zrobiłabym jeszcze więcej, ale przyszła następna choroba. Dopiero przychodzę po niej do siebie, wycięto mi żołądek. Po tej chorobie nie jestem zdolna do żadnej pracy fizycznej. Gospodarczy syn. Mam emeryturę twórczą, mogę spokojnie haftować. Ale teraz nie mam już tej kondycji co dawniej. I nie te oczy. Zrobi się mgła przed oczami i koniec. Ile mogę, tyle jednak robię. A nie miałam już w ogóle nadziei, że będę mogła coś robić, że jeszcze coś ze mnie będzie. Jak zachorowałam i leżałam pół roku w domu, nie wiedząc co ze mną będzie, przyjeżdżało dużo dyrektorów muzeów. Co miały to brali, nawet makatki ze ściany poszły. Tak że zostało mi mało. Większość prac znajduje się w muzeach: w Toruniu, Warszawie, Lublinie, Krakowie. Cieszę się, że trafiły tam. Wolę, żeby tam były, bo chociaż coś po mnie zostanie. Bardzo dużo jest w rękach prywatnych, za granicą. Dużo robiłam czepeków, a został mi tylko jeden — pierwszy, na którym się uczyłam. Dla działaczki polonijnej z Francji wykonałam cały strój kaszubski: czepec, serdaczek, bluzkę, fartuszek. Nawet go nie widziałam w całości, bo co wyhaftowałam część, to ją odbierano. Dużo chust jest w świecie: w Korei, Monako, Anglii, Argentynie, w Afryce i Australii.

— Na wystawie pani prac, którą oglądałem, były prezentowane i czepek — tradycyjne złotogłowie kaszubskie, i serwety, i makaty, ale uwagę przyciągały zwłaszcza chusty, z czystej wełny: złoty lub niebieski haft na czarnym, brązowym, białym tle.

— W starym stroju kaszubskim były chusty, później ich zaniechano. Zaczęłam je robić i teraz inne panie też robią. Chusty mają powodzenie, bo są nie tylko dekoracyjne, ale można je nosić. Gdy przychodzi wiosna, a jest jeszcze chłodno, to noszę. Kiedyś byłam w Bydgoszczy w takiej chuście. Panie na ulicy mnie zatrzymywały i pytały, skąd ją mam? Na Cepeliadzie w Warszawie miałam taką przygodę: podszedł Wietnamczyk, zobaczył chustę i nie mógł odejść. Jechał do domu, jak mi później opowiedział, na prezent dla żony kupił pierścionek, ale zobaczył chustę i stwierdził, że żonę sto razy bardziej ucieszyby taki prezent. No i co było robić, wymieniałam mu prezent. Córcie, która mieszka na Śląsku, wyhaftowałam czarną chustę i do tego grubą czarną spódnice z wełny. Jej mąż jest górnikiem. Byli na Barbórkę na balu, ona w tym stroju, on w mundurze. Zostali królami balu.

— „Piękna ta nasza ziemia tucholska, piękna i nieustrzegana, tu najbardziej w serce mi się wkrađ — Borów Tucholskich złoty kwiat”. To fragment pani wiersza, który przeczytałam w „Tucholaninie”. Świadczy, że przez te 23 lata pobytu tutaj mocno wrosła pani w te strony...

— Pięknie jest w górach. Jeżdżę tam co roku, zajrzeć. Ale i tu się przywiązałam. Lubię te strony i tych ludzi. Mówi się, że tu każdy bardziej żyje dla siebie. Prawda, że każdy pilnuje swego. Na co dzień nie ma tej styczności co na południu, gdzie żyje się z sobą bardziej towarzysko. Ale w potrzebie można znaleźć zrozumienie i pomoc. Można liczyć na ludzi. Jak komuś źle, potrzebuje pomocy, to ją znajdzie. Dużo tu ludziom zawdzięczam. Jak mi było bardzo ciężko po śmierci męża, miałam pomoc od sąsiadów, doznałam dużo dobrego. Pomorzacy są uczynni, pracownicy i przede wszystkim uczciwi. Lubię i tych ludzi, i krajobraz nawet polubiłam, chociaż jest trochę płaski, cenię też bardzo kulturę tego regionu i staram się dolożyć do niej coś od siebie, z dużą zresztą dla siebie satysfakcją.

— Dziękując za rozmowę życzę, żeby „Borów Tucholskich złoty kwiat” jaśniał blaskiem na wielu jeszcze pani wytworach.

Rozmawiał EDMUND SZCZESIAK

ZWARCIE NA REMIS

Zbigniew Gach

O tym, że Puck został wytypowany do Telewizyjnego Turnieju Miast, dowiedziała się miejscowa władza późno, bo w kwietniu bieżącego roku. Najpierw przeciwnikiem miał być Paczków, potem z nieznanego przyczyn zaproponowano Głogówek (oba z woj. opolskiego). Pucczanie szybko zdali sobie sprawę, że wypieszczony jak landrynka gród nad Oslobogą pyszczyć się będzie lśnącymi elewacjami kamienia, podczas gdy w Pucku skrywać trzeba będzie niejednego wstydliwego zaułek. Co prawda, specjalnie wysłani szpiedzy donieśli, że głogówecki zamek, zbudowany w XIII wieku przez Piastów opolskich, chyli się ku ruinie i jest tylko dla zamydlenia oczu malowany przed turniejem, ale telewizja nie musiała tego odnotować, podobnie jak braku centrali telefonicznej czy zamkniętego od 7 lat skromnego muzeum regionalnego. W dodatku Głogówek odbył już wcześniej, pod tym samym naczelnikiem, dwie imprezy

ogólnopolskie — Bank 440 w 1976 roku i Centralne Dożynki w 1985 roku — a otrząskanie i rutyna wyniesione z takich okazji mogły się rywalom bardzo przydać.

Niemniej bez kompleksów rozpoczęło w Pucku przygotowania do zwarcia przed kamerami. Mieszkańcy z radością obserwowali, jak przeobrażają się ulice i budynki. Miasto otrzymało wyczekiwaną od lat drugą sieć energetyczną. — Tedy już dobra nasza — mówili starzy i młodzi — tak czy owak jesteśmy wygrani. — W połowie czerwca zaczęto zwozić do magazynów różne deficytowe towary, jedne za talony z loterii, inne na wolny rynek. Wszystkiego w kompletach nie dało się oczywiście zdobyć, można więc było później usłyszeć od kupujących, że skoro w Pucku rzucili oprawki do 13-watowych świetlówek, to po same świetlówki trzeba pewnie skoczyć do Głogówka.

Trzy dni przed imprezą zjechały „telewizory”. Na wieży fary umieścili przekazniki, w witrynach większych sklepów ustawiły 32 kolorowe „Neptuny-505”. Do obsługi kamer władze Pucka zapewniły dwa wozy strażackie z wyciągnikami i kilka wózków elektrycznych. Po rozwinieciu kabli i „oczyszczeniu planu” na rynku przygotowano szereg stanowisk transmisyjnych, między innymi w pobliżu czterech estrad. Służby miejskie szalały. Pucczanie do dziś opowiadają, że po raz pierwszy w życiu widzieli ludzi, którzy biegali przy pracy. Uliczne odkurzacze wylizwały centrum do połysku. Próby nagłośnienia i inne przed-

biegi praktycznie przez dwie doby nie dały spać mieszkańcom, ale nikt nie złożył skargi.

20 lipca 1986 roku od samego rana waliły do Pucka kolorowe tłumy. Ojcowie miasta wyliczyli, że „szarańcza” liczyć będzie około 60 tysięcy szczekoczułek, dlatego wzorowo przygotowali zaplecze. O godzinie 14.15 musztra paradna orkiestry Marynarki Wojennej zainaugurowała festyn. W tym samym momencie rozpoczęła się w telewizji pierwsza relacja z Głogówka, przy czym trzeba było wysłuchać zapewnień lektora, iż jest to miasto ludzi szczęśliwych, bo pracowitych i gospodarnych. O Pucku powiedziano w sposób mniej napuszony, że przez wieki utrzymał swój niepowtarzalny, polsko-kaszubski charakter.

Już pierwsze minuty imprezy ukazały znaną prawidłowość: turniej miast jest w dużej mierze meczem dwóch ekip telewizyjnych; chodzi o to, która lepiej pokaże „swoje” miasto trafiając w czule miejsca warszawskich jurorów i grając na uczuciach telewizorów. Puck miał szczęście, albowiem koordynacja przechwałek zajął się tu radiowo-telewizyjny as — miękkołosy Tadeusz Sznuć.

Turniej tradycyjnie podzielono na tury, te z kolei na etapy lub konkursy. Zwycięstwo w turze dawało jeden duży punkt, a można było ich zdobyć w sumie sześć. Całość relacji zamknięto klamrą czterech rund telewizyjnych między godzinami 14.00 i 22.00.

Rozpoczęto od skrótovej prezentacji miasteczek, po czym nastąpiły tak zwane potyczki rodzinne. Podczas pierwszej, rozgrywanej na rynku głogówckim, rodzina z Pucka i rodzina z Głogówka wrzucały lotki do kosza (wygrał Głogówek). Podczas drugiej, w porcie puckim, należało wykonać odpowiedni manewr łodzią na wodzie, a potem wrzucić piłkę do koła ratunkowego (komentarz T. Sznuć: dla rodziny z Pucka... zaszczytne drugie miejsce). Trzecia konkurencja polegała na wypieczeniu z przygotowanego wcześniej ciasta jak największej ilości ciasteczek, ale tylko w ciągu dwóch minut (wygrali puccanie 86:77). Czwarta wymagała ułożenia konkretnej treści z marynarskich flag kodu literowego (górz Głogówek). Piąta konkurencja: ojciec rodziny jechał na rowerze w ten sposób, by nie przekroczyć wyznaczonej linii, czyli jak najwolniej, a w tym czasie reszta rodziny starała się obrać możliwie dużo ziemniaków (wygrali głogówczanie). Szósta: należało umyć za-

poinformował o budowie gigantycznej oczyszczalni ścieków; Głogówek pośpieszył z danymi o produkcji rolnej. Puck przedstawił odbudowany dwór — siedzibę szkoły muzycznej; Głogówek zapewnił, że każde dziecko w tej gminie ma zagwarantowane miejsce w przedszkolu. Puck zobowiązał się do działalności na rzecz rozwoju turystyki; Głogówek wyliczył czyny społeczne. Z problemów do rozwiązania w Pucku na pierwszym miejscu postawiono niedostatek wody pitnej. W Głogówku podniesiono przede wszystkim brak mieszkań. Jury w Warszawie korzystniej oceniło Puck.

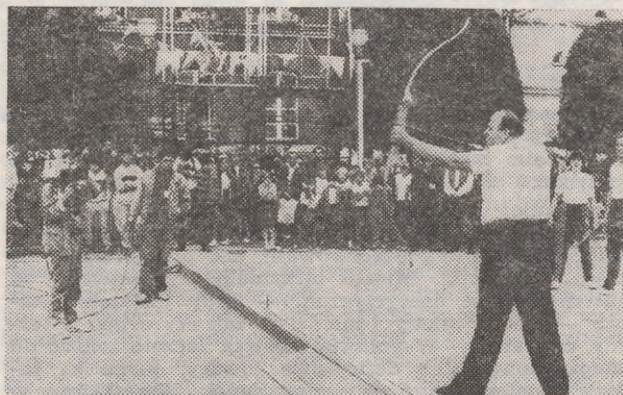
Trzecia tura dotyczyła konkursów sprawnościowo-zawodowych. Najpierw pleciono sznur z tzw. niedoprzędu, sprawdzając później wytrzymałość odważnikami (wygrał Głogówek). Z kolei przeciągano linę na szalupach (remis, bo łódki zaczęły się okręcać). Następnie wycinano palnikami noże z grubej blachy (wygrał kowal z Głogówka) i naprawiano awarie wodociągowe (wygrała brygada z Pucka). Dwie konkurencje na sprawność manewrowania traktorami oraz rywalizację budowlaną wygrali raz po razie głogówczanie. W sztafecie służb miejskich (kominiarze, transportowcy, drogowcy, strażnicy) lepsi byli puccanie. Na koniec przewidziano konkurs ostatniej szansy, czyli strzelanie z łuków do celu w wykonaniu pracowników urzędów gminnych (wygrali urzędnicy z Głogówka).

Czwartą turę stanowiła zbiórka pieniężna na Narodowy Czyn Pomocy Szkole. Puccanie zgromadzili 58.478.000 zł, co podzielone przez 11.480 mieszkańców dało 5.093,90 zł na głowę. W Głogówku było 34.559.859 zł, co przy 6.246 mieszkańcach dało 5.533,11 zł na głowę.

Najciekawsza bodaj była piąta tura, w której zajęto się inicjatywami kulturalnymi i artystycznymi. W Pucku zaprezentował się wpraw kaszubski zespół „Sierakowice”, zaraz po nim zespół baletowy „Alga”, a potem jeszcze trio „Pomerania” i zespół ludowy ze Strzelna. Wreszcie T. Sznuć z przebiegłym uśmieszkiem przedstawił specjalny mini-spektakl, o którym już wcześniej mówił, że rzuci jurorów na kolana. I rzeczywiście, umiejętnie oświetlone podwórze Józefa Budzisa, onże sam rozmawiający po kaszubsku ze swym wnukiem o tradycjach rybackich, w tle figurki rzeźbione przez twórców-amatorów, zespół dziecięcy z drewnianymi fletami, Marian Selin wykonujący skoczną przyspiewkę, sieci, nastrojowe oświetlenie, młodzieniec z gitarą, dymiąca wędzarenka — wszystko to musiało zrobić wrażenie. A tu jeszcze krótka prezentacja znakomitych puckich hafciarek, rozmowa z malującą na szkle Anną Basmann, osiągnięcia Amatorskiego Klubu Filmowego „Alka”. Głogówek tym razem musiał wypaść blade. Ani ludowe kraszanki, ani kowalski zakład artystyczny, ani pracownia witraży czy teatr kukiełek nie mogły przesłonić żywego, pulsującego strumienia kultury kaszubskiej. W pełni docenili to jurorzy, podkreślając odrębność, a jednocześnie atrakcyjność miejscowego folkloru. (Ze wzruszającą szczerością kilku jurorów przyznało się, że właśnie „odkryli” dla siebie jeszcze nie zuniformalizowany, a jakże mocno zrosnięty z pomorską ziemią nurt kulturowy, o którym wcześniej nie wiedzieli). Słowem — tutaj Puck górz.

Szóstą turą nazwano telefoniczne głosowanie telewizorów. Rekreacyjne walory Ziemi Puckiej oraz ilość jej sympatyków sprawiły, że oddano za Puckiem aż 2372 głosy (przy 1934 za Głogówkiem).

W ten sposób po raz pierwszy w historii telewizyjnych turniejów miast uzyskany został wynik remisowy, co zresztą zadowoliło obie strony. Wicewojewodowie gdański i opolski odebrali stosowne puchary oraz nagrody ministra budownictwa, gospodarki przestrzennej i komunalnej (talony na sprzęt komunalny o wartości 2,5 mln zł). W Pucku, przy oszalałym pokazy sztucznych ogni, do północy trwała feta, urozmaicona występami kaszubskich zespołów pieśni i tańca: „Gdańsk”, „Hopowianie”, „Sierakowice” i „Strzelno” a także Bogusława Meca, Andrzeja Rosiewicza, big-bandu Marynarki Wojennej i orkiestry dętej Kopalni Węgla Kamiennego „Wieczorek” z Katowic. Gloria in excelsis Deo! ■



Naczelnik Pucka, Romuald Kojalowicz, przed strzałem ostatniej szansy. Nie trafi.

Fot. Zbigniew Trybek

brudzone okna w małym fiacie, przykręcić bagażnik, zapakować i umocować sześć waliz, a wreszcie wgramolić się całą rodziną do wnętrza z różnymi bambetlami (znów górz Głogówek). Przebieg siódmej konkurencji umknął uwadze niżej podpisanego, natomiast w ósmej — sprawdzającej wiedzę o mieście przeciwników — był remis. Wynik ogólny: sześć małych punktów dla Głogówka i dwa dla Pucka.

Drugą turę nazwano inicjatywami gospodarczymi. Puck z dumą pokazał, jak przy braku terenów budowlanych można zagospodarowywać strychy; Głogówek pochwalił się swoją siecią handlową. Puck

Przyznano po raz pierwszy Nagrodę Literacką im. Lecha Bądkowskiego, ufundowaną przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Nagroda przyznawana jest co dwa lata za dzieło z dziedziny literatury pięknej, literatury faktu lub eseistyki, podejmujące najszerzej rozumianą tematykę kaszubsko-pomorską. (Szerzej o regulaminie informowaliśmy w ub. roku w nr. 11 „Pomeranii”). Na tegoroczną nagrodę — 50 tys. złotych, złożyły się sumy ze specjalnych darów członków ZK-P oraz wygospodarowane przez samo Zrzeszenie.

Jury w składzie: I. Trojanowska, T. Bolduan, W. Kiedrowski (przewodniczący), T. Lipski, S. Pestka i T. Skutnik na posiedzeniu we Wdzydzych, w dniu 3 października 1986 r., postanowiło przyznać Nagrodę Literacką im. L. Bądkowskiego JERZEMU SAMPOWI za książkę „POEZJA RODNEJ MOWY”. W uzasadnieniu członkowie jury podkreślili, że zawarty w książce esej Jerzego Sampa pt. „Zanim staniesz się niemy w mowie ojców” uwewnętrznia szereg istotnych pytań o

współczesną wartość kaszubszczyzny. Książka obok wspomnianego eseju zawiera wiersze ideowe H. Derdowskiego, A. Majkowskiego, J. Karnowskiego, F. Sędzickiego, A. Labudy, J. Rompskiego, L. Roppla, B. Sychty, J. Ceynowy, J. Trepczyka, A. Nagla, Z. Narskiego, J. Zbrzyca, K. Muzy, J. Walkusza, J. Labuddy, J. Stachurskiego, S. Jankego, uwidaczniające wartości mowy kaszubskiej. „Poezja rodnej mowy” wywołała żywy oddźwięk wśród czytelników.

Komunikat o przyznaniu nagrody ogłoszony został podczas Kaszubsko-Pomorskich Spotkań Wdzydzkich, a wręczenie nagrody odbyło się 18 października podczas obrad plenarnych Zarządu Głównego ZK-P.

Poniżej zamieszczamy szkic o „Poezji rodnej mowy” S. Pestki, przygotowany na tegoroczne Seminarium Kaszëbsczié w Łączyńskiej Hucie.

Nagrodzona książka ukazała się w 1985 r. nakładem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (Oddział Gdański). (W.K.)

Czarowé ogniszczé rodny mowë

Stanisław Pestka

To je swiętô prôwda, że lédzkô zrzesz mó taci jęzëk, jaciëch mó mésztrów od kuńsztowny mowë. Tëch mésztrów obznójmił nóm w swojim wëbiórze „Poezja rodnej mowy” kritik ë znówca bałtopomorsci mitopowiedni — dr Jerzy Samp. Okoma malin-ciëch wëriwków uczali ë baro cekawi wëmészlënë je wëchwałã, chtërna łaszciëwã omiodã spódiwô na jejich serca. Oni zaskuszëlë wierë na tã omiodë. Przecë skala wórtnotë poeticiëch dokôzów, je dosc tãle szerokô, jak bësmë na nië nie zdrzelë. Ciedë równak z jinszego mólu wezdrzimë na nen całi wzątk werifikacëji kaszëbsci, tedë czëjemë së kask zate-błowóny. Jak to rozmiëc? Wszëtko, co nójbëlniejszë je nowotnym esteticznym porządkim, dzëka chtërne-mu plaskatë, merë słowo signëło nieba tajemnotë.

Nawetka nójwiëkszô zapalcëwota nick bë nie zdze-jała, ciej nie bëlobë tego niewëstudlëgo ogniszczã, czarowëgo zaostanku naji mowë. Bez widzałëgo krëszcu nójlepszi rzemiesnik cëdów nie wëstworzi. Gdzëz je usklôdanô ta stolemiastô spiżô? Odpowiedz brzëmi decht prosto: nieporadnô, zaostanô do naji czasów mowa tatków je nym bezprzëmiernym skôr-bem ë krëszcem. Nibë nôpartô zlotëchnô mëga zwô-niã kole najich uszów znône słowa wierszta „Jô bëm leno chcôł...”

Żebës mowë jak cziej zonë

Całë żëcë miôł,

Ji twë mészlë, ji twë zôle,

Całã duszë dôł...

Wiëm, że tãz nóm ostawili

Ojcë całi skôrë,

Më żesmë go nie uczëli,

Nicht go nie je wórt!

W môlich chëczach pozamknëti

Naszëch ojców swiat,

W bôjkach, spiëwach pozaklëti

Jejich mészli kwiat.

Taci tczëwórtny odzywëk scierowôł do kaszëbsci mowë Jan Karnowski. Rënszô bëła stara o nę mowë u przednika Młodokaszëbów, Aleksandra Majkow-sciëgo. Jerzy Samp przëbôczël dwa wiersztë Majkow-sciëgo. Wersë kask jinsze, mészlël ta sama co u Ja-na z Czôrnowa:

A tã, biëdnô, w tak płaczliwi doli

Niemô szlas mniedzë pola strzód maku i wrzosu

I nawet nie umniałas mówic, co cë boli,

Bo wstidzëlas së sama swëgo w piersë głosu...

Jaz cë przëtulëlë szarë wieszczië strzechë.

Bës dzëlëla jich môle smutczë i ucechë.

Tim rënszim turem berowëla całô rega poetów, chtërnych miôna tãz së nalazëlë w malinzi antologii wiersztów o rodny mowie. W jejich ditrambach je cos wicy nigle esteticznô pluźnota. Bez wiôldziëgo grëdzenku możëmë w nich wëszlachowac jaciës re-ligijnë udwignicë. Rompsci nôboźnie zadôczony gôdô:

Ach, mowa mojęch tatków, zwëcznô strëna!

Czë możno, żebë lud jë wôzël zgubic?!

Jakbë së modlëc, szëptać zdrowas z rena?

Zemny distans do pësznotë jëzëka z móla priskô u taciëch poetów jak Józef Ceynowa, Jan Trepczyk, Alos Nagel, Jaromira Labudda, Stanisław Janke ë jinszëch.

Prost z serca wëriwô së Ceynowie:

Mowo mojô, swiętô mowo przôdków,

skowrónkë jes podniebnim.

Przëwórtzają jemu dalszi. W pierszi redze mester Jan:

Tczëwórtnô jes jak dziejów duch,

Co w tobie së przëzërô...

Jaromira Labudda:

Mowa — to je dësza lëdu:

Chto jë stracył, stracył siebie!

Stanisław Janke:

Słowo urodzonë w zagubienim...

Noszë je midzë swojęch

Jakno snôzi kwiat paprocë...

Jakno relikwië — chcałobë së rzec. Stądka ju je baro blësko do rëdëgo drobotaniô kole kaplëczków ë wôłtôrzw na tczë naji mowë. Koždy możë to rozmiëc, bo ona bëła od swojęgo zimku cëdziëm w niebëlnoce ë urzasu. Temu nôtã smutku tak grom-nisto zwëczy. Szczesce nië usmiëwalo së bënomni do serotë: Trzeba bëło dac ji za to nôdgrôdë. Z tego zdrôjka nêkô së podskacënk do poeticiëgo kadzën-ku mowë starków. Dimë wëchwałów biã wësok, choc ti, co tak szëczëro uwielbiają krôlëwiônke, ma-

ją pełną świadę, że westrzód kolcowých plotów ę pod gburscimi ustrzechami ona je niesposobnó, chropowató, wëbiedniało. Wkól merého dzeusa, chtërne-mu nènka-nòtëra nie dała wiòldziëch przëozdobów zawdë będe nibë na pustkach.

Jo, pròwda, leno nie nòlëzi zabocziwac o jesz jednym kolcënkù, chtërnegò dotëguwò, mówiac po łacënie „mneme” naji apartnëch dziejów. Nawetka do utwórce z krëchą sëlą brzãtwë przemówiają historyczne pròwdë o losach Połabianów ę zòdzierzgach dëchówëch Kaszëbów z bracydami od Łabë ę Odrë. Jãz sę prosy żebë oddac głos uczali białce Rzetelskiej-Feleszko, bo ona dosc tël zgruñtowała bokadnosc pomorsciëch dialektów: „Choc Kaszëbë nòlëzã z jedny strónë do gwarowego pnia polsciëgo, to z drëdzi strónë parłaczã sę z pasem dialektów pomorsciëch, sigającëch ciedës — przed jejich germanizacëją — bezprëstanno od daleciëgo Połabia przez Meklemburgię ę Pomorze Westowë jãz po Pomorze Gduñsië. Ten pòsek pomorsciëch dialektów znankowòl sę apartnëmi osoblëwoscami jëzëkowëmi”.

Na sztòlt dëcha Hamleta, chtëren nie dówòl poku swojemu sënówi, przëchodajã niezbednë cenie tich-tam nasziñców ę diktujã westrzód nocëszci dzysdniowim utwórcom swoje archetipë, zgówë, pragniaczci ę krëszëne pamiëcë.

Czë one tész cierowalë rëkã czlowieka zawdë zadłobionégò przindotã kaszëbiznë, jacim bël Stefan Bieszk? Przëtrófk sprawil, że nalòzl sę u mie szëczk maczkowégò pisma cnegò Bieszka o kaszëbiznie w teraznoscë. Datë tam ni ma, to bëło pisanë przed wojną: „Krom tego kaszëbizna mò tész wëszã rangë nad połabszczëznã, że je żëwim jëzëciem, ciedë połabsci ju oprëstòl jëc. Oba të jëzëci majã historycznã wòrtotë. Cëz, ciëj z kaszëbscim je terosku czësto jak z polscim w XII stalace, nie bëło mu namienionë dërchowac w pismie. Lëteratura kaszëbskò je tak umiartò, że nie może bëc materiã dlò badaczów jëzëka. Przënòlegò sigac w gëbië lëdu, a to mogã leno sami Kaszëbi abo taci uczali, co jëzã wëg na Kaszëbach, jak przòdë Mrongowiusz we Gduñsku... Wiele lôt kaszëboznawstwo treptò w martwym mòlu... Tedë otmikò sę chutcië zadanië przed kaszëbskã inteligencëją odgriwac pomocnã rolë, ciëj ni mò swojich uczalëch Kaszëbów... szwanic ę zbierac »ogròbic« dówny kaszëbiznë, copajacy sę barò chutko... Poloniscë mogã akuratëchno wëzbierac słówka, leno të jesz nie sã jëzëciem. Dochodò do tego... uskòdnò, stilistykã ę calëchny swiat ubrzãtwiëniégò... Je rzeczą wierzewnã, że nòpiartë ę mocne rozklecenië gwarowë bëło dówni wiëkszë w całi polaszëznë, pasownië do wiëkszëch rozmajitosców społëcznëch ę gospodarczëch. Kaszëbskò tedë uzbierala nie leno przeddziejowã spadczëznã, ale nawetka jë wiëkszëzã. Po richtoscë brakowalo jednegò kaszëbsciëgo dialektu z darënciem nòjwiëkszi sëlë, jak wëklòdò Lorentz po XII ę XIII stalatach, ciëj jëzëci sztolëcã łacëna, nigdë nie bëło próbë karna swojinców, dzëka chtërny mògibë prënc do rozwiã kulturalny kaszëbsci jëzëk”.

Widzy mie sę, że w tim përzny dludzim wëjimku z mikczãcégò naji serca jiwru Stefana Bieszka, nibë w slësadle zarzeklë sã trëchlencië ę nòdzeje lëdzy sparłaczonëch z kaszëbiznã.

È më tész, wrażliwi na przëodzywk jëzëkowi ę na przindnë stegnë kaszëbiznë, w jiwrach szëkòmë odcëtu. Równak czòrny cësk, co w przepanië nëkòl spik od oczów Bieszka, dlò nòs stòl sę nibë kòlpiã spiëwã. Jëgo nieprëspany grów — kulturalny kaszëbsci jëzëk, poezjò zasedzãl w kaszëbscim bënë ę w barzi uniwersalnym buten, hewotnò inteligencjò z uczalëmi swojincami — to wszëtkò stało sę jawernotã! Wëturzëla sę stanica wiòldziëgo odcëniëniò. Mòze strzednégò, ale je. Jakzë jinszë bëlëbë dzys mësłë ę kòrbienië o mowie starków Stefana Bieszka...

Zlë tak kòrbime czë ju nòs abë bucha nie wzëla w pojmanië? Ocznégò partu ti buchë z najich dobët-nëch dokazënków nie uskròmiò nòm Jerzy Samp w swoim rzetelnym ę dolszewnym esëju z nòdpisem: „Zanim staniesz sië niemy w mowie ojców”. Żebë oddac sprawiedlëwosc wezdrzewnymu osãdzëcelowi muszë przëznac, że pròcem temu, co bë oznòczãlo bez mała epitafium (nim mdzësz damny...), esëj po-

kòzëje bogactwo ę tego zrzeszonégò ę tego autosciëgo, poeticiëgo „wpisu” do kaszëbsci kulturë. Tak rozszerzëwë widokrëz na dludzië biòtcië o tozsamosc karna swojinców, tak mësternò wniknac we wszëtcie osoblëwoscë ę tajemnotë ti mowë, wëmaklac ji drozëszczã, mògl leno wasta Samp. Odkãdka chtò chce przëochlëc panëszkë muzë, chtò zgrów sę uraczëc pòchã domocã ę pròzë ę wiersztów — nie może zabòczec o ksãzëcë „Poezjò rodny mowë”.

Przed wëdanim tego usòdzka żëwò ksegã naji poeticiëch znanków runicznëch, niechtërne-mu wëdowa sę zamklò na trzë klamrë abo nie za barò cekawò czë z powëdzartima kartama. Zdrzenië butnowë kritikã odkriwò wnitrzny swiat kaszëbsciëgo uniwersum. Chronologiczny porzãdk wëkladu je czims wicy niglë wëriwciëm z historjè lëteraturë kaszëbsci. Zdrzenië problemowë kladzë nawier na kulturowã dzyrskosc ę jinnosc nordowi mowë. Skãdka ta apartnosc sę krangani? Na czim oparti je fenomen ji zëwotnoscë?

Młodokaszëbi ę wzorce przez nich ustanowionë, legendë z magicznégò zòkrëzã dziejów, szari gbursci żëwot ę ta bezprëstannò wiara, że w ti zemi mò swojë skriwkë sakrum... O tim wszëtcim mówi Samp prostim, jasnym ę jëdrznym jëzëciem. Jak przëstalo na elegancciëgo biòtkòrza czëstujë polemicznymi szlichami tëch, z chtërnymi sę nie zgòdzò. A midzë nim ę samymi Kaszëbami, że szpagatowã inteligencjã, co je busznò, że wëg pije ze zdroja snobizmu ę sę wstidzy gòdac „mowã nënci moji”, jak piszë Zygmunt Narsci. Pròcem nòjgorszych komudóm ę dzysdniowim chajom z gëbiów serca wëriwò sę wòlanië, chtërne przëchodzy przez filtrë artizmu. Na przëmiarë u Jankego:

Diòbelsczië kamë ju nie rozmieja
Zgasëc Ormuzdowi skrë.

Jò bë na to rzekl: „moze ę rozmieja, ale chëba ji nie przëkrëjã swoim klatatim ogònem”. Na taciëch strzelistëch zòpowiescach fundujë midzë jinszymi swój optimizm ę udbë o odrodzë kaszëbiznë Jerzy Samp. Rozëmk oswiecony przez miëlòtë... Pitanië, czë w ti miëlòce nie ma tész miëlòtë krëwilnëch szlichów losu? Blónë naszëgo podezdrëwanië rozgarinò autor „Rodny mowë...”. Wëdówò mie sę, że dlò poetów kaszëbsciëch barzi wòzniëszjò od idei cëpiëtnictwa je biòtkowanië z włòsnã niżbã pokornã, a nadë wszëtkò ze samobójczim w swojich skutkach poczucem wstidu”. Mësłë tész, „swiãda krziwdë, chtërna nawtòrzò sę w poezji kaszëbsci, nie leno na pròwdach retrospekciëji”, jak to naciãnal Jerzy Samp, nie nalezë swojich zauszòlców. Chtò wië, dzysò modnë sã snòzë choroscë. Jeden kask nawiedzony dzëus od wãstnë prof. Janion w abòcë egzaltacji powiëdzòl: „jò jem chorò na Polskë”. Z mòla żëm wëpòlël: „Polskò potrzebuje lëdzy zdrowëch, a nie chorëch, chocbë to bëla nòjpiëkniëszjò obolalosc dëcha”.

Dlò Kaszëbów to tész może bëc ostrzëga, żebë nasztëlenk egzaltacjów nie stówòl sę gaguskã, w chtërny poeticië biëdë opòlajã sobie skrizidla. Jedno ju ni może bëc wãtpliwë: „W wicy anigle stalatnom rozwiãnim wëturzëlë sę okreslònë òrtë eksploatacji tego motiwu (jãdzë o kult mowë — S.P.), dzëka chtërne-mu dzysò ju gòdac mòzna o toposu „rodny» mowë w poezji kaszëbsci”. W przëwòlònëch tu słowach Sampa zwierò sę ę wizer na przindotë: mòzëlëwë je podskacenië taciëgo ogniszczã, chtërne fascënuje calëchnã wspólnotë. Utrzymanie piomu może bëc dzelem karna dzyrsciëch, zrzeszë zdarnëch. Na nich cësnë tész kòrbnotã za spadkowiznë klasycznoscë ę racjonalizmu. Czëli to naji starkowie, korifeuszë poeticiëgo kuñsztu, chtërny zawdë cwiardo trzimãlë sę swoji zemi (integralnosc jëzëka ę nòtërë). Nawetka biblijnë słowa — ukòzcië obliòkië na modlò Florianã Ceynowë we warpowë kaszëbscië ruchna.

Letko bëm sę tu doszukòl paradoksu. Z grubnã chrzëscyjañscië podiindzenië ę tëch uczalëch Kaszëbów do nòtërë, je barzëczko pogañscië. Ni ma muszëbnòtë, bë dalek cknac, na kopë wiersztów ę pròzë, gdzie colemało kòzdechny kam, drzëwië, rëjna, jezoro, urzma sã swiëtë. Jakbë tam cëdzim sedzãla rojitwa bożków. È kòduczków. Tak së manifestëjë potrzeba tajemnotë. Nienazwanë wëg kuszi kaszëbsciëch poetów. Zbrzyccë tész. Kult maklawnegò wënë-

kiwô sê chëba z gbursci spadkowiznë. W sedno rze-
czë trôfiô tedë Jerzy Stachurski ze swojã powiôtstkã:
„ziemia barzi wiernô niż metafora”.

Ziemia czë boscië niebo? Co mocni wëkrzôsô arti-
stycznë zwidë? Mie sê równak widzy, że wdrawowa-
li zësmë w czãd, ciedë prawie wszëtko zwiôsto od
metaforë. Leno metafora może podnieść ziemiã na
wizawë nieba. Starków ziemia je najim, w chtërnym
to, co miało urosnąć, ju urosło. Ji zabestrzenië, ji
chutkosc, pochwatnosc, snôżota zanôlegô terô od naji
poetów ë pisôrzów. Czimżë ona bë bëła bez ny przë-
garstny utwôrców, co sê przëcignëła przez „Pomerani-
nië”, bez lëdzy, chtërnym Zrzeszenie Kaszëbsko-Po-
morscië we Gduńsku umôżlëwiło zdôwanie z lëtera-
turã? Z tego wëpliwiô, że nôjwôżniëjszô obok zdol-
noscë udostaniô sê w spôdkowiznë, je nie tëlë odlabi-
zowanie lônsciëgo swiata, zataciwanië go w uszli
pësnoce, co stwôrzanië z materji teraznotë naji
dodóm w swiece, chtërn stôł sê cëzy. Sparlaczëc ten
malinci ë nen wiôldzi. Droga do zwënegowaniô toż-
samoscë prowadzy przez odwôrzanië, to je prôwdã,
ale wierë wiëkszë znaczenië mô stwôrzanië dokôzów
lëteracciëch, chtërne mają darenk mikczeniô, kolco-
waniô wërganemów nawetka czëtińców daleciëch od
czulotë dlô szcziglëca lëteraturë kaszëbsci. To pew-
nie je nôjbëlniëjszô obarniô przed wszelejãkã strë-
pialoscã.

Na pamięć przëchôdają słowa wiersza Jana Kar-
nowskiego:

W mólích chëczach pozamkniëti
Naszëch ojców swiat...

Më te słowa powtôrzómë, jakbë nôs opiocëła dôka
melancholiji. Tak bëło więc pierwi za Karnowskiego.
On je jawerno pozamkniëty. Leno w jinszim rozmie-
nim. W tim mólù jô bë sê odwołôł do metaforë
z ptôchem altanniciem, chtërn mô zwëk budowa-
niô farwny mozaicy. Zle jemu wzãc jeden kam, to
on za sztërk naleze taci sôm. Trzimô więc starżë nad
farwnã budacëjã, chtërnã dostôł w spôdku od nô-
tërzë. Ten ptôch symbolizuje postawë utwôrcë z prze-
szlotë. Dzysdniowy utwôrcã muszi bëc barzi przedzi-
bli w przinôtë. Nasze czasë odmôwiają mu luksu-
sów gotowi mozaicy. Muszi je wiedno na osôbce
sôm mulchnie twôrzëc, snukac ze siebie jak pajik
materijë jëzëkowã ë modlã kuñsztu, wcig powtôrzac
wôrtnotë. Słowem nalezc muszi kompas we wëstrôd-
ku swojij dëszë. Piëkno to wërazëła francëskô filo-
zofka, Simone Weil: „Jëzëlë człowiek nie skapi mië-
lotë do jaciëgôs przedmiotu, to abo dlôtego, że mië-
lotë w nim jacië okrëszk swojôgo uszlëgo żëwo-
ta, a biwô ë tak, że go zamikô w wëteskniony przin-
doce”. W tim co mô sê narodzëc skriwô sê „paradig-
mat” najëgo utwôrstwa.

Wiôldzië ustôgowanië racjonalizmu wëstworzëło
technikë, a ta obrôcëła sê prôcem człowiekowi ë ca-
li biosferze. Gdze, w czim je rëtenk? Przëwôrcëc na-
zôd prawo obywatelstwa krijamnôcë. Potencjôł kas-
zëbsci duchownoscë może bëc cëdównym instrumen-
tem, kompasem chtërn pomoze we wëtrafienim do
tego, co nadlëdzczië ë w odbudowanim poczuô har-
moniji z kosmosowã transcendencjã.

Wôżné je tedë, żebë ta ziemia bëła dlô nôs weig
ziemiã cëdów. Przë leżnoscë nacidnë, że dôwają na
to bôczenië ë ti, co wëstowiają kole swojich chë-
czów stôlpë z postacëjami swiętego Biedaczëni z
Asyżu.

Zapitôlbë sê chto, jak to wszëternôstko mô udwi-
gnãc poeta, mëster od prozë? Przëcë na jëgo puku
tëlë je rozmajitëch cëżôrów. Wiemë, że on sê nie
jisci baro. W swojij zuchternoscë jako prôcownik sło-
wa chce sê doszarpac bëlniëjszëch plônów. Żebë nie
zaostac slôdë wpôdiwô czasem w ogrôszkë przëla-
czeniô: dorównac, dosignãc jinszëch, żebë to, co
wëchodzy spod mojôgo piôra nie bëło gorszë od tego,
co gdze jindze zmëstrowali, na blëscim ë dalecznym
zamiedzu. To wzeranië na cëżëch może bëc ë zbaw-
czë dlô lëteraturë ë szkodlëwë w swojich skutkach.
Szkodlëwë, ciedë sê przëstëwniô w kompleks. Jinsi
sã terôsku romantikami abo magicznymi realistami,
më téż musimë pisac wedle ti receptë abo modlë.
Më ni mômë epopeje w stylu romantycznym, drama-
tu historicznëgo?... Nôlezi je stwôrzëc. È co? Mômë
epopeje spôżnionë, chobë Heykego „Wojewoda”,

IX SEMINARIUM KASZËBSZCZË

Najnowsza literatura kaszëbska była tematem
IX Seminarium Kaszëbsczëgo, które odbyło sê 27
i 28 wrzësnia w Łacënińskij Hucie. Pisarze, młodzi
twôrcy kaszëbscy wraz z wydawcami i znawcami
kaszëbszczyzny w ciãgu dwôch pracowicie spëdzo-
nych dni wysluchali 4 referatów, które każdorazo-
wo uzupełniali dyskusjã. Wprowadzeniem do zasad-
niczej dyskusji był referat Stanisława Jankego „Ro-
la i znaczeni nôwôżniëszich faktów kol naji lëtera-
turë powojnowy”. Głównë tezy jëgo wypowiedzi
sprowadzaly sê do oceny wartosci artystycznych li-
teratury publikowanej na łamach wejherowskiej
„Zrzeszë Kaszëbsczij” (1945–1947), „Kaszëb” (1957–
1961) i „Pomerani”. Dyskutanci rozszerzyli tã wy-
powiedz o cenne uzupełnienia i polemiczne sãdy.
Ustosunkowali sê równëż do najnowszëj ksiãżki
Jana Drëzdżona „Wspôłczesna literatura kaszëb-
ska” (Warszawa, 1986), wydanej przez Ludowã Spô-
dzielniã Wydawnicã. Wiëkszô wypowiedziacych
së z powodu wielu nagromadzonych błędów mery-
torycznych i nieściôsci oceniã ksiãżkë krytycznie,
pozytywnie przyjmując tã czëść publikacji, która
zawiera refleksjë i zwierzënia twôrców kaszëbskich.
Ksiãżka wymaga niewãtpliwë rzetelnëj recenzji.

Kolejnëgo tematu dyskusji dostarczyla ksiãżka Je-
rzego Sampa „Poezja rodnej mowy” (Gdańsk, 1985).
Przyjëtã pozytywnie w spôłeczności zrzeszonej, wy-
soko oceniona zostala takżë w esëju, który zapre-
zentowal Stanisław Pestka; tã ocenë potwierdzili
równëż dyskutanci. W krëgu dyskusji znalazli së
takżë drugi zbiôr wierszy Jana Zbrzycy „Wizrë ë
duchë” (Gdańsk, 1986). Nurt intelektualny zapoczą-
tkowany w rodzimëj poezji przez Zbrzycë stâl së
tematem poglëbionych refleksji Barbary Pisarek
i Eugeniusza Gołãbka. Zarówno oni jak i dysku-
tanci wiële uwagi poświęcili jëzykowi poezji autora
„Wizrów ë duchów”, nie pomijając jë bogactwa ar-
tystycznëgo i kulturowego.

W dalszej czëści obrad red. Tadeusz Skutnik
przedstawił informacjë o zamierzeniach wydawni-
czych zrzeszeniowëj oficyny. W imponujãcej liczbie
ksiãżek znaczne miëjsce zajmuje literatura kaszëb-
ska. Optymizm gaszã jednak wciąż narastające trud-
ności wydawnicze, a przede wszystkim nie zatwier-
dzony dotãd przez Ministerstwo Kultury plan wy-
dawniczy na rok 1986.

Milim przerywnikiem pracowitych zajëc była wie-
czorna biesiada artystyczna. Koncert piosenek i pie-
śni kaszëbskich dali Jerzy Łysk z Gniëdzëwa i ze-
spôł wokalnoinstrumentalny prowadzony przez Jo-
lanët Treder ze Stëżycy, a twôrcy odczytali swojë
najnowsze utwory poetyckie i prozatorskie.

Uczestnicy, nawiãzując do dobrej tradycji, roze-
slali listy z pozdrowieniami do pisarzy, którzy z
rôżnych przëczyn nie mogli wziãc udziału w se-
minarium. Listy wyslano w kopertach, które ozdobił
okolicznosciowã grafikã Witôłd Bobrowski. Se-
minarium zorganizowane zostalo, jak i w latach po-
przednich, przez Oddział Gdański Zrzeszenia, a prze-
wodniczył mu doc. dr Józef Borzyszkowski.

Jan Lipuski

chtërne chwaszczã papiôrem. Leno nie jëgo mulchnë
eroticië. Czëłota do zdarny dzewë je czëłotã dlô dë-
chowitë tãczëznë — dlô rodny mowë. Prôwdżëwô je
uwôga J. Sampa, że swiat kaszëbsci, to „swiat z
nadwizkã historiji”. A to historjô nie mujkała nôs
po skarniach. Wiedzô o tim nie wëstarczy żebë cos
piëknëgo dëzac. Strôszk grozë nie biwô dostawcã
nôjwôrtniëjszëgo poradzenku. Jak së z tego wële-
karzëc? Nie odcinając së od cëżëch dokôzów jisc
swojim kôłowëzëm. Kôłowëzëm corôż bëlniëjszëgo
„lëteracciëgo dialektu”. Na stëgnë tego dialektu
wëszlë poecë z antologii.

Czë wszelejãkô krëchawizna dëcha nie zaszipoli
jednëgo czë drëdziëgo, a może całë karno utwô-
rów jaciëm paraluszëm? Mëslë, że nie! Leno czë
w kôzdim z nôs we wëstrôdku ni mô swojij jamë

króśniók strachu, poczců niebezpieku? On sę rozkoszczō nawetka tedē, ciedē sę rozchodzy pomiōn wołaniō: pod stanicē! Do pomoce, do rētunku i obro-nē majēch swiętēch mōlōw! Zastawmē drogę nie-drēsny m cēzińcōm. Naji mēslenim ē butnowā postawā nierōz rżādzy imperatiw demonstracjēi. Rzeki-bēm, że naji poeticiēi usōdzcī ē całō kaszēbskō je czēsto demonstratiwnō. Przēdałobē sę wicy kontem-

placjēi, bo ona je barzi kreatiwnō! Wicy kontempla-cjēi, usmiēniō, komizmu, nie leno we wēdanim Gu-czowēgo Macka!

Kaszēbizna mdze miała swoje przepiwiē ē odpī-wē, jī sztōłt mdā żłobilē rozmajite meandrē. W tim je cos normalnēgo, jak kōrbi Jerzy Samp. Tak mdze witro, w chtērym, mōm machtnā nōdzcjē, nie mdze mōlu dlō kaszēbiznē martwi. ■

CZY „SOCJOLOGIA ZIEM ZACHODNICH” JEST ZNÓW OBECNA?

Marek Latoszek

LABORATORIUM SOCJOLOGICZNE

Odkładany kilkakrotnie Zjazd Socjologiczny osta-tecznie odbył się, między 17–20 września, we Wro-clawiu. Laboratorium socjologiczne — używając o-kreślenia Janusza Ziółkowskiego — stanowiły Ziemie Odzyskane z dokonującymi się tu różnorodnymi i na wielką skalę procesami społecznymi. Im też poświę-cona była jedna z czterech sesji ogólnych oraz dwie z dwudziestu jeden grup roboczych. Na sesji, która inaugurowała obrady, wygłoszono trzy referaty: Władysław Markiewicz — „Wpływ Ziem Zachodnich na kształtowanie się kultury politycznej społeczeństwa polskiego”, Andrzej Kwilecki — „Procesy integracji Ziem Zachodnich z Macierzą” oraz Władysław Misiak — „Integracja społeczności Ziem Zachodnich”.

Przewodniczący Polskiego Towarzystwa Socjologi-cznego Janusz Ziółkowski nawiązał między innymi do koncepcji Polski Piastowskiej. W wyniku maso-wych przemieszczeń w nowych granicach powstał zupełnie „inny” naród — jednolity etnicznie i reali-zujący się w ekspansjonizmie młodego pokolenia warstw ludowych.

Władysław Markiewicz jeden z wątków poświęcił problemowi granicy na Odrze i Nysie, sugerując roz-patrywanie go na tle globalnej polityki światowej, przy zaznaczeniu, iż stanowi ona podstawową zasadę jednoczącą Polaków niezależnie od wyznawanych po-glądów.

Z kolei Andrzej Kwilecki zwrócił uwagę, że już w 1945 r. politycy skierowali do nauki pytanie — „jak scalić Ziemie Odzyskane z całą Polską?” Wy-zwanie rzucone socjologom zostało podjęte. Zachodzące wówczas procesy społeczne wyjaśniano i in-terpretowano na gruncie teorii adaptacji i integracji. Powstały nośne pojęcia-konstrukty, np.: „ludność pogranicza” — „ojczyzna prywatna”, „ojczyzna ide-ologiczna” itp., które do dziś zachowały swoją war-tość, zwłaszcza dla analiz zachowań ludności rodzi-mej i społeczności regionalnych. W nawiązaniu do tradycji polskiej szkoły socjologicznej zebrano liczne pamiętniki. Niestety, obok wartościowych, są wśród nich również i takie, co do autentyzmu których moż-na by mieć wątpliwości. Dobór jury, tekst publiko-wanych odezw i atmosfera towarzysząca tym przed-sięwzięciom sprzyjała nadsyłaniu wyselekcjonowa-nych, apologetycznych wypowiedzi. Było to — jak dziś możemy sądzić — sprzeniewierzenie się zasadom etycznym socjologii.

Socjologowie formułowali także zalecenia i dyrek-tywy praktyczne; wystarczy przypomnieć koncepcję Pawła Rybickiego — organizacji osadnictwa miej-skiego w oparciu o zasady samorządowe. Prawie wszyscy wybitni socjologowie, niezależnie od tego, z jakiego pochodzili środowiska, związani byli z „so-cjologią Ziem Odzyskanych”. Należałoby może wy-różnić ośrodek poznański za inicjatywy wydawnicze. Z opracowań, które się wówczas ukazywały wynika, że najbardziej penetrowany badawczo był Dolny Śląsk, znacznych opracowań doczekały się także Ziemia Lu-

buska i Pomorze Zachodnie. Problemy Pomorza Wschodniego podejmował w swych pracach Bolesław Maroszek, akcentując znaczenie integracji instytucjo-nalnej w społeczeństwie województwa gdańskiego.

Interesującą tezę o rozszerzeniu pojęcia ojczyzny prywatnej sformułował W. Markiewicz. Początkowo stanowiła ona odniesienie jedynie dla ludności rodzi-mej, później stała się nią również dla autochtonów „świeżej daty”, „nowego autochtona”. W ciągu czter-dziestu lat pojawiły się bowiem symbole, miejsca, święte i nowe zabytki, które jednoczą mieszkańców tych ziem. W. Markiewicz podjął również próbę od-powiedzi na pytanie — „dlaczego Ziemie Zachodnie nie stały się uosobieniem etosu pracy dla całego na-rodu?” Główną przyczynę upatruje w centralizmie biurokratycznym stalinizmu, który po 1956 r. przyjął wersję systemu nakazowo-rozdzielczego, z czym jesz-cze i obecnie się stykamy. Można dopowiedzieć pow-szechnie znane już dziś prawdy, że działania pozorne, fasadowość i zanik podmiotowości mają swoje źró-dło w sparaliżowaniu mechanizmów kontroli społecz-nej i opinii publicznej. Jak gdyby uzupełnieniem te-go fragmentu wypowiedzi Markiewicza była część referatu A. Kwileckiego, w której autor zaakcento-wał zjawisko nasilenia protestów społecznych i na-rodzenia się „Solidarności”, i ich funkcje w prze-zwyciężaniu deformacji społecznych. A. Kwilecki skonstatował, że polityka wobec Ziem Zachodnich nie była konsekwentna, tak w dziedzinie gospodar-czej, jak i administracyjnej. Wyszukał ciekawą hi-potezę przyczyn społecznych protestów na Wybrzeżu, upatrując istotną rolę — obok czynnika gospodarcze-go — w niespełnionych oczekiwaniach. Powstające tu bowiem społeczności były bardziej egalitarne i wyzulone na układ partnerski: władza — społecz-ństwo, a także na docenianie indywidualnego wysiłku związanego z trudami pionierstwa.

Niektóre sformułowania w obu referatach budzą jednak pewne wątpliwości. Chociaż była mowa o błędach wobec ludności rodzimej, to jednak dało się zauważyć ślady wartościowania na niekorzyść lud-ności rodzimej, która rzekomo nie wytworzyła atrak-cyjnych wzorów i stanowiła element bierny. Jest to co najmniej zbyt daleko idące uogólnienie. Na Ziemi Gdańskiej właśnie ludność rodzima stanowiła grupę dominującą, a legitymację do tego dawał jej wyż-szy poziom cywilizacyjny oraz przede wszystkim identyfikacja z ojczyzną prywatną — czego brako-wało ludności napływowej. Trudno zresztą, aby lud-ność ta, w zdecydowanej większości o niskim stop-niu wykształcenia i kwalifikacji, wywodząca się przeważnie ze wsi i małych miast, mogła odegrać jakąś większą rolę w tym przypadku. Liczni bada-cze, np. B. Maroszek, piszą także o negatywnych spo-łecznie wzorach zachowań i współżycia, które nie-rzadko cechowały przybyszów. Nie należy oczywiście „przesadzać w drugą stronę”, ale trzeba pamię-tać, że bezkrytycznie lansowana ideologia pionierska została wykorzystana w tamtych latach do dyskry-minacyjnej polityki wymierzonej w ludność rodzi-

mą; zakładała ona bowiem, że ludność ta, pozbawiona podmiotowości, zostanie mechanicznie włączona jako masa w nowy organizm państwowo-narodowy.

PROBLEMY ZIEM ZACHODNICH PO DWUDZIESTU LATACH

Zagadnienie niepowodzeń włączenia autochtonów do wspólnoty narodowej wypłynęło z całą ostrością podczas obrad grupy roboczej, której tematem były „Procesy przemian społecznych na Ziemiach Zachodnich i Północnych w badaniach empirycznych”. Obradom grupy, która skupiała blisko 50 osób, przewodniczył szczerzycjanin Ludwik Janiszewski; wygłoszono 8 komunikatów. Dwa pierwsze poświęcone były społeczeństwu Śląska Opolskiego.

Z prelekcji Roberta Razińskiego („Kwestia emigracji polskiej ludności rodzimej do RFN w latach 1950—1985”) dowiedzieliśmy się o bulwersujących sprawach, m.in. że w latach 1955—1983 (wg biura paszportów) do Niemiec Zachodnich wyemigrowało z Dolnego Śląska ok. 1/2 mln osób. Z kolei Andrzej Posierbiński („Polska ludność rodzima Śląska Opolskiego w świetle dynamiki przemian społecznych w Polsce w latach 1945—1985”) mówił o splocie problemów, które przyczyniły się do masowej emigracji. Ludność miejscowa, ukształtowana przez procesy pogranicza, była przedmiotem dyskryminacji i upośledzenia. Została m.in. pozbawiona własnej reprezentacji i stowarzyszeń samorządowych. Faworyzowana była natomiast ludność napływowa, łącznie z tą jej częścią, którą charakteryzowały wzory naruszające współzycie społeczne. Miało to miejsce w warunkach walki politycznej, akcji repolonizacyjnej i reformy rolnej. W odpowiedzi na to autochtoni zamykali się we własnej grupie, którą podtrzymywały silne więzi rodzinno-sąsiedzkie. Ugruntowało to trwałe bariery między tą ludnością a innymi grupami ludności polskiej oraz silne konflikty z administracją. Emigracja stała się zjawiskiem masowym i — jak to ujął R. Raziński — ma ona aspekt moralny, bo przecież wiąże się z deklaracją przynależności do narodowości niemieckiej.

Interesujące też było inne wystąpienie wiążące się z Dolnym Śląskiem. J. Kozak scharakteryzował Legnicę jako miasto o najwyższym w Polsce poziomie przestępczości i patologii społecznej. Zwrócił przy tym uwagę na pewne cechy tego miasta, [— — —] art. 2 p. 3 Ustawy z 31 VII 1981 r. o kontroli publikacji i widowskich (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. Dz. U. z 1983 r. nr 44, poz. 204). Znamienne jest również to, iż nie było tutaj grupy dominującej, jak na przykład we Wrocławiu, gdzie odegrała ona istotną rolę w procesie integracji nowego społeczeństwa. Z badań przeprowadzonych w 1985 r. wynikało, że aż 54 proc. mieszkańców zadeklarowało chęć opuszczenia Legnicy i przeniesienia się do innej miejscowości. Te i inne (nie przytoczone tu) dane świadczą o braku poczucia wspólnoty wśród mieszkańców. Jest on potęgowany dodatkowo przez świadomość klęski ekologicznej, która zagraża miastu.

Na występowanie podobnych zjawisk na Warmii i Mazurach wskazał Andrzej Sakson („Problemy dezintegracji społecznej ludności rodzimej Warmii i Mazur”). Izolację ludności rodzimej pogłębiały tutaj różnice religijne (wyznanie ewangelickie). Wśród ludności dominuje świadomość „pośrednia” — w pierwszym rzędzie ojczyzny prywatnej nie zaś ideologicznej; badani nie deklarują się w kategoriach państwowych. W wyniku emigracji zaprzepaszczone zostały w dużej mierze osiągnięcia akcji osiedleńczej i adaptacyjnej. Emigracja przybiera postać reakcji łańcuchowej, powodując głęboką dezintegrację społeczną wiążącą się z podziałem rodzin, społeczności lokalnych i zakłóceniami na rynku pracy. A. Sakson mówił następnie o powołaniu w 1981 r. w Olsztynie — nie zatwierdzonego przez władze wojewódzkie — Mazurskiego Zrzeszenia Kulturalnego. Autorzy inicjatywy w 10-punktowym programie wskazywali na dyskryminację i upośledzenie Mazurów, błędy polityki emigracyjnej, zaniedbania w dziedzinie pielęgnowania tradycji i szerzej pojętej kultury, a także pozabawienie własnej reprezentacji tejże społeczności.

Jak na tle obrazu innych społeczności regionalnych wygląda sytuacja Kaszubów? Swego czasu przyjąłem hipotezę, że to właśnie oni stanowili grupę dominującą w momencie formowania się społeczeństwa gdań-

skiego („Gdańsk a Kaszuby w oczach socjologa” „Pomerania” 10, 1986). Zbigniew Szczypiński w wygłoszonym komunikacie („Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie — przykład instytucji integrującej społeczność kaszubską”) sformułował pogląd, że Zrzeszenie w dużym stopniu zadecydowało o losach społeczności kaszubskiej. Wystąpienie Z. Szczypińskiego koncentrowało się wokół idei akcentującej wagę własnej autentycznej reprezentacji. Samorządna i samofinansująca się instytucja, dysponująca ponadto własnym wydawnictwem i pismem („Pomerania”) — a taką jest ZK-P — wyraża interesy i dążenia grupy regionalnej na tyle efektywnie, że nie dochodzi tu do emigracji masowej (z wyjątkiem Kaszubów Bytowskich — jak pisze J. Kucharska — ML), ani towarzyszących jej zjawisk dezintegracji społecznej. Referent, bazując na pracy Józefa Borzyszkowskiego, wskazał też na zależność pomiędzy funkcjonowaniem Zrzeszenia a sytuacją społeczno-polityczną. Różne inicjatywy Zrzeszenia pojawiały się w czasach „odwilży”, natomiast w okresach „zamrożeń” jego działalność traciła na dynamice.

W omawianej grupie roboczej prezentowano również referaty, w których przedmiotem analizy były społeczeństwa Gdańska i Szczecina. W tym kontekście wspomnę o swoim komunikacie z badań własnych na temat „Więzi i przejawy integracji w społeczności Gdańska na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych”. Prezentując, z konieczności skrótowo, na Zjeździe swój tekst, starałem się wykazać, że społeczeństwo gdańskie w tym okresie nie wykazywało cech tzw. społeczeństwa zatamizowanego. Na podłożu różnych występujących i nakładających się na siebie więzi nieformalnych oraz systemów wartości kształtowało się poczucie wspólnoty (rodzinnych, koleżeńsko-przyjacielskich, pracowniczych itp.), w których ludzie mogli realizować się podmiotowo. W nich też — przy utrzymującej się izolacji międzywarstwowej — komunikowane były nastroje rosnącego niezadowolenia i dezaprobaty wobec ówczesnej sytuacji społeczno-ekonomicznej kraju. Brak czasu nie pozwolił mi już niestety zreferować pamiętników zebranych podczas badań posierpniowych („Polski Sierpień 1980 we wspomnieniach”).

W omawianym nurcie wystąpienia zabrakło mi osób, o których wiem, że dysponują interesującymi materiałami, np. Teresy J. Makowskiej czy Stanisława Łaski — w tym przypadku odnoszącymi się do społeczeństwa szczecińskiego.

Obok poprzednio omawianego problemu postaw i zachowań ludności rodzimej, drugie wielkie zagadnienie Ziemi Zachodnich (a zarazem całej Polski) łączy się z Wybrzeżem, jako miejscem powtarzających się protestów społecznych. Niestety, na Zjeździe powyższy problem był prawie nieobecny, jeśli nie liczyć kilku wzmianek; tak więc trzeba zarejestrować selektywne pominięcie nader ważnego faktu społecznego. W tej sytuacji upomnienie się o „socjologię posierpniową” trzeba rozpatrywać w kategorii odwagi etycznej i poznawczej. Krzysztof Podemski z Poznania był jedyną osobą, która wprost zadeklarowała identyfikację z nią jako obowiązek moralny. Wyodrębnił on „socjologię posierpniową” na osobnej zasadzie, przyjmując, iż łączy ona socjologów różnych orientacji na gruncie wspólnych wartości: podmiotowości i przysługujących jednostce i społeczeństwu praw. Podstawowa linia podziału dla zwolenników tego stanowiska przebiega wciąż na tle nie rozwiązanej jeszcze kwestii: władza — społeczeństwo. Według K. Podemskiego nie można analizować społeczeństwa bez uwzględnienia okresu 1980/81 i bez zastosowania teorii konfliktu do wyjaśniania i interpretowania zjawisk społecznej rzeczywistości Polski.

CZY POWRÓT DO „NIEKONTROWERSYJNEJ KOEKZYSTENCJI”?

W obradach Zjazdu, niestety, nieobecne były ważne fakty i wydarzenia polityczne, ekonomiczne i ekologiczne. Nie dokonano też typologii faz okresu posierpniowego. Tak, jak gdyby rzeczywistość społeczna — wykorzystując w innym kontekście sformułowanie Jana Strzeleckiego — stanowiła „rzeczywistość dodatkową” do rozważań o samej socjologii. Ta tendencja do zastępczego kreowania przedmiotu nie pojawiła się „od dzisiaj” — ma ona źródło w cechach socjologii akademickiej i jej dominancie. Od dawna ma miejsce spychanie przez nią nurtu empirycznego na plan drugi. Socjologiczne techniki nie są dostatecznie przygotowane do zbierania wiarygodnego i wartościowego materiału w warunkach destabilizacji i kryzysu społecznego. Kryzys metody ujawnia się

szczególnie mocno w sytuacji szybko toczących się wydarzeń społecznych — wówczas nieprofesjonalni badacze faktów społecznych wyręczają i wyprzedzają socjologów (pisałem o tym już pięć lat temu — „Okno w oko ze społeczeństwem”, „Czas” 45, 1981). Ten niedowład metody ma miejsce także w innej sytuacji, gdy wyniki badań różnych ośrodków opinii publicznej służąc celom nie naukowym, narzucają społeczeństwu poprzez środki masowego przekazu taki obraz zjawisk i wydarzeń, który jest niezgodny z etosem i metodologicznymi wymogami środowiska socjologicznego. Bezradność dyscypliny, a także utrudnione warunki i możliwości publikowania własnych badań oraz diagnoz odbijają się w różny sposób — również nieobecnością młodych socjologów na Zjeździe.

Czy zatem ma miejsce powrót do „niekontrowersyjnej koegzystencji” (termin Jana Lutyńskiego), mimo niespełnionych oczekiwań własnego środowiska? Taką oceną wydaje się nieuprawniona. Wyartykułowanych zostało bowiem również wiele tez, twierdzeń i poglądów, które nawiązują do krytycznego nurtu socjologii końca lat siedemdziesiątych (np. głosy: Andrzeja Tymowskiego, Marka Ziółkowskiego, Antoniego Suika, czy Janusza Goćkowskiego). Inne głosy — pomijam referaty główne — nawet poza ten nurt wykraczają (Krzysztofa Podemskiego i Zbigniewa Szczypińskiego). Oznacza to, że oczekiwania wobec socjologii znacznie wzrosły, a zarazem ją samą postępuje się coraz bardziej krytycznie.

W latach 60-tych zadeklarowano, że Ziemię Odzyskane zostały zintegrowane z innymi ziemiami polskimi. Pociągnęło to za sobą zmierzch socjologii Ziemi Zachodnich. Próźnię tę starała się skromnymi siłami wypełnić socjologia morska. Jednakże ze względu na specyfikę przedmiotu oraz założenia teoretyczno-metodologiczne zadanie to nie mogło być łatwe. Po dwudziestu latach okazało się, że co najmniej dwie ważne sfery zjawisk występujących na Ziemiach Zachodnich wymagają nadal ekspertyz i analiz socjologicznych: postawy i zachowania społeczności regionalnych oraz źródła protestów społecznych. Socjologiczne konstrukty Stanisława Ossowskiego i teoria konfliktu mają nadal w analizowaniu tych zjawisk priorytetowe zastosowanie. Wydaje się, że problemy te mogłyby być głównym tematem Zjazdu — obok zagadnień związanych z zasiedlaniem Ziemi Zachodnich — niestety wybrano formułę eklektyczną, która w rezultacie nie przyniosła nowej wiedzy o społeczeństwie ani też zbyt wielu znaczących konstrukcji teoretycznych. Nie ulega wątpliwości, że do referatów, które wywołały oddźwięk, należy zaliczyć dwa: Miry Marody — „Stan świadomości społeczeństwa polskiego” oraz Jana Lutyńskiego — „Socjologia polska lat osiemdziesiątych: warunki i perspektywy”.

I jeszcze trochę statystyki. W Zjeździe uczestniczyło ok. 450 osób; wygłoszono ponad 100 referatów i komunikatów; około 100 osób zabrało głos w dyskusji. Odbłyły się posiedzenia 21 grup roboczych; nie było tym razem grup ad hoc (sic!). ■

Na przekór kłątwie

Jerzy Samp

Kilka miesięcy temu w wydzielonej części Bazyliki Mariackiej w Gdańsku pojawiły się, na posadzce, osobliwe przedmioty. Miejsce ekspozycji ma już pewną tradycję, tu bowiem można było wcześniej oglądać m.in. setki detali wielkich organów pochodzących z kościoła Św. Jana, a dziś służących bazylice. Tym razem rozłożono znacznie mniej przedmiotów, lecz za to znacznie starszych niż bogato rzeźbiony prospekt organowy.

Wyjaśnijmy, że mowa o zachowanych fragmentach słynnego zegara astronomicznego. Mariacka świątynia chlubiła się nim od drugiej połowy XV wieku przez długie stulecia, a jego sławy nie pomniejszał nawet fakt, że sprawność owego arcydzieła średniowiecznej techniki nie trwała bodaj dłużej niż sto pięćdziesiąt lat.

Potężny lecz martwy mechanizm sięgającego 13 metrów, wielofunkcyjnego zegara astronomicznego, noszącego, poczynając od końca wieku XVI, coraz wyraźniejsze ślady zaniedbania, mógł zarówno fascynować, jak i irytować ludzi odwiedzających to miejsce. Stał bowiem bezużytecznie i miast odmierzając czas i wybiając godziny, był jakby pomnikiem zatrzymanych dziejów. Każde dziesięciolecie wyciskało na nim własne piętno, zubożając rzeźbiony teatr ruchomych figur, drewnianą ornamentykę, żelazny werk, wypaczając tarcze gęsto zapisane cyframi i literami niekiedy solidnie pozłożonymi. A jednak, mimo tumultów, wojen i pożarów, jakie przeszły nad Gdańskiem wcale nie oszczędzając kościoła Mariackiego, zegar trwał w swej wielkiej, niezniszczalnej zdawałoby się masie i, choć w szczątkowej postaci, przetrwał aż do naszych czasów. Przypomnijmy zatem dzieje zabytku, który w późnośredniowiecznym Gdańsku był niewątpliwie jednym z cudów ówczesnej techniki.

W połowie XV wieku jedyny umieszczony we wnętrzu kościoła Najświętszej Panny Marii zegar był już daleko niewystarczający, toteż postanowiono ufundować drugi, bardziej nowoczesny i większy od

tamtego. Ojcowie świątyni zwrócili się w roku 1462 z prośbą o wykonanie takiego do mistrza Krumdika. Postanowiono umieścić go w miejscu dobrze widocznym. Takim właśnie była wschodnia ściana kaplicy Św. Krzyża tuż przy zakrystii i ołtarzu św. Barbary, a zarazem w pobliżu drzwi prowadzących na zewnątrz.

Zegarmistrz ze zobowiązania się wywiązał, pieniądze należne mu za pracę otrzymał, ale jego dzieło nie wzbudziło chyba zachwytu (a może mechanizm nazbyt często szwankował), skoro już w dwa lata później zlecono niejakiemu Hansowi Düringerowi (Doringowi) z Torunia wykonanie innego zegara.

Umowa zawarta została w ostatnim dniu kwietnia 1464 roku. Zgodnie z przyjętym projektem miał to być wielkich rozmiarów zegar astronomiczny, trójkondygnacyjny, bogato rzeźbiony i dekorowany, a przy tym wyposażony oczywiście w niezwykle skomplikowany mechanizm. Mistrz przedstawił swoim pracodawcom szczegółowy wykaz materiałów niezbędnych do wykonania części zewnętrznej, jak i schowanego werku. Zapłata wynosić miała 300 marek oraz sześć guldenów węgierskich. Przekazano też Düringerowi zegar skonstruowany przez Krumdika. Mistrz zaś zobowiązał się do terminowego wykonania dzieła oraz kwartalnego pobytu w Gdańsku na własny koszt.

Rychło jednak duchowne władze wzięły na siebie koszty utrzymania nie tylko Düringera, ale i jego syna, a że budowa mimo wszystko przeciągała się, i to nawet dość znacznie, ojcowie kościoła Mariackiego coraz częściej zachęcali swego zegarmistrza do zamieszkania w Gdańsku na stałe. Ten wyrażał się zrazu koniecznością dokończenia prac prowadzonych w rodzinnym Toruniu, lecz gdy zaoferowano mu na własność kamieniczkę przy ulicy Św. Ducha, zmienił zdanie.

Tak wreszcie po sześciu latach dzieło zostało ukończone. Nie trzeba dodawać, iż całe przedsięwzięcie wymagało olbrzymiej wiedzy matematycznej, astro-

nomicznej i umiejętności mechanicznych nie lada, skoro zegar-olbrzym, ów żywy kalendarz pokazywał godziny, daty, dni tygodnia, daty nowiu, stałe i ruchome święta, fazy księżyca, pozycje słońca i księżyca wśród gwiazd i znaków zodiaku, a także inne jeszcze elementy cyklu słonecznego. Ruchome, metalowe części tarcz były bogato zdobione. Jedna z nich np. zawierała zupełnie później zatarty relief wyobrażający Madonnę w promienistej koronie.

O ile prawidłowe odczytanie wszelkich wiadomości, których dostarczał niezwykle chronometr na swych obu wielkich tarczach, wymagało nie lada wiedzy, o tyle przecież tzw. teatr figur ukazujących się o określonych porach dnia na najwyższej, trzeciej kondygnacji, oraz towarzyszącą im melodia dzwonów i dzwonek nie wymagały już żadnego wtajemniczenia. Przeto ta właśnie funkcja zegara przysparzała mu największej sławy.

Oto w samo południe w drzwiach planetarium ukazywała się scena Zwiastowania oraz Pokłon Trzech Króli, zaś nieco wyżej można było podziwiać przesuwających się apostołów i ewangelistów: Marka, Mateusza, Łukasza i Jana. Zwieńczenie całości stanowiły ponadto dwie postacie: Adam i Ewa, pośród których z drzewa wiedzy unosił ukoronowaną głowę wąż kusiciel. To właśnie figurki wyobrażające pierwszych rodziców cierpliwie wydzwaniały tu każdą godzinę.

Jak wynika z dawnych przekazów, zegar był dumą całego miasta. Potwierdzają to nawet pisma drukowane wówczas, gdy liczył już sobie sto lat. Podziwiano dzieło mistrza Düringera i sławiono w świecie jego imię. Niewiele jednak wiadomo o dalszym losie tego człowieka i zegarach, które być może jeszcze stworzył. Według niektórych źródeł nie dane było mu długo cieszyć się zasłużoną sławą. Zmarł bowiem już w roku 1477 i pochowany został przed jedną z kaplic kościoła NMP w Gdańsku. Od domniemanej daty jego śmierci minęło może sto pięćdziesiąt lat, gdy wyeksploatowane części mechanizmów zegarowych zaczęły odmawiać dalszej pracy. Wielki zegar stanął wówczas i już nikomu nie było dane na powrót go uruchomić.

I tak oto zaczęto w Gdańsku mówić o kławie, co zawisła nad miastem zazdrośnie broniącym własnej sławy, pysznym i żadnym chwały. Już w XVIII wieku krąży tu opowieść o krzywdzie wyrządzonej przez gdańszczyzan twórcę astronomicznego zegara. W literaturze polskojęzycznej najwcześniej badające odnotowały istnienie takiego przekazu warszawski klasyk — M. Wyszkowski. Odbył on w roku 1803 podróż do Gdańska, a następnie opisał ją w modnej wówczas konwencji epistolarnej¹. Wspomina tam o jednym z dozorców Mariackiej fary, który jako osobliwość wielką pokazywał przybyzsom z Polski:

„Zegar (jak mówił) kunsztownej roboty,
Mający planet wskazywać obroty.
Lecz brzydka zazdrość na to się uwzięła,
Aby pięknego nie skończono dzieła.

Wieść jest powszechna między gminem (podkr. J.S.), że gdy chciał rzemieślnik zrobić podobny dla Hamburga, gdańszczanie kazali mu wypuścić oczy”².

Zapis podania w niemieckojęzycznych „Sagenbuchach” pojawia się dopiero w roku 1871 i jest dziełem J. B. Grässego³, za którym treść tę powtarzała będą F. Brandstätter⁴ i P. Behrend⁵. Dla nas zwłaszcza walor szczególnie mają słowa autora „Starej baśni”, który gościł w Gdańsku w latach 60-tych ubiegłego stulecia. Kraszewski podkreślał, że w chwili gdy zwiedzał świątynię, gdański zegar, nie mający nigdyś równego sobie na całym świecie — „to poważna ruina na ścianie”. Również i ten pisarz nie omieszczał nawiązać do treści legendy, którą tak silnie obrosł ów przedziwny obiekt. „Zegar ten pokazujący wszystko, co tylko zegar może wskazywać, miał być taką osobliwością wedle podania, że mieszczanie w obawie, by podobnego arcydzieła drugiego nie zrobił gdzie indziej (zazdrośni byli w średnich wiekach), wykłuli oczy nieszczęśliwemu zegarmistrzowi. Mszcząc się za to, pod pozorem małej reperacji, przepiłował w nim jakiś niedostrzeżony łańcuszek i wielkie dzieło na śmierć skazał”⁶.

W wersji odnotowanej już w naszym stuleciu

przez wspomnianego wyżej P. Behrenda mistrz Düringer miał otrzymać zamówienie nie z Hamburga lecz z Lubeki, głównym zaś winowajcą i sprawcą całego nieszczęścia był sam ówczesny burmistrz Gdańska. Kiedy zegarowy mechanizm wymagał naprawy i nikt poza oślepionym twórcą astronomicznego zegara nie mógł tego dokonać, Düringer w przystępie rozpacz i nienawiści do swych oprawców tak przestawił zębate koła i tryby, iż uruchomiony na nowo mechanizm dokonał samozniszczenia niepowtarzalnego dzieła. Mistrz zaś nie widząc sensu dalszego życia skoczył z najwyższej galerijki na kamienną posadzkę. Zginął ze słowami klątwy rzuconej na miasto, które tak bardzo go skrzywdziło.

Bogatym rozwinięciem literackim zaszygnalizowanego tu motywu baśniokregu gdańskiego jest współczesny tekst Franciszka Fenikowskiego pt. „Zegar z Mariackiego kościoła”. Autor ten świadomie przepłata faktografię wątkami fikcyjnymi. Hans Düringer jawi nam się w tym utworze, zaliczanym do lektur młodego odbiorcy, jako Hanusz Toruńczyk (!) i przybywa do Gdańska z ówczesnej stolicy Polski czyli z Krakowa, gdzie towarzyszącą mu córka Ofka pozostawia swego umiłowanego. Na tle intrygi miłosnej ukazany został też nowy sprawca nieszczęścia — rzeźbiarz Kunc. Ten zakochany w Ofce — oczywiście bez wzajemności — snycerz, któremu przyszy zięć Hanusza odbiera pracę przy zdobieniu zegara jest tym, o którym mówi się w Gdańsku, iż jakoby przybił do krzyża własnego ucznia, by przyglądając się konającemu wierniej oddać w rzeźbie mękę umierającego Zbawiciela.

Gdy wielkie dzieło jest już gotowe i Hanusz postanawia wrócić do Krakowa, mściwy Kunc oskarża go przed burmistrzem o chęć wyjazdu do Lubeki, gdzie miały powstać zegar doskonalszy od gdańskiego. Z rozkazu ojców miasta mistrz zostaje przez katar oślepiiony, a z ust przerażonego tym co zaszło starca padają słowa klątwy na miasto i zegar. Prawdziwej zemsty za wyrządzoną mu krzywdę dokona jednak dopiero wówczas, gdy rajcy zwrócą się do niego z prośbą o ponowne uruchomienie zegara, który zamarł w chwili gwałtuadanego jego twórcy.

Doprowadzony na szczyt wysokiego rusztowania: „spuścił młot i z całej siły uderzył obuchem w zegar. Zagrzętały zębate kółka i koła. Jęknęły sprężyny (...) Kiedy zastygł mechanizm i wszystko ucichło, siwowłósy starzec zwrócił krwawe oczodoły na zebranych w kościele rajców.

— Ukaralem waszą pychę! Zniszczyłem moje dzieło. Biada! Po trzykroć biada temu, kto by próbował jej naprawić! — krzyknął łamiącym się głosem i martwy osunął się na deski rusztowania”.

Powróćmy do rzeczywistości. Gdański zegar astronomiczny nie był w XV-wiecznej Europie jedynym tego rodzaju czasomierzem. W podaniach pobrzmiewa od czasu do czasu Lubeka, jako to miasto, którego katedra otrzymać miała podobne urządzenie. Tak było istotnie. Może nawet tamtejszy zegar, podobnie zresztą jak ów z katedry münsterskiej, cieszył się większą sławą, jako że ani jeden ani drugi nie zamikł tak szybko, jak nasz. Lecz gwoździ ścisłości dopowiedzmy, że zegar z Lubeki został gruntownie odnowiony już w wieku XVI, podobnie jak ten z Münster w ubiegłym stuleciu, gdańskiego zaś nie udało się od blisko czterystu lat nawet uruchomić.

Ile prawdy jest w stwierdzeniu przywołanym przez Kraszewskiego⁸, że „chód jego był tak skrzypiący i głośny, nieznosnie się w kościele rozlegający, iż go umyślnie zatrzymano na wieki”? Być może dokładnie tyle, ile jest jej w przekazach o kławie rzuconej przez umierającego zegarmistrza na tych, którzy ośmieliliby się w przyszłości ożywić zepsuty mechanizm.

Dlaczego wszakże nie udało się to już nigdy i nikomu? Przypomnijmy, że w roku 1722 niejaki Daniel Helfer — ślusarz i kowal z Oliwy zaproponował gruntowną naprawę zegarowego werku. Zapewniał, iż będzie w stanie uruchomić stary chronometr. Nie skorzystano wówczas, a przecież ożywione „teatrum” ruchomych figurek i melodia dzwoneków przyciągnęłyby do świątyni rzesze ciekawskich. W roku 1817 już nie zdolny ślusarz, lecz szacowny gdański

zegarmistrz Jan Adam Lamprecht opracował szczegółowy plan rekonstrukcji zaopatrzonej nawet w precyzyjny model. Pomysł spodobał się zarówno ojcom miasta, jak i wyznaczonemu przez nich ekspertowi (prof. Lampe). Wszystko zdawało się wróżyć sukces... dopóki nie podano kosztów całej operacji. Zamykały się one w sumie 900 guldenów. Sam Lamprecht był tak pewny słuszności obranej drogi, że zgodził się nawet przyjąć zapłatę miesiąc po ukończeniu swego dzieła.

Niestety, udało się zebrać zaledwie 383 talary. Pelen pasji zegarmistrz próbował więc zgromadzić odpowiednie środki, publikując tekst zawierający opis i dzieje przedmiotu swej fascynacji. Wreszcie zniercierpliwiony przystąpił do pracy na własną rękę. I wtedy to niespodziewanie władze kościelne i magistrat cofnęły dane wcześniej słowo. Lamprechtowi kategorycznie zabroniono rozprowadzać dalsze publikacje o zegarze i gromadzić pieniądze na cele związane z jego rekonstrukcją. Wszelkie dalsze próby ratowania szacownego zabytku, podejmowane m.in. w latach 1822—1866 przez entuzjastów podobnych Lamprechtowi, nigdy nie zostały doprowadzone nawet do tego stadium.

Kłątwa starego Düringera zaciążyła — mówiono w ubiegłym stuleciu — nad nieszczęsnym dziełem jego geniuszu. Z ową to wymagowaną kłatwą czy też fatum zaczęto kojarzyć rozmaite wypadki. Oto choćby jeden z nich. W roku 1879 przebywał w Gdańsku przyjaciel Jana Matejki, wybitny malarz i mistrz perspektywy — Aleksander Gryglewski. Wiadomo, że bardzo interesował się on starym zegarem mariackim. Jeden z wykonanych przez Gryglewskiego w Gdańsku obrazów oddaje bardzo wierne ówczesny stan tego zabytku. Niebawem jednak wybitny ten malarz w niewyjaśnionych do końca okolicznościach ponosi śmierć. Kończy żywot dokładnie tak samo, jak w znanym nam już podaniu ginie zdesperowany Düringer. Gryglewski wypada z okna drugiego piętra Ratusza Głównomiejskiego w Gdańsku na kamienny ratuszowy dziedziniec, ponosząc śmierć na miejscu. Rzecz jasna kojarzenie obu spraw jest zabiegiem co najmniej problematycznym,

jednakże właśnie sytuację tego rodzaju stanowią najlepszą pożywkę dla owych odwiecznych „dalszych ciągów” starogdańskiego kręgu legend i podań lokalnych.

I oto, jakby na przekór kłątwie oraz trudnościom o niespotykanej skali, właśnie teraz, gdy z monumentalnego niegdyś zegara pozostały ledwie szczątki, i to mocno już sfatygowane, postanowiono raz jeszcze ów cud średniowiecznej techniki odrestaurować. Na szczęście nieprawdą okazały się słowa Fenikowskiego, iż podczas ostatniej wojny pożar w Bazylice Mariackiej strawił wszystko prócz zegarowej tarczy. W czasie wojny zegar bowiem zdemontowano i wywieziono. Udało się nawet odnaleźć 70 proc. drewnianej obudowy.

Dzieła odtworzenia całości podjął się kierowany przez doc. Andrzeja Januszajtisa komitet społeczny, któremu patronuje SIMP (Stowarzyszenie Inżynierów Mechaników Polskich). Zegar astronomiczny po latach — jeśli tylko los okaże się łaskawy — zmontowany zostanie na swym pierwotnym miejscu. Dokonano już pomiarów i wstępnych obliczeń. W drugim etapie przewidziana jest rekonstrukcja, od podstaw, skomplikowanych mechanizmów.

Oby to wielkie przedsięwzięcie doszło do skutku. CZAS bowiem nie tylko jest nieublagany dla ludzi, ale i dla urządzeń wynalezionych do jego odmierzania. Ryciny, obrazy i zdjęcia poświęcone liczącemu pół tysiąca lat zabytkowi, a wykonane w różnych okresach zdają się to poświadczać w całej pełni. ■

¹ M. Wyszowski, Opis podróży do Gdańska w r. 1803 odprawionej w liście do przyjaciela. „Nowy Pamiętnik Warszawski”, s. 213—232 i 343—350.

² Podaję za: I. Fabiani-Madeyska, Odwiedziny Gdańska w XIX w. Gdańsk 1957, s. 24.

³ J. B. Grasse, Sagenbuch des Preussischen Staates. T. 2, Glogau 1871.

⁴ F. Brandstätter, Danziger Sagenbuch. Wyd. 3, Gdańsk 1886.

⁵ P. Behrend, Westpreussischer Sagenschatz. T. 3, wyd. 2, Gdańsk 1911.

⁶ I. Fabiani-Madeyska, tamże, s. 224.

⁷ F. Fenikowski, Okręt w herbie. Warszawa 1955, s. 65—66.

⁸ J. I. Kraszewski, Listy (...) z podróży. „Kłosy” 1867, s. 227—324.

Czar i czary Sydonii Borkówny

Edwin Rozenkranz

Czary i czarownice nadal pojawiają się na kartach opracowań z zakresu historii obyczajów, kultury i prawa procesowego. Nie minęły jeszcze echa wydanej w polskim tłumaczeniu pracy Kurta Baschwitz „Czarownice” (1971 r.), do której posłowie napisał B. Baranowski, od dziesięcioleci zajmujący się tą problematyką na gruncie polskim, gdy pojawia się następna książka, tym razem poświęcona jednej „czarownicy” — Sydonii Borkównie — pochodzącej z magnackiego rodu pomorskiego. Jej autorem jest Bogdan Frankiewicz. Na pasjonującą treść „Sydonii” (Szczecin 1986, ss. 64) wpłynęło zapewne pominięcie licznych materiałów źródłowych do dziejów rodu Borków i omawianego procesu, dzięki czemu osiągnięto zwięzłą postać pracy.

Zwróćmy uwagę na wydarzenia związane z tragicznym losem Sydonii Borkówny (ok. 1555—1620). Początki rodu Borków na Pomorzu sięgają co najmniej XII stulecia, skoro w roku 1255 pojawia się Bork — kasztelan kołobrzeski, który w roku 1286 nosi się z zamiarem utworzenia nowego miasta u bram lokowanego już biskupiego Kołobrzegu. Po tej dacie niknie z kart historii kasztelania kołobrzeska

i jej dotychczasowy administrator książęcy. Zainteresowanie tworzeniem miast kontynuują potomkowie kasztelana, powołując do życia ośrodki miejskie w Łobzie (lokowanym w 1282), Resku (1288), w Strzemieli i Węgorzewie (1348). Był to największy liczebowo zespół miast prywatnych na Pomorzu. Na majątek rodowy Borków składały się również klucze przyległych dóbr wiejskich. Ich poddaniymi byli nie tylko wieśniacy i mieszcianie, ale również wasalne rycerstwo. Tak więc polityczna pozycja członków tego najstarszego zapewne rodu pomorskiego opierała się na materialnych i społecznych podstawach. W latach panowania księcia Eryka I Pomorskiego (1382—1459), senior rodu Borków — Maciej pełnił u dworu liczne funkcje dyplomatyczne. Związki z dworem utrzymywali również jego sukcesorzy. Niemalym wyróżnieniem było powołanie Jana Borka, według innych źródeł był to Chrystian Bork, do orszaku towarzyszącego księciu Bogusławowi X w jego sławnej wyprawie do Ziemi Świętej i do Rzymu w roku 1497. Polityczne związki przedstawicieli rodu Borków z dworem książęcym trwały aż do wygaśnięcia dynastii Gryfitów w 1637 roku. Zapewne też okres od

XIV do XVI wieku to okres szczytowej świetności rodu. Później Borkowie rozdrabniając swoje dobra rozproszyli się na Pomorzu.

W XVI w. Borkowie byli jeszcze rodem znaczącym. Zatem to, że Sydonia Borkówna została jedną z dam dworu książąt pomorskich było zjawiskiem stosownym do pozycji jej rodu. A dwór szczeciński w XVI wieku to nie tylko nowe, potężne i okazałe pałace renesansowe wznoszone od czasów Bogusława X (pan. od 1478 do 1532), ale także miejsce przyciągające artystów europejskiej sławy tej miary, co Łukasz Cranach i uczonych, jak dr Bugenhagen i dr Lubinus, nie wliczając grona profesorów uniwersyteckich z pobliskiej Gryfii. Nawet reformacja i jej rytuał nie zdołały przyćmić humanistycznej atmosfery życia. W takim otoczeniu przebywała słynąca z urody i powabu Sydonia Bork. Była rówieśnicą lub nieznacznie młodszą od księcia Ernesta Ludwika I — następcy tronu. Współczesne źródła milczą na temat wzajemnego stosunku młodych, za to późniejsze przekazy nie szczędzą domysłów. Okoliczność, że Sydonia tuż przed dynastycznym mariażem księcia Ernesta, bez żadnych po temu powodów, opuściła dwór, zdaje się umacniać wiarygodność tego co utrwaliła tradycja. Nie decydując się na małżeństwo z innym, być może niegodnym jej partnerem, do końca życia pozostała samotna. Wokół jej osoby rosną jednak plotki sięgające czasów pobytu na dworze. Jednocześnie popadła w spory ze swoim bratem Ulykiem na tle podziału majątku oraz z sąsiadami, którzy jakoby mieli uchybiać jej szlacheckiej godności. Tylko urodzenie, tytuły i poniesione straty, na temat których składała liczne oświadczenia, uratowały ją przed groźną opinią i oskarżeniem w chwili, kiedy w roku 1584 w Stargardzie spłonął dom, w którym zamieszkiwała, a w r. 1593 to samo powtórzyło się w Resku. Rada rodzinna dostrzegając rosnące zagrożenie postanowiła osadzić ją w klasztorze żeńskim, w którym z oporami przebywa od r. 1604. Dumna, nieprzystępna, zgorzkniała szlachcianka, nosząca ślady przemijającej urody, zapewniwszy sobie oddzielny obiekt w klasztorze, nie wytworzyła wokół siebie atmosfery życzliwości, a docierające i tu plotki wzbudziły niepokój przeoryszy klasztoru, która od roku 1612 śle do sądu dworskiego uporczywe oskarżenia skierowane przeciw siostrze Sydonii. Zarzuca Sydonii czary, stosunki z diabłem, powodowanie śmierci wrogów. Był to okres przemożnej wiary w czary, wiary tak powszechnej, że nie było ani kraju, ani środowiska, w którym ważono by się podważyć ten tak zakorzeniony przesąd. Sąd dworski, skory do działania w sprawach prostych ludzi, w jej przypadku odwlekał podjęcie decyzji. Kiedy oskarżenia były coraz gwałtowniejsze, zarzuty coraz poważniejsze, gdy zapewne wśród dworzan zabrakło ludzi życzliwych Sydonii, książę Franciszek II nakażał, późną jesienią 1619 r., ująć i przesłuchać liczącą już ponad 60 lat kobietę.

Wobec nieskuteczności samego przesłuchania, zgodnie z postanowieniami obowiązującej wówczas procedury sądowej, określonej w Constitutio Criminalis Carolina z 1532 r., oskarżoną poddano okrutnym torturom. Po ośmiu miesiącach uwięzienia, przesłuchiwań i tortur Sydonia przyznała się do wszystkich zarzutów i w pełni lata 1620 r. zapadł wyrok śmierci. Po upływie 7 dni wymaganych dla jego uprawomocnienia nastąpiło wykonanie wyroku na placu skazań w Szczecinie. Ponieważ w tym przypadku chodziło o osobę wysoko urodzoną, sąd odstąpił od zastosowania przepisanej prawem kary na czarownicę — spalenia żywcem i w drodze wyjątku wyrok wykonano przez ścięcie toporem. Jednak aby wymiarowi sprawiedliwości stało się zadość, martwe już ciało ofiary złożono na płonący stos.

Takich procesów było wówczas w Europie wiele i również wiele płońię stosów ofiarnych. Punktem zwrotnym, przynajmniej na Pomorzu Zachodnim, był proces czarownic odbyty w Koszalinie w 1694 r. Skazana na spalenie żywcem mieszcza, w czasie tortur oskarżyła swoją sąsiadkę, Barbarę Labarentz z Koszalina, o współudział w czarach. Oskarżona, za radą swoich obrońców, zwróciła się o opinię uczonych, wówczas już, ale tylko w sprawach proceduralnych,

Jerzy Łysk

Dwiérze

Posłédnym wezdrzenim
Dwiérze zamikóm
Co strąd od morza odgródzają
Bôt mój
Porenný dôczy copem oplotli
Corôz dali ě dali
W modrosc niewiadomégo
Namieniénigo
Moc swojâ wrzinô
Tam za dwiérzama
Domôcë moi
Mëmka białka dzôtczy môlé
Niepewnosc w grôscach
Scyskając ju zdżâ
Na ten môli sztócek
Cziêj dwiérze odemknę

Stegna

Stegno po chtërni
Starkowie naszî
W korkach stâpalë
Niosąc wiarę
Na szkaniach zëcô
Trzëmi so cwiardo
W zwónie ě mowie
Co niese chwałë
O tim co bëło
A bëc jész môże
Choc prosto w oczë
Lëché wiatrë wiejâ
Wiedno bądze naszâ nôdzejâ

dopuszczalną. Rada wydziału prawa Uniwersytetu w Halle na pytanie, czy zeznania torturowanej stanowią podstawę do wytoczenia procesu o czary, uznała, że oskarżona Barbara Labarentz winna być niezwłocznie uwolniona, a nadto akta śledcze przekonały uczonych, że chodziło tu również o majątek oskarżonej. (Zgodnie z ówczesną praktyką sądową w sprawach o czary, nawet uwolnieni od winy i kary oskarżeni winni byli pokryć koszty postępowania sądowego, a jako karę dodatkową stosowano konfiskatę całego majątku na rzecz sądu orzekającego w danej sprawie).

Ale w r. 1620 — roku procesu Sydonii Bork — nie było jeszcze ani dzieła prawnika gdańskiego J. Krummhausena piętnującego od r. 1660 te procesy, ani praktyki odwoływania się do uniwersytetów. Sydonia Bork, mimo znacznych strat poniesionych w wyniku dwóch pożarów, wniosła do klasztoru wyróżniający posag, a wyrok sądu szczecińskiego zawierał wyraźną klauzulę o konfiskacie majątku na rzecz sądu, tytułem zwrotu kosztów postępowania.

Choć były to czasy powszechnego lęku przed czarownicami i częstych wyroków, to jednak współcześni współczuli Sydonii — dawnej damie książęcego dworu — opuszczonej w decydującym dla życia momencie przez brata, przyjaciół i przez towarzyszy dworskich zabaw. Proces ten nie pozostał obojętny ani dla współczesnych, ani dla późniejszych pokoleń, jego długo jeszcze rozbrzmiewające echa świadczą, że nie przyjęto go jako orzeczenia sprawiedliwego, nad którym rychło przechodzi się do porządku dziennego. ■

W czas jubileuszu

TAKIE BYŁY POCZĄTKI

Bernard Szczesny

W 1945 r. ruch regionalny skupił się wokół „Zrzeszy Kaszëbskiej” w Wejherowie. W dniu 30 września 1945 r. powołaliśmy Spółdzielnię Wydawniczą „Zrzesz Kaszëbskô”. Przewodniczącym Rady Spółdzielni został Wiktor Wojewski, zastępcą — Bernard Szczesny, a członkami: Augustyn Westphal, Jan Studziński, Franciszek Gruzca, Walerian Słowy. Kolegium redakcyjne składało się z redaktora naczelnego Brunona Richerta i członków: Jana Rompskiego, Ignacego Szutenberga, Franciszka Szredera, Franciszka Kowalskiego.

Pojawienie się gazety „Zrzesz Kaszëbskô” wywołało liczne dyskusje. Jedni wyrażali obawy, że może nastąpić nawrót do radykalnych tradycji „Zrzeszy” z lat 1933—1939, inni cieszyli się, licząc na aktywizację działaczy regionalnych, którzy przeżyli okupację, unikając męczeńskiej śmierci z rąk hitlerowskich.

Pierwszy numer „Zrzeszy Kaszëbskiej” ukazał się 4 października 1945 r. Otwierał go artykuł redaktora naczelnego Brunona Richerta pt. „Nasza rzeczywistość”, w którym pisał: „Nasz program streszcza się w zdaniach: Odrodzić duchowo Kaszubów dla Wielkiego Pomorza, Pomorze dla nowo odrodzonej Polski. Ciężka była dola Kaszubów w Polsce sanacyjnej. Wierzmy, że w nowej demokratycznej i sprawiedliwej Polsce lud kaszubski nie będzie po macoszemu traktowany”. Uzupełnieniem tej deklaracji było wezwanie Richerta z 11 października 1945 r.: „Ponadto na zasadzie równi z równymi, wolni z wolnymi — domagać się będziemy dla ludu naszego równouprawnienia we właściwym tego słowa znaczeniu (...) i to we wszystkich dziedzinach życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego”.

Sformułowane w artykułach „Zrzeszy” myśli odzwierciedlały nastroje mieszkańców Kaszub, a szczególnie działaczy regionalnych. Wyrażano obawy przed nawrotem do wysoce krzywdzącej polityki sanacyjnej wobec mieszkańców Kaszub i słusznie domagano się równych praw społecznych i zawodowych.

Zagadnienie równości, poruszone w drugim artykule, było niezmiennie aktualne chociażby ze względu na sprawę tzw. III grupy narodowościowej, przyjmowanej pod przymusem podczas okupacji hitlerowskiej, a różniące się w sposób zasadniczy od grup narodowościowych w Generalnej Guberni. Na tym tle było dużo przykrych nieporozumień, zwłaszcza że partie i stronnictwa polityczne, a także administracja i część ludności napływowej nie umiały wypracować jednolitego stanowiska wobec posiadaczy grup narodowościowych. Jakby zupełnie nie rozumiano sytuacji Kaszubów na obszarze włączonym do Rzeczy Niemieckiej.

Problem III grupy narodowościowej rzutował na wiele spraw społecznych i politycznych. Wpływał również na bierne i wyczekujące postawy mieszkańców Kaszub. Z tych względów I Kongres Kaszubski w Wejherowie był wówczas bardzo ważnym wydarzeniem politycznym w ruchu regionalnym. Inicjatorem i organizatorem Kongresu była redakcja i rada „Zrzeszy Kaszëbskiej”. Idea Kongresu była bardzo szeroko rozpropagowana w powiatach kaszubskich, zatem nic dziwnego, że w dniach 12—13 stycznia 1946 r. napłynęło do Wejherowa dużo działaczy regionalnych, chłopów i robotników. Był to prawdziwy, naturalny zryw Kaszubów dla zmanifestowania swego udziału w budowaniu nowej, odrodzonej Pol-

ski na Kaszubach. Był również manifestacją odwiecznych gospodarzy tych ziem nadbałtyckich, którzy walczyli z naporem germańskim, by utrzymać te ziemie przy Polsce. Kongres był zaprzeczeniem, jak się okazało pozornej, bierności Kaszubów.

Otwierając Kongres ostatni komendant „Gryfa Pomorskiego”, Augustyn Westphal, na wstępie oddał hołd tym, którzy zginęli w Piaśnicy, Władysławowie, Lipuszu, Szpegawsku i innych miejscach masowych egzekucji, jak również w obozie koncentracyjnym Stutthof. Oddał hołd bohaterom walczącym w obronie Wybrzeża i wszystkim żołnierzom polskim zmagającym się z Niemcami na wszystkich frontach II wojny światowej. Oddał też hołd partyzantom i członkom ruchu oporu na Pomorzu. Augustyn Westphal złożył także deklarację aktywnego udziału ludu kaszubskiego w odbudowie zniszczonego kraju i w zagospodarowaniu Ziemi Odzyskanych.

Na Kongres przybyło wielu przedstawicieli władz centralnych, wojewódzkich i z sąsiednich powiatów. Z mównicy padały obiecujące deklaracje i słowa uznania dla ludu kaszubskiego. Jako pierwszy z gości przemawiał minister kultury i propagandy Stefan Matuszewski, który powiedział: „W imieniu Rządu Rzeczypospolitej witam pierwszy w Odrodzonej Polsce Kongres Kaszubów. (...) Kaszubi, którzy od wieków pełnie straż nad polskim morzem i z całą siłą, z całą żywotnością trwacie przy swoich starych obyczajach, przy swojej odwiecznej tradycji, przy swoim języku — przy Polsce. Wiemy, że nie było to łatwym. Wiemy, że płaciłście za to wielkimi ofiarami, że nie żałowaliście krwi, gdy zachodziło tego potrzeba. Nie poddałście się germańskiemu zabory”.

Następnie wystąpił przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, Wierzbicki: „W imieniu Wojewódzkiej Rady Narodowej, jako jej prezes, w imieniu ziemi nadmorskiej, jako jej poseł do KRN, witam was zebranych Kaszubów (...) Jako stojący na straży praworządności i ładu, zapewniam was solennie, że Kaszubi nie będą traktowani, jak to było do 1939 roku (burzliwe oklaski), że w demokratycznej Polsce każdy obywatel bez względu na to, gdzie się urodził, ma równe prawa i równe obowiązki”.

A oto słowa przedstawiciela wojewody, Maczyńskiego: „...minęły te czasy, gdy Kaszubów odrywano od ziemi ich rodzinnej, przenoszac w głąb kraju, by spolszczyć tego, którego serce było nieraz bardziej polskie niż niejednego z rodaków w kraju”.

Z ramienia Komitetu Wojewódzkiego PPR w Gdańsku przemawiał poseł do KRN, kierownik propagandy Zdunek, który bez przyrzeczeń i deklaracji oświadczył: „Sprawa nie leży w tym, jak PPR widzi Kaszubów, ale jak Kaszubi widzą siebie w realizacji reformy rolnej, przejęciu fabryk przez robotników. Sami muszą się określić, a jeżeli chodzi o władzę, to wójtów nie przywożono, zostali przez mieszkańców wybrani, a burmistrzowie i starostowie stąd są, niech sami powiedzą”.

Organizatorzy Kongresu byli ludźmi młodymi, pełnymi zapału, ale niedostatecznie doświadczonymi, aby konsekwentnie działać na rzecz powołania organizacji regionalnej. Mimo że wniosek taki był oficjalnie zgłoszony, ugrzązł w dyskusji i deklaracjach, podobnie jak wiele innych wniosków natury gospodarczej.

Deklaracje złożone na Kongresie pozostały tylko pięknymi słowami i przyrzeczeniami. Życie na Kaszubach korygowało je brutalnie. Oto niektóre przykłady: młodzież kaszubska, powoływana do odbycia służby wojskowej, posyłana była do kopalń; młodzież kaszubska nie kierowano w ogóle do marynarki wojennej; rybak łódzkowy z Półwyspu Helskiego nie mógł zabrać do łodzi, na połów, swego syna (w ten sposób przerywano tradycję rodzinną rybaków); rybacy kaszubscy na Półwyspie zamiast rybaczyć stopniowo stawali się robotnikami w przetwórnictwie rybnych. Działo się to w okresie, kiedy Zatoka Pucka, wzdłuż szosy Puck—Władysławowo ogrodzona była drutem kolczastym.

Efekty Kongresu Kaszubskiego były znikome. Sporo nadziei i oczekiwań, jeszcze więcej zawodu.

Na przełomie roku 1946/47, z inicjatywy Abdona Stryzaka i wicewojewody gdańskiego, Gadomskiego, zrodziła się myśl powołania Komitetu Rozwoju Gospodarczego Ziemi Kaszubskiej. W tej sprawie przygotowano memoriał, w którym przedstawiono sytuację gospodarczą i społeczną w powiatach kaszubskich. Memoriał został podpisany przez zaangażowanych w to przedsięwzięcie działaczy: Abdona Stryzaka, Bernarda Szczesnego i Wiktora Wojewskiego. Został on wysłany do Ministerstwa Administracji Publicznej. Pozostał jednak bez odpowiedzi i tak upadła jeszcze jedna inicjatywa.

Kolejnym wydarzeniem, o szerszym znaczeniu w ruchu regionalnym, były wybory do Sejmu w 1947 r., z udziałem „Listy Kaszubskiej”. Inspiratorem utworzenia tej listy był Gereon Grzenia-Romanowski, zaś do grupy kierującej całością akcji wyborczej należeli

poza Grzenia: Józef Gniech, Jan Rompski, Bernard Szczesny, Ignacy Szutenberg. Pomijając wszystkie spekulacje polityczne, należy stwierdzić, że Grzenia-Romanowski działał w porozumieniu z PPR, a Józef Gniech, będąc członkiem centralnych władz PSL, działał również za ich wiedzą. Gniech poprosił mnie, abym mu towarzyszył w rozmowie z ministrem Kiernikiem, należącym do ścisłego kierownictwa PSL. Rozmowa na temat „Listy Kaszubskiej” odbyła się 12 grudnia 1946 r. w gabinecie ministra w Warszawie. Podaję te fakty, gdyż w literaturze spotyka się różne nieścisłości i domniemanie.

Wystawienie „Listy Kaszubskiej” było pożywką dla różnego rodzaju nieuków nie znających historii i specyfiki współczesnych Kaszub, wątpliwych patriotów ojczyznianych, którzy podnosili wrzask i wysuwali oskarżenia o tendencje separatystyczne Kaszubów.

Wybory, a właściwie agitacja za „Listą Kaszubską”, zmobilizowały liczny aktyw. Największą aktywność przejawiali Ignacy Szutenberg i Józef Gniech, którzy obsłużyli prawie wszystkie wieści wiejskie w powiatach kaszubskich, na których przemawiali po kaszubsku. Mieszkańcy żywo interesowali się swoją listą i swoimi kandydatami na posłów. Chodziło wszystkim o to, aby w Sejmie mieć swojego przedstawiciela. Mimo aktywności licznych grup ludzi nie udało się niczego wygrać, poza przejściem szkoły zbiorowego, jednolitego działania na terenie całych Kaszub.

Po drugiej wojnie światowej ruch regionalny szybko się odrodził i nabrał żywotności. Pomimo nie zawsze korzystnych warunków społeczno-politycznych na Pomorzu ruch kaszubski podejmował i z powodzeniem organizował masowe przedsięwzięcia, co świadczyło o jego atrakcyjnej sile oddziaływania i umiejętnościach aktywizowania szerokich rzesz kaszubskich. Był to okres pojawiania się nowych i co najważniejsze — młodych działaczy regionalnych, którzy pogłębiali nie tylko swoją świadomość regionalną, ale i zdobywali doświadczenia organizacyjne, które stały się nieodzowne przy tworzeniu Zrzeszenia Kaszubskiego. Wszystkie podejmowane przedsięwzięcia w okresie bezpośrednio powojennym, mimo dużego zaangażowania i poświęcenia aktywu, nie dawały jednak założonych efektów.

Biorąc bezpośredni udział we wszystkich przedstawionych inicjatywach, miałem możliwość poznania przyczyn ich niepowodzeń oraz wyciągnięcia wniosków. Poważnym dylematem były sprawy personalne. Działacze kaszubskiego ruchu regionalnego w okresie międzywojennym działali w dużym rozproszeniu i byli podzieleni programami o różnych odcieniach. Podziały te zostały przeniesione na pierwsze lata powojenne. Starzy działacze przedwojenni zachowali swoje poglądy i orientacje polityczne oraz metody działania, nie starając się ich dostosować do nowych warunków politycznych i przemian społecznych, dokonujących się w Polsce Ludowej. Działacze kaszubscy byli przeważnie konserwatywni, cechowała ich bierność polityczna, co ograniczało ich udział we władzach, w partiach i w oddziaływaniu na przemiany polityczno-społeczne na Ziemi Pomorskiej. Ich winą było, że stojąc na uboczu, czy też w opozycji, nie znaleźli się na kierowniczych stanowiskach.

W okresie narastania w kraju „odwilży” w 1955 r., uwzględniając dotychczasowe doświadczenia, uznałem, że potrzebne jest organizacyjne przygotowanie się do nadchodzących przemian; być gotowym do partnerstwa we współgospodarzeniu na ziemi kaszubskiej. W tym celu należało odstąpić od dotychczasowej roli petenta, który postuluje i wnioskuje, ale nie współdziała w rozstrzyganiu zagadnień gospodarczych, kulturalnych i społecznych.

Należało przede wszystkim założyć organizację, która zrzeszałaby wszystkich działaczy regionalnych, obejmując zasięgiem działania całe Kaszuby z Trójmiastem włącznie, organizację autentycznie reprezentującą Kaszubów. Pozwoliłoby to na ujednolicenie skoordynowanego działania na rzecz regionu, w ścisłej łączności z radami narodowymi.

Pod koniec 1955 r., po przeprowadzeniu szeregu indywidualnych rozmów i dyskusji, z Abdonem Stryżakiem, Lechem Bądkowskim, Izabellą Trojanowską, Leonem Ropplem, Ignacym Szutenbergiem i Janem Rompskim, zainicjowałem rozpoczęcie prac związanych z powołaniem do życia organizacji regionalnej. Z Pawłem Szeffką wysłaliśmy zaproszenia na spotka-

nie, które miało się odbyć w Muzeum Regionalnym w Kartuzach w dniu 22 stycznia 1956 r. Na spotkanie przybyli: Lech Bądkowski, Andrzej Bukowski, Feliks Marszałkowski, Leon Roppel, Bernard Szczesny, Paweł Szeffka, Franciszek Treder.

Jako inicjator spotkania wystąpiłem z krótkim wprowadzeniem, w którym przedstawiłem jego cel. Mówiłem, że nowa sytuacja w kraju uzasadnia potrzebę powołania do życia organizacji regionalnej reprezentującej całe Kaszuby. Organizacja powinna skupić i zjednoczyć wszystkich działaczy, którzy dotychczas działali w rozproszeniu, bez względu na ich poglądy polityczne i reprezentowane kierunki w ruchu kaszubskim, ujednolicić i koordynować działanie na terenie całych Kaszub w zakresie rozwoju gospodarczego i kulturalnego, ze szczególnym uwzględnieniem kultury ludowej. Organizacja winna się opierać na tradycjach ruchu kaszubskiego, jednocześnie być nową, to znaczy wypracowującą program realny w przeżywaną rzeczywistość.

Po moim wprowadzeniu każdy z uczestników przedstawił swój pogląd. Wszyscy jednak byli zgodni, że należy powołać ogólnokaszubską organizację, z siedzibą w Gdańsku. Różnice — niewielkie — dotyczyły charakteru organizacji. Postanowiono zwołać następne spotkanie, w większym gronie.

Drugie spotkanie odbyło się 11 lutego 1956 r. w Młodzieżowym Domu Kultury w Gdyni. Na spotkaniu byli obecni: Lech Bądkowski, Tadeusz Bolduan, Andrzej Bukowski, Augustyn Jeka, Alfons Jereczek, Władysław Kirstein, Feliks Marszałkowski, Jan Piepka, Jan Rompski, Leon Roppel, Jan Skwiercz, Bernard Szczesny, Paweł Szeffka, Franciszek Treder. Trzecie kilka dni później, 25 lutego, zorganizowano również w Gdyni. Obecnych było 20 działaczy. Do wyżej wymienionych osób doszli: Aleksander Arendt, Stefan Bieszk, Robert Komkowski, Bernard Kula, Henryk Łukowicz i Abdon Stryżak.

Wszyscy uczestnicy spotkań serdecznie się witali: wielu z nich nie widziało się od 1939 r. Inni znali się tylko z informacji prasowych. Nastroj był serdeczny, ale dyskusja, która się rozwinęła, była bardzo ostra i kontrowersyjna. Najwięcej sporów toczyło się wokół nazwy, członkostwa, celów i charakteru organizacji. Spory spowodowały niebezpieczną dla idei powołania organizacji sytuację. Nastąpiła przerwa w spotkaniach aż do czerwca, ale i to następne nie nie zmieniło. Również spotkanie we wrześniu nie wniosło nic nowego. Trwał upór Zrzeszczyńców, dążących do nadania przyszłej organizacji charakteru zachowawczego, nawet kosztem upadku idei jej powołania. Ich spotkania we własnym gronie w Sopocie niekorzystnie wpływały na taktykę postępowania tej grupy działaczy.

Grupa młodych działaczy nie dawała za wygraną, była bowiem przeświadczona, że nie może dopuścić do zaprzepaszczenia szansy powołania nowej organizacji regionalnej. Stare spory zrodzone w okresie międzywojennym nie mogły utrudniać lub ograniczać działania w nowych warunkach społeczno-politycznych. Dnia 8 października 1956 r. do Komitetu Wojewódzkiego PZPR udała się delegacja, z Lechem Bądkowskim na czele, w sprawie powołania Zrzeszenia Kaszubskiego. Spotkała się ona z bardzo przychylnym przyjęciem i poparciem.

Zbliżało się pamiętne VIII Plenum KC PZPR. Zwiększało się również napięcie społeczne. W atmosferze walki o poparcie dla Gomułki grupa działaczy kaszubskich w nocy 21 października podpisała deklarację popierającą Gomułkę, która została ogłoszona w „Głosie Wybrzeża”. Podpisali ją: Aleksander Arendt — członek Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD, Lech Bądkowski — literat, Andrzej Bukowski — docent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku, Robert Komkowski — radca prawny, Bernard Szczesny — przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Wejherowie, Izabella Trojanowska — redaktor „Kontrastów”.

Wydarzenia w Warszawie i Gdańsku rozwijały się szybko. Gomułka wrócił na stanowisko I Sekretarza KC PZPR. W Gdańsku odbyło się burzliwe Plenum KW PZPR. Nastąpiły zmiany personalne w egzekutywie i sekretariacie KW oraz w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Wszystko odbyło się w atmosferze ostrej krytyki okresu stalinowskiego. Nowa egzekutywa KW PZPR w Gdańsku ogłosiła list do organizacji partyjnych województwa gdańskiego, w którym stwierdzała: „...Egzekutywa uważa, że należy radykalnie rozstrzygnąć nabrzmiałe problemy ludności miejscowej. (...) W tym celu powołana zostaje komisja z udziałem przedstawicieli ludności kaszubskiej, gdańskiej, warmińskiej, która rozpatrzy w przyspieszonym trybie i podejmie kroki dla usunię-

cia wszystkich krzywd materialnych i moralnych wyrządzonych tej ludności w latach ubiegłych (...), zlikwidowania przejawów dyskryminacji ludności miejscowej, co przejawiało się w odsunięciu jej przedstawicieli od pracy w radach narodowych i organizacjach społecznych. (...) Egzekutywa popiera inicjatywę grupy aktywu kaszubskiego, pracującego nad powołaniem Zrzeszenia Kaszubskiego i udziela mu wszelkiej pomocy w realizacji jego planów, np. utworzenia czasopisma kaszubskiego”.

Z listu wyraźnie wynikało, że egzekutywa zamierza naprawić krzywdy wyrządzone ludności miejscowej oraz poprzez tworzenie się Zrzeszenia Kaszubskiego. Zaistniała więc korzystna sytuacja polityczna — niezbędny warunek powołania do życia organizacji regionalnej. Uleganie zatem niektórym starom działaczom prowadzącym spory i odsuwanie terminu powołania organizacji byłoby największym błędem. Oceniając realnie sytuację powstałą w województwie gdańskim i śródmiejskich działach kaszubskich, postanowiliśmy z Lechem Bądkowskim zwołać zebranie organizacyjne na dzień 23 października 1956 r.

W zebraniu wzięło udział 32 uczestników, którzy reprezentowali środowiska Trójmiasta i powiatów. Nowością zebrania było to, że spory o sprawy statutowe zeszyły na drugi plan, a dyskusja rozwijała się wokół poparcia „Polskiego Października”.

Zatwierdzono projekt statutu i nazwę — Zrzeszenie Kaszubskie. Uchwalono szereg postulatów i wniosków pod adresem władz politycznych i administracyjnych, co w tym czasie było zjawiskiem powszechnym. Jednocześnie wybrano komitet organizacyjny, którego zadaniem było przygotowanie Walnego Zjazdu. W skład komitetu weszli: A. Arendt, L. Bądkowski, A. Jereczek, H. Łukowicz, W. Kleinsmidt, J. Rompski, B. Szczepny, A. Stryszak, I. Trojanowska.

W klimacie ogólnonarodowego zrywu odbył się 2 grudnia 1956 r. I Zjazd Zrzeszenia Kaszubskiego w Gdańsku. Na zjeździe reprezentowane były wszystkie pokolenia działaczy kaszubskich, o różnych orientacjach politycznych i regionalnych. Nadrzędność sprawy, jaką było powołanie organizacji dla całych Kaszub, jednoczyła wszystkich. Dyskusja zjazdowa wykazała głęboką troskę o sprawy Kaszub, ich rozwój gospodarczy i kulturalny oraz chęć służenia tej ziemi. Zjazd spełnił oczekiwania organizatorów, był odbiciem nastrojów i pragnień mieszkańców Kaszub, a przede wszystkim momentem zwrotnym w historii kaszubskiego ruchu regionalnego. Zamykał bowiem skomplikowany okres obejmujący lata 1939—1955, składający się z trzech odrębnych przedziałów: okupacji hitlerowskiej, lat powojennych 1945—1948 i stalinowskich (1949—1955).

W nowy okres, który otwierał I Zjazd Zrzeszenia Kaszubskiego, wchodziliśmy z wiarą, zapalem i wizją aktywnego oddziaływania Zrzeszenia na rozwój ziemi kaszubskiej. Byłem głęboko przekonany, że doświadczenia i przeżycia z lat okupacji i powojennych ułatwią działaczom Zrzeszenia zaktywizowanie mieszkańców Kaszub. Sądzę, że częściowo udało się to osiągnąć. Po zjeździe nastąpił dynamiczny rozwój organizacji. Pierwsze koło powstało w Żukowie już 7 grudnia 1956 r., w Gdyni Alfons Jereczek założył oddział 12 grudnia, w Kartuzach powstał 16 grudnia, a w Gdańsku 17 grudnia 1956 r. Pozostałe oddziały powstały w styczniu i lutym 1957 r. W połowie 1957 r. stan organizacyjny Zrzeszenia wynosił 10 oddziałów i 51 kół, o łącznej liczbie 2928 członków.

Aktywność poszczególnych zarządów oddziałów powiatowych i kół była bardzo zróżnicowana. Były oddziały, które szybko wystartowały i z rozmachem działały, jak np. Gdynia, która urządziła lokal „Stanica” i przejęła Dwór Kaszubski w Chyloni. Były też oddziały, które przez długie miesiące nie umiały wyjść ze stanu organizacyjnego. Załatwiono dziesiątki nabrzmiałych i bolesnych spraw, wielokrotnie interweniowano we władzach różnego stopnia. Nie załatwiono natomiast wszystkich prywatnych spraw, często o charakterze przekraczającym kompetencje i zakres zainteresowań organizacji. Powodowało to odpływ tych członków, którzy liczyli na załatwienie swych prywatnych spraw, zresztą nie zawsze szlachetnych.

Starania Zarządu Głównego Zrzeszenia i T. Bolduana o uzyskanie zezwolenia na wydawanie własnego pisma dały pozytywny wynik. Dwutygodnik „Kaszëbë” zaczął się ukazywać od lipca 1957 r. Było to poważne osiągnięcie, gdyż własne pismo spełniało rolę informatora i zarazem było płaszczyzną dla wymiany poglądów na temat regionalizmu kaszubskiego, popularizowało też tradycje historyczne regionu. Do poważnych osiągnięć Zrzeszenia Kaszubskiego należy zaliczyć olbrzymią manifestację w Wielu, w byłym powiecie chojnickim, z okazji odsłonięcia pomnika pi-

sarza Hieronima Derdowskiego. Wielotysięczny tłum z całych Kaszub był zaskoczeniem dla organizatorów i przede wszystkim dla przedstawicieli wojewódzkich władz politycznych i administracyjnych z Gdańska i Bydgoszczy. Sądzę, że u wielu działaczy politycznych i administracyjnych ten wielki zlot w Wielu zrodził potrzebę przemyślenia dotychczasowej, nie zawsze jasnej i pozytywnej polityki wobec kaszubskiej ludności.

W 1958 r. zaczęły się pojawiać pewne oznaki kryzysu w działalności Zrzeszenia Kaszubskiego, odpływ członków. Jedną z przyczyn były na pewno słabe i nieokrężne ogniwa, jakimi okazały się zarządy oddziałów powiatowych, inną zaś brak zaplecza administracyjnego osłabionego Zarządu Głównego. Krótki przegląd sytuacji w oddziałach powiatowych da pogląd na stopień kryzysu. Praca zarządu oddziału w Gdyni rozwijała się pomyślnie za prezesa Alfonsa Jereczka w latach 1956—1958, załamała się, gdy prezesem był Paweł Dambek, tj. w 1958 r. Doszło do tego, że w 1958 r. w Gdyni prezesi zmieniali się trzykrotnie, a na początku 1959 r. brak było w ogóle zarządu. Oddział w Kościerzynie, z powodu inercji zarządu, został 20 czerwca 1958 r. zawieszony przez Zarząd Główny. Pod koniec 1958 i w pierwszej połowie 1959 r. w Kościerzynie nie było w ogóle zarządu. Oddział w Bytowie rozwiązano 2 czerwca 1958 r. ze względu na brak jakiegokolwiek pracy. Zarząd Główny ocenił zarząd oddziału w Pucku jako nie panujący nad sytuacją, a w Kartuzach, jako słabo pracujący i 8 września 1958 r. przeprowadził reorganizację. W tym okresie normalnie działał tylko oddział chojnicki, którego prezesem był Stanisław Rolbiecki i oddział gdański, któremu prezesowała Zofia Marszałkowska.

Różne były przyczyny organizacyjnego załamania się Zrzeszenia na szczeblu powiatów. Doszły do głosu spory natury ambicjonalnej, interesy partykularne i nieporozumienia ideologiczne. Był to okres bardzo niebezpieczny dla Zrzeszenia Kaszubskiego. Słabość zarządów powiatowych spowodowała osłabienie pracy kół i ich stopniowe zanikanie, a tym samym odpływ członków. W pierwszej kolejności odeszli ci członkowie, którzy do Zrzeszenia wstąpili z przekonaniem, że znajdują w nim poparcie dla swoich prywatnych interesów. Była to grupa ludzi przypadkowych, która na fali ogólnego ożywienia społecznego wstępowała do różnych organizacji tylko po to, by osiągnąć prywatne cele. Drugim czynnikiem wpływającym na osłabienie organizacyjne Zrzeszenia były warunki pracy i sama praca Zarządu Głównego, który był zespołem społecznym składającym się z członków Zrzeszenia mieszkających na ogół poza Gdańskiem, co ograniczało ich pracę w zarządzie. W ten sposób najwięcej pracy spadło na prezesa Aleksandra Arendta, sekretarza Roberta Komkowskiego, skarbnika Władysława Kleinsmidta i II wiceprezesa Lecha Bądkowskiego.

Dalsze osłabienie Zarządu Głównego nastąpiło z chwilą, gdy z zarządu wycofali się Lech Bądkowski i Władysław Kleinsmidt. Trudnością w pracy zarządu był brak własnego lokalu i pracowników do obsłużenia 51 kół trzytygodniowej organizacji oraz dziesiątków interesantów i różnych narad organizowanych przez władze wojewódzkie. Nie bez znaczenia dla pracy Zarządu Głównego w pierwszym okresie był spór o pisownię kaszubską. Trwał on przeszło 2 lata. Niektóre posiedzenia zarządu, w których uczestniczył J. Rompski (na 33 posiedzenia obecny był tylko 8 razy) zmieniały się w wielogodzinne spory o pisownię kaszubską. Doprowadzały one do niepotrzebnych napięć. Świadectwem tego może być groźba rozłam w Zrzeszeniu, zgłoszona przez J. Rompkiego na posiedzeniu Zarządu Głównego 7 stycznia 1958 r. Jednocześnie wyraźnie zaczęła się ujawniać pewna odrębność Zrzeszyńców, którzy nie podejmowali działań wynikających z ogólnego planu Zrzeszenia, wykazywali wobec niego pewną rezerwę. Brak było z ich strony współpracy z redakcją „Kaszëbë”.

Prezes A. Arendt dostrzegając początki kryzysu organizacyjnego, podejmował próby aktywizowania Zrzeszenia. Jedną z nich była likwidacja komisji problemowych, które, niestety, nie zdały egzaminu, a w ich miejsce powołał działy resortowe, ale te również ugrzęzły w teoretycznych rozważaniach. Drugą próbą było przyspieszenie II Zjazdu Kaszubskiego. Odbył się on 24 kwietnia 1958 r. II Zjazd załatwił trzy sprawy: wyraźnie określił rolę i zadania Zrzeszenia w najbliższym okresie, dokonał wyboru Zarządu Głównego spośród członków zamieszkałych w Trójmieście, co w dużym stopniu zwiększyło kolegialność posiedzeń i jednocześnie wzmocniło Zarząd przez wybór do niego Izabelli Trojanowskiej i Tadeusza Bolduana. T. Bolduan został I wiceprezesem. I wreszcie na wniosek prezesa A. Arendta zjazd powołał Radę Naczelną w

Kaszubskie portrety Mokwy



Marian Mokwa jest nazywany malarzem morza. Bo też marynistyka, to domena jego twórczości, którą wciąż uprawia mimo podeszłego wieku (w kwietniu ukończył 97 lat). Zdjęcie, które zamieszczamy wyżej, zostało wykonane w tym roku. Przedstawia seniora polskich malarzy przy pracy. Na sztalugach nie znajdują się jednak tym razem mowe pejzaże morskie, ale portrety: na pierwszym planie Hieronima Derdowskiego, na drugim — Antoniego Abrahama. Autor fotografii twierdzi, że w zamiarach artysty są portrety dalszych działaczy i pisarzy kaszubskich. A wykonał to zdjęcie Edmund Pepliński, gdynianin prowadzący pracownię fotografii „Kamera” w Gdańsku przy Długim Targu, nie opodal naszej redakcji. Zjawił się u nas pewnego dnia pytając, czy nie mamy podobizny Derdowskiego, gdyż prosił go o to Mokwa. Z malarzem zna się od 1948

roku, gdy wykonywał dokumentację jego obrazów; z czasem znajomość przerodziła się w przyjaźń. Z rozmowy, którą odbył przed przyjściem do nas, wynikało, że wywodzący się z Kaszub Mokwa serią portretów wybitnych Kaszubów chciałby uwiecznić swoje związki z regionem. Na początek upatrzył sobie wielewianina Derdowskiego, rodaka z tej samej parafii: Mokwa urodził się na wybudowaniu Malary niedaleko Wiela. Odszukaliśmy w jednej z ksiązek konterfekt „Herusia”, Edmund Pepliński wykonał reprodukcję. Nie trwało długo i zjawił się ponownie — ze zdjęciem sędziwego mistrza przy sztalugach. I z wiadomością, że kolejnym portretem, do którego spობi się Mokwa, ma być wizerunek Aleksandra Majkowskiego, z którym malarz współdziałał w okresie odradzania się Niepodległej. (Sz)

40-osobowym składzie i z pięcioosobowym prezydium. Zostałem wybrany na przewodniczącego Rady, nie miałem jednak większego przekonania do tego, że Rada będzie ciałem operatywnym w rozstrzyganiu spraw, w których Zarząd Główny nie czuł się kompetentny. Rada przyjęła sesyjną formę działania. Zarząd Główny nie zaprezentował żadnych problemów do omówienia i rozstrzygnięcia, wobec tego pierwszą sesję w 1959 r. poświęcono zagadnieniom oświaty na Kaszubach.

Osobiście byłem przekonany, że o przyszłości Kaszubów zadecyduje oświata, gdyż tylko drogą szerokiego naboru do szkół średnich i wyższych wykształci się rodzimą inteligencję. Stąd też mój referat wygłoszony na sesji był krytyczny. Wskazywał na nasze własne słabości oraz na niedomogi administracji

szkolnej na Pomorzu przed wojną i po wyzwoleniu. Idei kształtowania świadomości regionalnej, o której mówiłem na sesji, służył zlot młodzieży kaszubskiej w Kościerzynie w 1959 r. z udziałem 12 000 uczestników.

Zrzeszenie Kaszubskie w drugim półroczu 1958 r. i w pierwszej połowie 1959 r. przekształciło się z organizacji masowej w kadrową. W organizacji pozostali ludzie naprawdę społecznie zaangażowani, którym dobro Kaszub leżało na sercu i którzy nie ulegali koniunkturalnym nastrojom. Program działania dla organizacji elitarnej opracował T. Bolduan i został on przyjęty przez Zarząd Główny we wrześniu 1959 r.

Niemniej pierwsze półrocze 1959 r. nie było dla Zrzeszenia łaskawe. W marcu 1959 r. prezes Arendt zmuszony był wyłączyć z grupy prelegentów Zrzeszenia Jana Rompskiego za wygłaszanie w kołach młodych referatu niezgodnego ze statutem. Drugim niesłychanie ważnym zagadnieniem była sprawa czasopisma „Kaszëbë”, które wykształciło swój specyficzny profil pisma regionalnego i odgrywało ważną rolę w ruchu regionalnym. Było to zasługą T. Bolduana i jego współpracowników. Niestety, dochody ze sprzedaży gazety nie pokrywały jej kosztów i z tego tytułu rosły poważne zadłużenia. Mimo starań A. Arendta o dotacje na pokrycie zadłużenia, funduszy nie otrzymano i zaszła konieczność ratowania „Kaszëbë” poprzez przekazanie pisma do RSW „Prasa”, co nastąpiło 1 kwietnia 1959 r. Jest rzeczą charakterystyczną, że „Zrzesz Kaszëbskô” miała te same problemy finansowe w latach 1946/47, które doprowadziły też do jej likwidacji. Za ostatnią dostawę papieru dla „Zrzeszy Kaszëbskiej”, który zużyty był w części na propagandę i kartki wyborcze „Listy Kaszubskiej”, wytoczono proces o zapłatę członkom Rady: Wiktorowi Wojewskiemu, Gereonowi Grzeni-Romanowskiemu, Janowi Studzińskiemu, Bernardowi Szczęsnemu. Franciszek Grucza złożył w sądzie oświadczenie pisemne, że z „Zrzeszy Kaszëbskiej” już się wycofał. Zjawisko braku szerszego zainteresowania na Kaszubach „Zrzeszą Kaszëbską”, które doprowadziło do jej likwidacji powtórzyło się również w przypadku „Kaszëb”, z tą tylko różnicą, że pierwsze pismo uległo likwidacji z braku funduszy niejako samoczynnie, a drugie, przejęte przez RSW „Prasa”, uległo likwidacji po 2 latach od przejęcia, w 1961 r., bez większego na to wpływu Zrzeszenia Kaszubskiego.

W grudniu 1959 r. miały miejsce istotne wydarzenia. Dokonano zmian w strukturze organizacyjnej Zrzeszenia Kaszubskiego. Rada została przekształcona w Zarząd Główny, a jego czynności przejęło Prezydium ZG. Na prezesa zarządu wybrano B. Szczęsnego, wiceprezesami zostali A. Arendt i T. Bolduan, a sekretarzem R. Komkowski. Na tejże sesji I sekretarz KW PZPR, Józef Machno, dotąd pozytywnie ustosunkowany do Zrzeszenia, wystąpił z ostrą krytyką naszej organizacji z powodu rzekomo bezprawnie wydanego i niewłaściwie opracowanego „Zarysu historii literatury kaszubskiej” Lecha Bądkowskiego. Prezes Arendt tłumaczył, że wydanie tego skryptu nastąpiło po akceptacji przez cenzurę i po formalnym załatwieniu zlecenia druku. Obecni na zebraniu byli przekonani, że sekretarz Machno został błędnie poinformowany przez donosiciela działającego z zawiści i zazdrości, i stąd wynikało jego nieprzyjazne nastawienie. Ale incydent ten bardzo niekorzystnie wpłynął na nastroje osób biorących udział w tym spotkaniu. Poważnym ciosem dla Zrzeszenia było również rozwiązanie się, po tym incydencie, całego Zarządu Odziału Gdańskiego, co miało miejsce właśnie w grudniu 1959 r.

Przejmując funkcję prezesa Zarządu Głównego w grudniu 1959 r. zdawałem sobie sprawę, że sytuacja jest trudna. Oceniając stan organizacyjny poszczególnych oddziałów i postawę aktywu, uznałem za celowe przede wszystkim skonsolidować główny trzon aktywu, składający się z członków Zarządu Głównego (40 osób) oraz zarządów powiatowych.

Drugą sprawą, którą uważałem za bardzo ważną, było zachowanie równowagi między działaniem na rzecz popularyzacji historii Kaszub, czyli przeszłości, a problematyką współczesną, wynikającą z aktualnych zadań związanych z rozwojem gospodarczym, rozwojem oświaty i pielęgnacją kaszubskiej kultury ludowej. Przestrzeganie tych zasad ożywiło pracę Zrzeszenia Kaszubskiego i pozwoliło na trwanie nawet w najtrudniejszych okresach.

Zgodnie z określonymi zasadami w 1960 r. zorganizowano 4 sesje plenarne Zarządu Głównego. Pierwsza poświęcona była zagadnieniom organizacyjno-wewnętrznym Zrzeszenia, druga – z udziałem kręgów zainteresowanych – określała temat referatu T. Bolduana „Problemy młodzieży i młodej inteligencji”. Trzecia sesja miała charakter objazdowy po miejscach walki 1939 i 1945 r. oraz męczeństwa ludu kaszubskiego. Czwarta była poświęcona rozwojowi rolnictwa na Kaszubach. Wprowadzenie do tematu przygotowałem jako przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Wejherowie, przy udziale I sekretarza KW PZPR, Jana Ptasńskiego, sekretarza KW d/s rolnictwa Tadeusza Białkowskiego, przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku Piotra Stolarza oraz sekretarzy i przewodniczących z powiatów kaszubskich. (...)

Na tej ostatniej sesji Zarządu Głównego, która odbyła się w listopadzie 1960 r. w Wejherowie, oceniono ten rok pozytywnie, jako korzystny dla Zrzeszenia. Jednocześnie stwierdzono dalszą stabilizację pracy zarządów powiatowych, nie notowano również odplywu członków. Jednak Zrzeszenie przeżyło nowy wstrząs.

Dnia 16 grudnia 1960 r. otrzymałem pilne wezwanie do I sekretarza KW PZPR w Gdańsku. Po przybyciu z Wejherowa do Gdańska, w gabinecie J. Ptasńskiego zastałem zastępcę dowódcy Marynarki Wojennej, członka Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubskiego komandora Gereona Grzeni-Romanowskiego. J. Ptasński poinformował nas krótko o dokonaniu rewizji w trzech mieszkaniach — Stefana Bieszka w Chełmnie, Jana Rompskiego w Toruniu i Aleksandra Labudy w Tłuczewie. Jednocześnie wręczył nam teczkę stwierdzając, że zawierają one kopie dokumentów znalezionych w czasie rewizji w mieszkaniu Rompskiego i że dokumenty te mają charakter wrogi wobec państwa polskiego.

Byliśmy obaj zaszokowani faktem dokonania rewizji i oceną wręczonych nam dokumentów. Nie znając zawartości teczek, nie zajęliśmy żadnego stanowiska. Następnego dnia wieczorem przyjechał do mnie Jan Rompski. Rozmawialiśmy do późnych godzin nocnych. Szukaliśmy wspólnie odpowiedzi na rodzące się pytania: co było powodem przeprowadzenia rewizji? Przeciw komu wymierzone jest to działanie: przeciw Zrzeszeniu, czy przeciw Zrzeszyńcom? Jakie będzie dalsze postępowanie w tej sprawie? Zastanawialiśmy się, jaką postawę ma przyjąć Janek, który został wezwany jako świadek do prokuratora wojewódzkiego w Gdańsku. Jakie działania powinien podjąć Zarząd Zrzeszenia.

Z Jankiem Rompskim poznaliśmy się w obozie koncentracyjnym w Stutthofie, później razem działaliśmy w „Zrzeszy Kaszëbskiej” w Wejherowie. Wszystkie działania podejmowaliśmy razem, doskonale się rozumieliśmy, chociaż nie we wszystkim się zgadzaliśmy, ale te ideowe różnice zanikały w obliczu zagrożenia, gdyż już nieraz przeżywalismy złe chwile. Po spotkaniu z prokuratorem Rompski przyjechał do mnie ponownie. Był strasznie wzburzony i rozczulony. Nie mógł się uspokoić i nie mógł zrozumieć, że był traktowany nie jako świadek, lecz jako oskarżony i to oskarżony o rewizjonizm niemiecki. On, komendant „Gryfa Pomorskiego” na miasto Wejherowo, więzień gestapo i obozu koncentracyjnego, został poświadczony o sympatii do wroga, który groził mu śmiercią. Zresztą nastrój jego najlepiej oddaje treść listu wystosowanego do I sekretarza KW w Gdańsku, Jana Ptasńskiego, w którym między innymi czytamy:

„Dlaczego tak smrotny los spotkał mnie, który skatowany do utraty przytomności, prawie umierałem w gestapo jako Polak! Za sprawę polską! (...) nie zdzierajcie krwawych blizn. Znosiłem je skatowany wtedy nie za regionalizm kaszubski (...) Pęknać by z bólu mogło serce! Któż może z Polaków być aż tak okrutny, aby przypuszczać, że bity i na śmierć skazany — mogłbym z Niemcami paktować przeciwko Polsce”. Obok smutku i żalu są w liście słowa krytyki wobec błędnego, wręcz cynicznego postępowania władz wobec ruchu kaszubskiego. Są w nim również zawarte poglądy Rompskiego na rolę i istotę ruchu kaszubskiego w procesie historycznym, na jedność Kaszub i Pomorza z Polską.

Na list ten nie było żadnej odpowiedzi. Dla J. Rompskiego ten okropny epizod właściwie się zakończył. Natomiast poza jego plecami sprawa urastała do rozmiarów prowokacji. Jako prezes Zrzeszenia zostałem zaproszony do KW, do sekretarza propagandy Tadeusza Wrębiaka. Spotkanie odbyło się późnym popołudniem w jego gabinecie, w obecności prokuratora wojewódzkiego, Jana Miklasa i szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Było to w styczniu 1961 r. Sekretarz Wrębiak oświadczył, że rozważana jest możliwość wytoczenia Janowi Rompskiemu pokazowego procesu. Wszystkiego się mogłem spodziewać, ale nigdy takiego obrotu sprawy, dlatego uczestnicy rozmowy musieli być zaskoczeni moją wypowiedzią: „Będzie to największy błąd polityczny, jaki kiedykolwiek przedstawiciele władz polskich dokonali na Pomorzu, ponieważ kanclerz niemiecki Adenauer wyzsza argumenty o odrębności Kaszub, stworzone przez władze polskie. Można się liczyć z uznaniem ze strony rewizjonistów za taki historycz-

ny wyczyn. Ponadto proszę przyjąć do wiadomości, że będzie to jawna profanacja ofiar Piaśnicy, gdzie zginęli Kaszubi za Polskę. Jednocześnie będzie to nieuszanowaniem tradycji walki o polskość na tych ziemiach, prowadzonej przez wieki z naporem germańskim, nieuszanowaniem partyzantów i ruchu oporu (...). Proces byłby jednocześnie największą krzywdą wyrządzoną tym członkom partii i bezpartyjnym Kaszubom, którzy aktywnie włączyli się w odbudowę i budowę Polski Ludowej, gdyż byłiby »spaleni« na własnej ziemi. Ponadto, byłoby to nie tylko zahamowanie, ale wręcz cofnięcie procesu integracji, który się rozwija w sposób spokojny i naturalny. Ten błąd procesowy odświeżyłby uprzedzenia do Kaszubów i odwrotnie. Wszystkie te błędy przypisze się instancji wojewódzkiej PZPR i z tym musi się liczyć kierownictwo Komitetu. Ponadto materiałów, które otrzymałem do wglądu, nie można uznać za wrogie państwu polskiemu. Są to niekolportowane rozważania Rompskiego. Z poglądami jego można się nie zgodzić, dyskutować, wyjaśniać, ale na ich podstawie nie można oskarżać go o coś, czego nie popełnił».

Dyskusja była ostra, gdyż wykazałem, że rewizje były poważnym błędem, czego nie da się ukryć. Zbyt dużym autorytetem i popularnością na Pomorzu cieszył się prof. Stefan Bieszk i jego ojciec, którzy walczyli o polskość Pomorza w czasie zaborów. Wiele pokoleń, które wyszły z gimnazjum chojnickiego, gdzie oni uczyli, było przez Bieszków wychowywanych w głębokim patriotyzmie.

Rozmowę w KW PZPR zakończyliśmy bez wniosków i bez zajęcia stanowiska przez sekretarza w sprawie Rompskiego.

Nie chcąc budzić niepokoju nie ujawniałem rozmowy, jaką miałem w Komitecie na temat procesu Rompskiego. Niemniej rozdziły się we mnie obawy, że mimo wszystko do procesu może dojść. Mając doświadczenie z lat tzw. błędów i wypaczeń, miałem uzasadnioną podstawę do niepokoju, że oskarżenie jednego działacza kaszubskiego przemieni się w powszechne oskarżenie wielu lub wszystkich działaczy. Z tych też względów uznałem za celowe wyciszyć chwilowo aktywną działalność Zrzeszenia, aby uczciwych działaczy kaszubskich uchronić przed krzywdą w przypadku doprowadzenia do tego procesu. Osobiście byłem zdziwiony postępowaniem KW PZPR w Gdańsku w sprawie Rompskiego, który, podobnie jak Bieszk, mieszkał od wielu lat poza terenem woj. gdańskiego. Ponadto, nigdzie w terenie nie występowały zadrażnienia, a wręcz przeciwnie, istniała dobra współpraca zarządów powiatowych Zrzeszenia z instancjami partyjnymi i radami narodowymi. To samo można odnieść do szczebla wojewódzkiego. Nadmienić należy, że wielu długoletnich i zasłużonych działaczy partyjnych pracowało w zarządach powiatowych i w Zarządzie Głównym Zrzeszenia Kaszubskiego. Mimo mojej ostrożności wiadomość o przeprowadzonych rewizjach rozeszła się, wywołując wśród członków Zrzeszenia mieszane nastroje.

Wyciszenie nie oznaczało zawieszenia działalności Zrzeszenia. W 1961 r. odbyły się dwie ciekawe sesje. Pierwsza obejmowała bardzo interesujący materiał opracowany przez T. Bolduana na temat „Radykalizm polityczny prasy kaszubsko-pomorskiej” w 300-lecie prasy polskiej (26 lutego 1961 r.). Tematem drugiej sesji był syn ziemi kościerskiej gen. Józef Wybicki, twórca hymnu narodowego. Sesja odbyła się 14 maja 1961 r. w Kościerzynie z udziałem aktywu Zrzeszenia oraz nauczycieli z powiatów: kościerskiego, chojnickiego i bytowskiego. Referat opracował Stanisław Pestka. Obok tych sesji, Zarząd Główny wspólnie z Oddziałem Puckim zorganizował uroczystość otwarcia „Domu Kultury” im. Floriana Ceynowy w rodzinnej wsi Ceynowy — Sławoszynie. Tam również odbył się wiec z udziałem sekretarza KC PZPR Zenona Kliszki, który cieszył się dużą popularnością na Kaszubach, z racji częstych wizyt na tych terenach.

Cień rewizji u prof. S. Bieszka, J. Rompskiego i A. Labudy zaciążył nad Zrzeszeniem mimo że nie ujawniłem wiadomości o możliwości wytoczenia procesu Rompskiemu. Przełom nastąpił w 1964 r. Czynnikiem mobilizującym były dwie sprawy: zmiana nazwy Zrzeszenia i III Zjazd, który odbył się 18 października 1964 r. Zdawałem sobie sprawę z ewentualnych oporów wobec projektu zmiany nazwy organizacji, dlatego też uważałem, że zmianę naz-

wy Zrzeszenia i jego programu trzeba swobodnie przedyskutować, łącznie z oceną sytuacji, w jakiej znajduje się organizacja. Zorganizowałem więc wyjazdową sesję plenarną Zarządu Głównego w Charyzkowach w dniach 11–12 lipca 1964.

Dyskusja, która się tam toczyła, trwała do późnej nocy i w dniu następnym. Była niesłychanie ciekawa, szczerza, a przede wszystkim cechowała ją troska o ruch regionalny i Zrzeszenie Kaszubskie. Wypowiedzi Leona Roppla, dra Józefa Bruskiego, Jana Trepczyka, Józefa Osowickiego, Tadeusza Bolduana, starego działacza Franciszka Marchewicza, dra Henryka Kotowskiego i wielu innych, były nader ciekawe i pouczające. W tym plenum nie uczestniczył Lech Bądkowski.

Zmiana nazwy Zrzeszenia Kaszubskiego na Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie została z pełnym przekonaniem zaakceptowana przez wszystkich uczestników. Było to plenum budujące i przekonany byłem i jestem, że jego uczestnicy byli zjednoczeni w poczuciu odpowiedzialności za losy Zrzeszenia.

W tym artykule z okazji 30-lecia Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego zarysowałem drogę, jaką przebiegał kaszubski ruch regionalny po wyzwoleniu. Pierwsze lata działania Zrzeszenia wykazały nasze słabości, wady, ale i naszą siłę twórczą, a przede wszystkim umiłowanie kaszubszczyzny i Kaszub. Dzięki wielu działaczom z poszczególnych kół, oddziałów i Zarządu Głównego, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie przetrwało 30 lat i mimo wielu trudności zachowało swoje autentycznie regionalne oblicze.

Zrzeszenie legitymuje się poważnym dorobkiem w wielu dziedzinach, ale największym sukcesem jest jego trwałość i stałe odnawianie kadr. Nieliczne odchylenia, w przeszłości i współcześnie, od głównych zasad ruchu kaszubskiego nie zagroziły organizacji. Lekcją na dziś i jutro jest, by nie poddawać się koniunkturalnym sprzyjającym odchyleniom lub uzależnieniom. Ostatnie lata nie wpłynęły hamująco na działalność Zrzeszenia i nie przesłaniają mu perspektyw rozwojowej.

Pociesza mnie mądra i ciekawa wypowiedź Aleksandra Labudy, z którym rozmawiałem przed jego śmiercią. Przypominałem mu, że to on podniósł kaszubską chorągiew z trumny Aleksandra Majkowskiego, jako symbol trwania i prowadzenia spraw kaszubskich dalej. Zapytałem też, kogo widzi godnym podniesienia tej chorągwi z jego trumny. Odpowiedział:

„Wtedy było nas, działaczy, mało, byliśmy rozproszeni, trzeba było działać symbolem historycznym. Dzisiaj nie potrzeba tej chorągwi podnosić z grobu, gdyż ona żyje szeroko wśród zrzeszonego, młodego pokolenia i tych następców jest już bardzo dużo”.

Jestem przekonany, że miał absolutną rację. ■

Stanisław Janke

ZWÓNE SĘ CZĘC

Tej jidze razę z jinyma
tam gdzie umierô człowiek
czô jak gromnica sę skwarzi
głosni niżle pôlc obcêró
lîzê pod okem
tu snijônczi o pieczeniu chleba
a wieselim mieniają sę opocêszku
w biôli zôglôwk obstrojony mirtą
w płôchtê co oblôkają
okna a zdradla
jak pannê młoda
co jesz wiedno je
tą smiercką jakô ju w kuńcu
chcała przînc a zabrac
na muzykê zwônów
letko i zwêczajno zatancowac
chto sę rodzy
umrzêc muszi
umrzêc muszi

Edmund Puzdrowski

Paciorek

Panie Boże, jest tyle modlitw do Ciebie,
a powiedz mi dlaczego wokół słyszę tylko
paciorek?

Czy Twoje dzieci nie dorosły — nie — nie do
Ciebie — lecz do tego wieku, któremu przystoi
odpowiedzialność za siebie? A przecież oni,
jak tu klęczą, mają już swoje dzieci.

Powiedz Boże, jak to jest, że łatwiej im do
Ciebie się zbliżyć grzechem niż słowem.

Każdy z nas ma swój grzech, niejedni mają
ich wiele, a ilu z nas ma swe własne modlitwy?

Panie Boże, przecież nie może nas zbawić
wyuczony w dzieciństwie paciorek, w którym nie ma
niczego z nas: ani naszego piękna, ani naszego strachu.
Wiesz o tym, że jesteśmy piękni, jak wiesz i o tym,
że obrzydzeniem przejmujemy nas pot strachu — ale on jest
nasz — nie odebrałeś go nam. On jest ludzki.

Czyżbyś chciał nam odebrać
rozumienie Słowa?

Panie Boże — — — —

* * *

Mamy już po pięćdziesiąt lat. Jesteśmy zmęczeni.
Nieco młodszy są nasi synowie.

Ale ten biologiczny kalendarz nie może nam,
starym,
odbierać nadziei. Jak nie może synom zabrać
tego, co wielokroć paliła historia.

Oni muszą komuś uwierzyć. A komu — jak
nie nam?

— przeżywającym nieskończoną sztuczną wiosnę
w sybirskich śniegach, które coraz bliżej padają
Paryża.

W moim domu śnię sen Irydiona. Trzy
wiary, trzy religie skłóciły się w sobie. Tyle,
ile nas jest. Troje. Po jednej dla każdego.

Ale co powiedzieć tej prawdzie, nagiej prawdzie,
która jak jutrzienka wstaje na mojej
drodze i świeci.

I idzie przede mną. Co jej powiedzieć, gdy nie
wiem jakie z słów tajnych
powiedzieć synowi?

On śpi, umęczony dniem.

A ja nie mogę zasnąć. Mnie jest nie wolno
spać — ta słowiańska składnia języka
i prawdy
na moich oczach i w moim sercu
wstaje każdego dnia.

PSIE LATA⁽⁸⁾

Günter Grass

Tłumaczył
Sławomir Błaut

Nazajutrz odbyły się rzeczy z lekka apokaliptyczne: Amsel likwidował swój magazyn w szopie Folcherta. To znaczy Matern otworzył kłódkę i zdumiewająco liczna chmara pomagierów wynosiła materiały pasamonika — tak po wsiach nazywano Amsela — na świeże powietrze: cztery rozpoczęte strachy, wiązki łat dachowych i obszywek. Skubano kapok. Materace wymiotowały trawą morską. Końskie włosie wypadało z kanapowych poduszek. Wojskowy hełm, piękna peruka męska z długich włosów z Krepca, czako, kapelusze-kapotki, ozdobne pióra, toczki, kapelusze z filcu-słomy-weluru, kalabryjski i wellingtonowski, ofiarowany przez rodzinę Tiede z Cedrów Wielkich, wszystko, co może służyć za nakrycie głowy, wędrowało z głowy na głowę, z mroku szopy na miodowożółte słońce: — Pasamonik, pasamonik! — Ze skrzyni Amsela, której zawartość doprowadziłaby do szaleństwa setkę lubiących się stroić kucht, wypływały falbanki, dzęty, sztuczne perły, bordiury, chmury koronek, sznury kanapowe i pachnące goździkami jedwabne frędzle. Kto tylko miał ręce i nogi, każdy, kto chciał pomóc pasamonikowi, wkładał i zdejmował, rzucał na kupe: swetry damskie i marynarki, pantalone i żabiozieloną litewkę. Jeżdżący po okolicy przedstawiciel handlowy mleczarni podarował Amselowi kurtkę żuawa i śliwkowoniebieską kamizelkę. Hi, hi, gorset, gorset! Dwóch owinęło się blücherowskim płaszczem. Wyrywające się do tańca oblubienice w pachnących lawendą ślubnych strojach. Bieg w workach z nogawek. Krzycząca zieleń szmizjerki. Bał mufek. Małe myszki w pelerynie. Wygrzyzione rogi. Bez kołnierza. Koloratki i opaski do wąsów, szmaciane fiołki, tulipany z wosku, róże z papieru, orderzy z festynu strzeleckiego, psie blaszki i bratki, muszki, srebro moli. — Pasamonik, pasamonik! — Na kogo pasowało albo nie pasowało obuwie, ten wkładał bez trudu lub wciskał na siłę kalosze, buciki z kapkami, pantofle na obcasie, kamasze i sztylpy, chodził w trzewikach z długim dziobem po tytoniowobrazowych firankach, skakał bez butów, ale w getrach przez zasłony jakiejś hrabiny, księżnej czy zgłola królowej. Rzeczy pruskie, kujawskie, wolnomiejskie padały na stos: cóż za święto w pokrzywach za szopą Folcherta: — Pasamonik, pasamonik! — A na samym wierzchu, na wciąż jeszcze zasobnej w mole stercie, stał, podparty tyczkami do fasoli, przedmiot publicznego zgorszenia, postrach dzieci, Baal, wysmołowany i upierzony, Wielki Ptak Pisklak.

Niemal pionowo świeci słońce. Ogień wzniecony z ręki Kriwego zapalkami sztormowymi Kriwego szczy się szybko. Wszyscy cofają się o parę kroków, pozostają jednak chcąc być świadkami wielkiego palenia. Podczas gdy Walter Matern, jak zwykle przy niezwykłych okazjach, reaguje rozgłosnie i samym zgryzaniem zębami usiłuje zagłuszyć trzaskanie ognia, Eduard Amsel, nazywany „pasamonikiem”, a od czasu do czasu, także w trakcie wesołego palenia, „parchem”, stoi w niedbalej pozie na piegawatych nogach, zaciera

gorliwie pulchne dłonie, mruży oczka i coś widzi. To nie zielono-żółty dym, nie prążące się rzeczy ze skóry, nie żarzący się lot iskier i moli zmusza go do zważania okrągłych oczu w podłużne szparki; to raczej płonąca wieloma językami ptak, którego dym opada i pełźnie ponad pokrzywami, obdarowuje go świeżymi pomysłami i podobnymi im mrzonkami. Bo kiedy gorejący zwierz, stwór z gałganów, smoły i piór, sypiący iskrami, trzaskający i nadzwyczaj ożywiony, podejmuje ostatnią próbę zerwania się do lotu, potem roziskrzony zapada się w siebie, Amsel w duchu i w swoim diariuszu postanawia, że później, jak już będzie dorosły, podejmie na nowo ideę Ptaka Pisklaka: skonstruuje ogromnego ptaka, który nieustannie żarzy się, płonie i miota skry, który jednak nie spala się nigdy, lecz wiecznie, zawsze i z natury, apokaliptycznie i zarazem dekoracyjnie, żarzy się, płonie i miota skry.

DWUDZIESTA SZÓSTA RANNA SZYCHTA

Na kilka dni przed czwartym lutego, zanim krytyczny układ gwiazd postawi ten świat pod znakiem zapytania, Brauxel postanawia wzbogacić swoją ofertę handlową czy też pandemonium o jeden numer katalogowy: chce polecić skonstruowanie obmyślonego przez Amsela płonącego perpetuum mobile w kształcie ptaka. Świat nie jest taki bogaty w pomysły, żeby można było markotnie rezygnować z jednej z najpiękniejszych inspiracji, nawet gdyby świat po kilku rannych szychtach, z powodu układu gwiazd, miał się skończyć; zwłaszcza że Eduard Amsel po autodafe za szopą Folcherta dał przykład postawy stoickiej pomagając w gaszeniu szopy Folcherta, która od lejących iskier zajęła się ogniem.

W parę tygodni po publicznym spaleniu Amselowych zapasów i ostatniego ze straszących wróble modeli, po pożarze, który w główce Amsela, jak zobaczymy, zapalił różnorakie hubki i podłożył ogień już nie do ugaszenia, wdowa Lottka Amsel z domu Tiede, i pan Anton Matern, młynarz z Mikoszewa, otrzymali urzędowe listy, z których można było się dowiedzieć, którego dnia i o której godzinie pan dyrektor doktor Battke wyznaczył rozmowę w gabinecie dyrektorskim gimnazjum realnego Świętego Jana.

Zawsze jedną i tą samą kolejką wdowa Amsel i młynarz Matern — siedzieli naprzeciwko siebie i mieli miejsca przy oknie — pojechali do miasta. Przy Bramie Żuławskiej wsiadli w tramwaj i dojechali do Mostu Stągiewnego. Ponieważ przyjechali zawczasu, można było jeszcze to i owo załatwić. Ona musiała pójść do Hahna & Löchela, potem do Haubolda & Lansera; on, w sprawie nowego młyna, musiał wstąpić do firmy budowlanej Prochnowa przy Bocianieję. Spotkali się na Długim Targu, wypili kieliszczyk u Springera, potem, choć z powodzeniem mogliby pójść pieszo, wzięli taksówkę — i na Rzeźniczą przybyli za wcześnie.

Żeby podać czas w zaokrągleniu: dziesięć minut musieli czekać w sekretariacie doktora Rasmusa Battke, aż dyrektor w jasnoszarych półbutach, w ogóle ubrany sportowo, poważny, bez okularów, pokazał się w sekretariacie. Małą dłonią na krótkiej ręce zaprosił oboje do swego gabinetu, a gdy wieśniacy nie śmieli usiąść w klubowych fotelach, zawołał swobodnie: — Proszę, tylko bez żadnych ceregieli. Szczególnie jestem rad z możliwości poznania rodziców dwóch uczniów rokujących tak wielkie nadzieje.

Trzy ściany książek, jedna ściana okien. Jego tytuł fajkowy pachniał z angielska. Schopenhauer gniewał się między półkami książek, bo Schopenhauer... Szklanka, dzbanek z wodą, przepychacz do fajki na ciemnoczerwonym biurku, pokrytym zielonym filcem. Cztery zakłopotane dłonie na skórzanych poręczach. Młynarz Matern ukazywał dyrektorowi odstające, nie zaś uległe mącznikowi ucho. Wdowa Amsel kiwała głową po każdym zdaniu pobocznym przemawiającego płynnie dyrektora. Omówiona została po pierwsze: sytuacja gospodarcza na wsi, a więc niezbędne, ze względu na polskie ustawy celne, spodziewane uregulowanie rynku i problemy serowni na Wielkich Żuławach. Po drugie: Wielkie Żuławy w ogóle, a w szczególności falujące, rozfalowane, falujące na wietrze pola pszenicy; zalety odmiany Eppa i ozimej syberyjskiej; walka z kąkolem — „ale to rozległa, wspaniała

okolica, tak, tak..." Po trzeciej u doktora Rasmusa Battke znaczyło: dwu tak wielce, acz całkowicie odmiennie uzdolnionym uczniom — małemu Eduardowi wszystko przychodzi jakby od niechcenia — dwu tak owocnie zaprzyjaźnionym uczniom — jakże wzruszającą mały Matern broni przyjaciela przed na pewno nie złośliwymi kpinami kolegów — krótko mówiąc, dwu tak godnym przyjaznego poparcia uczniom jak Eduard Amsel, ale i Walter Matern długa jazda nie-szczęsną, choć nadzwyczaj zabawną wąskotorówką ogromnie przeszkadza w pokazaniu tego, na co ich naprawdę stać; toteż on, dyrektor tego gimnazjum, stary wyga szkolny, jak mogą mu wierzyć, od lat zaprawiony w kontaktach z uczniami dojeżdżającymi proponuje, żeby obu chłopców, jeszcze przed wakacjami, od przyszłego poniedziałku przenieść do innej szkoły. Conradinum we Wrzeszczu, którego dyrektor, stary przyjaciel, wie już o wszystkim i w zupełności się zgadza, dysponuje alumnatem, mówiąc po prostu: internatem dla uczniów, w którym znaczna liczba alumnów, mówiąc po prostu: mieszkańców internatu dla uczniów, za umiarkowaną opłatą — Conradinum korzysta ze szczodrej fundacji — może mieszkać, jako dyrektor tego gimnazjum, może tylko doradzać.

Takim to sposobem w najbliższy poniedziałek Eduard Amsel i Walter Matern zamienili zielone aksamitne czapki Świętego Jana na czerwone czapki Conradinum. Z pomocą kolejką oni i ich walizki opuścili ujście Wisły, Wielkie Żuławy, wały od horyzontu po horyzont, topole Napoleona, wędzarnie ryb, prom Kriwego, nowy wiatrak młyński na nowym koźle, węgorze pomiędzy wierzbnymi a krowami, ojca i matkę, surowych i łagodnych menonitów, Folcherta, Kabrina, Lickfetta, Mombera, Lührmanna, Karweisego, nauczyciela Olschewskiego i ducha babki Maternowej, który straszył w domu, ponieważ zapomniano o tym, że wodę po umyciu zmarłej trzeba wylać na krzyż przez próg.

DWUDZIESTA SIÓDMA RANNA SZYCHTA

Synowie zamożnych chłopów, synowie ziemian, synowie zachodniopruskiej, z lekka zadłużonej szlachty, synowie kaszubskich cegielników, syn aptekarza z Nowego Stawu, syn pastora z Pszczółek, syn landrata ze Steblewa, Heini Kadlubek z Ostrózek, mały Probst ze Skowarcza, bracia Dyckowie z Lubieszewa. Bobbe Ehlers z Chwaszczyna, Rudi Kiesau ze Straszyna, Waldemar Burau z Prędziszyna i Dirk Heinrich von Pelz-Stilowski z Kłodawy nad Kłodawą; zatem synowie dziedzica i woźnicy, pastora i znachora, nie wszyscy maraz, ale w większości, wkrótce po Wielkanocy zostali alumnami alumnatu przy Conradinum. Gimnazjum realne z pomocą fundacji Conrاديةgo zdołało przez dziesiątki lat utrzymać się jako uczelnia prywatna, lecz gdy Walter Matern i Eduard Amsel stali się conradyńczykami, miasto udzielało już sowytych subwencji. Dlatego Conradinum trzeba było nazwać gimnazjum miejskim. Tylko alumnat nie był jeszcze miejski, stanowiąc nadal prywatną przyjemność i obiekt subsydiów conradyńskiej fundacji.

Sypialnia dla pierwszo-, drugo- i trzecioklasistów, zwana też małą sypialnią, znajdowała się na parterze, a jej okna wychodziły na szkolny ogród, czyli na krzaki agrestu. Zawsze był jeden taki, co zlewał się do łózka. Pachniało siuskami i materacami z trawy morskiej. Obaj przyjaciele spali na sąsiednich łózkach pod oleodrukiem przedstawiającym Żuraw, Obserwatorium Astronomiczne i Długi Most zimą w porze spływu kry. Obaj nigdy albo prawie nigdy nie zlewali się do łóżek. Chrząst nowicjuszy, próbę wysmarowania Amselowi tyłka szuwaksem, Walter Matern udaremnił w okamgnieniu. Na pauzach stali pod tym samym kasztanem na podwórzu i nie zadawali się z nikim. Co najwyżej małemu Probstowi i Heiniemu Kadlubkowi, synowi węglarza, wolno było się przysłuchiwać, jak Walter Matern długo milczy pośpieśnie i milczy, jak Eduard Amsel rozwija swój tajny język i nowemu otoczeniu nadaje nowe miana.

—Kipta tajtu ein dzobar im eis jabadopo.

Ptaki tutaj nie bardzo mi się podobają.

—Blewró w ciemień ot ien ot oc blewró an isw.

Wróble w mieście to nie to co wróble na wsi.

—Arddue Selma wimó kapsw.

Łatwo i płynnie słowo po słowie stawiał na głowie krótkie i długie zdania i potrafił nawet tej nowej mowie wspaniałą nadać rozlegnie żuławską intonację: z trupiego czerepu robił pitru repcze. Walter Matern rozumiał sens jego słów, dawał też krótkie, również przekręcone na wspaniałą, na ogół bezbłędne odpowiedzi: — Robimy to — mybiro ot; — Był zawsze zdecydowany: — Kat yzc ein? — Mały Probst zdumiewał się. Heini Kadlubek, na którego wołali „Bekdluka”, całkiem zmyślnie chwycił, na czym to paplanie polega.

Wiele wynalazków, równych sztuczkom językowym Amsela, zostało już dokonanych w czasie pauz na szkolnych podwórzach tego świata, popadło później w zapomnienie i na koniec jest pilnie odgrzebywanych i rozwijanych przez zdzieciniałych staruszków w miejskich parkach, które pomyślane są jako odpowiedniki szkolnych podwórz. Kiedy Bóg chodził jeszcze do szkoły, podczas pauz na niebiańskim szkolnym podwórzu przyszło mu do głowy, żeby razem z kolegą, małym zdolnym diablem, stworzyć świat: czwartego lutego tego roku, czyta Brauxel w licznych felietonach, ten świat ma zginąć; tak postanowiono na szkolnych podwórzach.

Ponadto podwórza szkolne mają jedną rzecz wspólną z podwórkami dla kur: paradowanie dyżurnego koguta podobne jest do paradowania nadzorującego nauczyciela. Koguty przechadzając się też zakładają ręce w tył, odwracają się zniemacka i rozglądają karcąco.

Profesor Oswald Brunies — zespół autorów zamierza wystawić mu pomnik — sprawując nadzór oddaje tu wynalazcy porównania z kogutem i podwórką dla kur widomą przysługę: co dziewięć kroków grzebie czubkiem lewego buta w podwózkowym żwirze; co więcej, odstawia nauczycielską nogę pod kątem — nawyk, nie bez znaczenia — profesor Oswald Brunies czegoś szuka: nie złota, nie serca, nie szczęścia Boga sławy, szuka rzadkich krzemieni. Szkolne podwórze migocze wysypane żwirem.

Nie dziw, że jeden po drugim, czasem po dwóch, podchodzą uczniowie i w dobrej wierze lub dla zwykłego uczniowskiego kawału podsuwają mu pospolite krzemiki wydlubane z ziemi. Ale profesor Oswald Brunies bierze między kciuk a palec wskazujący lewej dłoni każdy, nawet najlichszy kamyk, trzyma go pod światło, potem w pełnym świetle, prawą z kieszonki torfowobrazowej, miejscami wytartej marynarki wyciąga lupę umocowaną na gumce, fachowo i ceremonialnie porusza lupą na rozciągliwej gumce między krzemikiem a okiem, darząc gumkę pełnym zaufaniem pozwala lupie elegancko pomknąć z powrotem do kieszonki, w następnej chwili ma krzemik w lewej dłoni, wprawia go w ruch okrężny, zrazu o małym promieniu, potem coraz śmielszy, aż po skraj dłoni, i wyrzuca, podbijając lewicą wolną prawicą. — Ładny, ale niepotrzebny! — mówi profesor Oswald Brunies i tą samą dłonią, która dopiero co wprawiała w ruch niepotrzebny krzemik, sięga do torebki, zawsze, i ilekroć będzie tu mowa o Oswaldzie Bruniesie, wystającej brązowej i wymiętoszonej z bocznej kieszeni marynarki. Ornamentalnie zawijasowatymi drogami, jakie przemierzają kapłani podczas mszy, doprowadza cukierek słodowy z papieru torebki do ust: celebkuje, smokcze, ssie, zmniejsza, bełta sok między zbrązowiałymi od tytoniu zębami, przerzuca spod jednego policzka pod drugi, sprawia, podczas gdy pauza się kurczy, gdy strach przed końcem pauzy w pogmatwanym wnętrzu wielu uczniów przybiera na sile, gdy wróble na kasztanach tęsknie wyglądają końca pauzy, gdy on sam kroczy dumnie, grzebie w podwózkowym żwirze i wyrzuca niepotrzebne krzemiki — sprawia, że cukierek słodowy maleje i staje się bardziej szklisty.

Mała pauza, duża pauza. Zabawy na pauzie, szepty na pauzie. Kanapki na pauzie i cykorii na pauzie — Brauksel ma na myśli strach: zaraz będzie dzwonek...

Puste podwórza szkolne, które należą do wróbli. Tysiące razy oglądany i filmowany widok, jak to wiatr porusza papierem po kanapkach na pustym, niedbale melancholijnym, pruskim, humanistycznym, wysypanym żwirem szkolnym podwórzu.

Podwórze Conradinum składało się z małego, kwadratowego, ocienionego nieregularnie przez stare kasztany, a więc przeobrażonego w rzadki kasztanowy las, i podłużnego, z lewej przylegającego bez płotu dużego podwórza, które okalały posadzone w regularnych odstępach młode lipy trzymające się podpórek. Neogotycka hala gimnastyczna, neogotycki pisuar i neogotycki, czteropiętrowy, wyposażony w bezzwonną dzwonnice, staroceglanoczerwony i porośnięty bluszczem gmach szkoły otaczały z trzech stron małe podwórze i osłaniały od wiatrów, które ponad dużym podwórzem niosły ze wschodniego kąta stożkowate kłęby kurzu: bo tylko niski ogród szkolny z ogrodzeniem z wąskookiej siatki i dwupiętrowy, również neogotycki alumnat stały wiatrowi na przeszkodzie. Zanim później, za południowym szczytem hali gimnastycznej, nie zbudowano nowoczesnego stadionu z bieżnią i murawą, duże podwórze musiało na lekcjach gimnastyki służyć za boisko. Godzi się jeszcze wspomnieć wysmożony piętnastometrowej długości stojak drewniany między młodymi lipami a płotem szkolnego ogrodu. Unosząc wysoko przednie koła można było wstawiać do tej remizy rowery. Igraszka: skoro tylko uniesionym wysoko przednim kołem płaskimi uderzeniami dłoni nadało się bieg jałowy, żwir, który przylgnął podczas krótkiego przejazdu przez duże podwórze, odrywał się od opon i walił w krzaki agrestu szkolnego ogrodu za siatkowym płotem.

Kto musiał kiedyś na wysypanym żwirem boisku grać w piłkę ręczną, piłkę nożną, dwa ognie, pięściówkę czy zgoła w wybijanego, ten później, ledwie wstąpi na żwir, będzie nieodparcie wspominał wszystkie pozdzierane kolana, owe skaleczenia, które źle się goją, porastają skorupiatymi strupami i z wszystkich wysypanych żwirem boisk czynią boiska zroszone krwią. Mało co na tym świecie tak na zawsze zapada w pamięć jak żwir.

Dla niego wszakże, koguta na szkolnym podwórzu, krocącego sztywno, smokczącego profesora Oswalda Bruniesa — zostanie mu wystawiony pomnik — dla niego, z lupą na gumce, z lepką torebką w lepkiej kieszeni marynarki, dla niego, który zbierał, oglądał, wyrzucał lub zachowywał kamienie i kamyki, rzadkie krzemienie, miłe sercu lyszczyki — muskowił bioty — kwarce, skalenie i hornblendy, dla niego duże podwórze Conradinum było nie zadającym rany urapieniem, lecz ciągłą okazją do grzebania czubkiem buta po dziewięciu kogucich krokach. Bo Oswald Brunies, który uczył prawie wszystkiego — geografii, historii, niemieckiego, łaciny, w razie potrzeby religii — nie był owym budzącym powszechny lęk nauczycielem gimnastyki z czarno skędzierzawioną pierśią, z czarno owłosionymi nogami, z gwizdkiem i kluczem do pomieszczenia z przyrządami. Nigdy Brunies nie przyprowadził chłopaków o dygot pod drażkiem, mękę na poręczach, płacz na gorących linach do wspinań. Nigdy nie żądał od Amsela wymyku na drażku czy szczupaka przez zawsze zbyt długiego konia. Nigdy nie pędził Amsela i mięsistych Amselowych kolan po kaśliwym żwirze.

Pięćdziesięciolatek z wąsikami, osmalonym od cygar. Każdy włoszek zarostu słodki od coraz to nowego słodowego cukierka. Na okrągłej głowie szary filc, który często, przez całe przedpołudnie, był obwieszony narzucanymi kuleczkami ostu. Skręcone kępi włosów sterczące z obydwóch uszu. Twarz usiana zmarszczkami od śmiechu-chichotu-uśmiechu. Eichendorff zagnieździł się w krzaczastych brwiach. Koło młyńskie, krzepy młynarczy i fantastyczna noc wokół pozostających w ciągłym ruchu skrzyde-

łek nosa. I tylko w kącikach ust, także w poprzek nasady nosa, paru współbiesiadników: Heine z „Baśnią zimową” i „Stopfkuchen” Raabego. Przy tym lubiany i nigdy nie traktowany poważnie. Kawaler w bismarckowskim kapeluszu i wychowawca pierwszej klasy: między innymi Waltera Materna i Eduarda Amsela, przyjaciół znad ujścia Wisły. Obaj ledwo już pachnieli oborą, zsiadłym mlekiem i wędzonymi rybami: ulotnił się też swąd, który po publicznym paleniu za szopą Folcherta przylgnał do ich włosów i ubrań.

DWUDZIESTA ÓSMA RANNA SZYCHTA

Po punktualnym zakończeniu szychty i kłopotach handlowych — brukselskie traktaty rolne przysparzają finie Brauxel & Co. trudności ze zbytem — z powrotem do żwiru szkolnego podwórza. Zanościło się na to, że lata szkolne obu przyjaciół będą wesołe. Ledwie przenieśli się ze Świętego Jana do Conradinum, ledwie zadowolili się w zatęchłym, zalałym zepsutymi chłopakami alumnacie — któż nie zna historyjek o alumnach? — ledwie wrył się im w pamięć żwir dużego podwórza, rozeszła się wieść: za tydzień pierwsza klasa jedzie na czternaście dni do Zaskoczyna. Profesor Brunies i nauczyciel gimnastyki, profesor Mallenbrand, będą sprawowali nadzór.

Zaskoczyn! Jakie czułe słowo.

Szkolny dom wypoczynkowy znajdował się w Lesie Zaskoczyńskim. Najbliższa wieś nazywała się Mierzyszyn. Tam przez Szadółki, Straszyn, Prędziszyn, Żuławę autobus pocztowy zawiózł całą klasę i obu nauczycieli. Wielodrożnica. Piaszczysty rynek dostatecznie szeroki, by pomieścić targ na bydło. Stąd dokoła drewniane kołki z żelaznymi kółkami do uwiązkiwania na łańcuchu. Łsniące kałuże, marszczące się pod każdym podmuchem wiatru: na krótko przed przyjazdem pocztowego autobusu spadł ulewny deszcz. Ale ani śladu krowiego łajna, końskich jablek, za to kilka zgromadzeń wróbli, które wciąż się przegrupowywały i gdy Amsel wysiadł z autobusu, spotęgowały swoją wrzawę. Niskie chłopskie zagrody, częściowo kryte słomą, z małymi okienkami, otaczały rynek. Był jeden dwupiętrowy, nie otynkowany, nowy budynek — dom handlowy Hirscha. Fabrycznie nowe pługi, brony, przetrzaskacze siano chciały, żeby je kupiono. Dyszle wozów sterowały ku niebu. Naprzeciwko ceglastoczerwona fabryka, która stała frontalnie wymarła, z zabitymi na głucho oknami. Dopiero kampania cukrownicza w końcu października przyniesie tej budzie życie, fetor i zarobek. Nieodzowna filia kasy oszczędnościowej miasta Gdańska, dwa kościoły, mleczarnia, kolorowa plama: skrzynka pocztowa. A przed fryzjerem druga kolorowa plama: miodowożółta, na wietrze wiszący ukośnie mosiężny krążek dawał przy zmiennym zachmurzeniu świetne sygnały. Zimna, bezdrzewna wieś.

Mierzyszyn, jak wszystkie ziemie na południe od miasta, należał do powiatu Gdańskie Wyżyny. Mar na ziemia w porównaniu z urodzajną glebą nadwiślańskiej niziny. Buraki, ziemniaki, polski bezosty owies, szkliste żyto zwyczajne. Co krok trafiało się na kamień. Chłopi idąc przez pola schylali się w pół kroku, podnosili jeden z wielu, rzucali go wściekle: a kamień spadał na cudzy łąn. Te gesty również w niedzielę: chłopi w czarnych czapkach z błyszczącymi lakierowanymi daszkami idą przez buraki, w lewej trzymają parasole, schylają się, żeby podnieść coś z ziemi, rzucają na wszystkie strony: i kamienie spadają — skamieniałe wróble, na które nikt, żaden Eduard Amsel, nie potrafił wymyślić strachów.

Mierzyszyn zatem to były czarne zgarbione plecy, czubki parasoli groźnie zwrócone ku niebu, podnoszenie i rzucanie, no i wytłumaczenie, skąd się wzięło takie mnóstwo kamieni: Podobno diabeł, kiedy odmówiono mu tego, co pod przysięgą zostało przyrzeczone, odpłacił się chłopom za niedotrzymanie sło-

wa, miotając się całą noc po okolicy i rzygając na pola i łąki duszami potępieńców, które zalegały mu w żołądku. I okazało się, że owe dusze potępieńców to były kamienie, nie do usunięcia, choćby chłopci podnosili i rzucali do późnej starości, garbu się tylko dorabiali.

Trzy kilometry musiała wędrować klasa w luźnym szyku, z profesorem Bruniesem na czele, z profesorem Mallenbrandem na końcu, najpierw przez pagórkowatą okolicę, z obu stron szosy między rozsianymi kamieniami porośłą skąpo niewysokim żytem, potem przez zaczynającą się Las Zaskoczyński, nim przezierające zza buków pobielone mury zapowiedziały dom wypoczynkowy.

Blado, blado! Brauxel, który jest tu za skrybę, cierpi na nieumiejętność opisywania bezładnych krajobrazów. Nie brak mu dobrych zadatków; ale gdy tylko odmaluje lekko falisty pagórek, a więc czystą zieleni i wiele Stifterowskich pagórkowych odcieni w głębi, aż po daleką szaroniebieskość na horyzoncie, następnie na nie ukształtowanym jeszcze pierwszym planie rozrzuć, jak ongiś diabeł, nieuniknione polne kamienie wokół Mierzyszyna, doda też umacniające ten pierwszy plan krzaki, powie zatem: jałowiec, leszczyna, janowiec lśniący zielony, karłowate sosenki, zarośla, kuliste, stożkowate, szyszkowate u szczytu, u stóp pagórka: uschły krzak, kolczasty krzak, krzak na wietrze, krzak szeptów — bo w tych stronach wciąż wieje — zaraz go korci, żeby w Stifterowskie pustkowia technąć życie. Brauksel powie: A za trzecim krzakiem licząc od lewej, trzy pięćdziesiąt powyżej półtorej morgi buraków pastewnych, nie, nie krzew leszczyny — och, te wszystkie krzewy! — tam tam tam, poniżej pięknego dużego nieruchomego omszałego polnego kamienia, w każdym razie za trzecim krzakiem od lewej kryje się, pośród bezładnego krajobrazu, jakiś mężczyzna.

To nie siewca. Nie przedstawiany z upodobaniem na oleodrukach oracz. Mężczyzna po czterdziestce. Błady smagły czarny suchwały ukryty za krzakiem. Nos haczykowaty uszy sterzące bezzębny. More, mężczyzna, ma na małym palcu angustri, pierścień, i w ciągu następnych rannych szych, kiedy to uczniowie grają w wybijanego, a Brunies sisse swoje słodowe cukierki, nabierze znaczenia, ponieważ ma przy sobie zawiniątko. Co tkwi w zawiniątku? Jak nazywa się mężczyzna?

Jest to Cygan Bidandengero, a zawiniątko popląkuje.

DWUDZIESTA DZIEWIĄTA RANNA SZYCHTA

Wybijany to był sport tamtych szkolnych lat. Już na wysypanym żwirem dużym podwórzu Conradianum świeca wyekspediowana w górę tak znakomicie, że podczas gdy piłka wywiercała dziurę w niebie, potem zaś spadała skórzanym ciężarem, część drużyny świecarza zdążyła dobiec wachlarzowato do obu chorągiewek na końcu boiska, wrócić bez przeszkód i zebrać punkty, uchodziła za wielki wyczyn, w porównaniu z którym pięćdziesiąt pięć młynków czy siedemnaście podciągnięć się na drążku było normalną. W szkolnym domu wypoczynkowym w Zaskoczynie grało się w wybijanego przed i po południu, między nielicznymi lekcjami. Po trzykroć różnymi oczami patrzyli na tę grę Walter Matern, jego przyjaciel Eduard Amsel i profesor Mallenbrand.

Dla Mallenbranda gra w wybijanego to był światopogląd. Walter Matern był mistrzem świec. Posyłał i łapał świece zwinną ręką i natychmiast po złapaniu rzucał piłkę partnerowi: co jego drużynie przynosiło dodatkowe punkty.

Eduard Amsel natomiast toczył się po boisku do wybijanego jak po czyścicu. Grubawy i krótkonogi stanowił idealny cel przy okrażaniu i wybijaniu. Był słabym punktem swej drużyny. Polowano na niego. Otaczali go i obtańcowywali we czterech z piłką, która tańczyła razem z nimi. Ćwiczyli jego

kosztem znakomite finty, aż jęcząc walił się na trawę i czuł już uderzenie napompowanej piłki, zanim go ta piłka dosięgnęła.

Ratunek przynosiła tylko wówczas, gdy przyjaciel Amsela posyłał ją świecą; i Walter Matern posyłał świece właściwie jedynie po to, żeby Amsel pod osłoną pędzącej ku niebu piłki mógł odważyć się na przebiegnięcie boiska. Mimo to nie wszystkie świece przebywały wystarczająco długo w powietrzu: już po paru dniach rozgrywanego według wszelkich reguł światopoglądu na nakrapianym ciełe Amsela zakwitło kilka sinocząrných półksiężyców, które wiedły długo.

Już wtedy zmienna kolej rzeczy: po obu stronach Wisły Amsel miał łagodne dzieciństwo, za to z dala od Wisły zaczęły się Amselowe cierpienia. Nie skończył się tak prędko. Profesor Mallenbrand był uważany za eksperta i napisał książkę czy też rozdział w książce o niemieckich grach uczniowskich. Wypowiedział się tam zwięźle i wyczerpująco na temat wybijanego. W przedmowie wyraził opinię, że supernarodowa odrębność gry w wybijanego uwidacznia się szczególnie w zestawieniu z kosmopolityczną piłką nożną. Potem punkt po punkcie określał reguły: Pojedynczy gwizdek oznacza, że piłka jest martwa. Prawidłowe trafienie sędziego stwierdza podwójnym gwizdkiem. Z piłką nie wolno biec. W ogóle co do piłek: były wysokie, zwane świecami, dalekie, płaskie, różne, krótkie, świece skiksowane, szczury, pełzaczce, piłki wędrownie, stojące, trafne i trójkowe. Piłkę wprawiało się w ruch uderzeniami prostopadłymi, ukośnymi, z wyprostu lub z rozmachu, płaskimi ze zgięciem przedramienia i oburącz, kiedy to piłkę trzeba było najpierw rzucić na wysokość barku. Przy łapaniu piłki wysokiej, zwanej świecą, twierdził Mallenbrand, oko chwytaacza, jego gotowa do łapania dłoń i spadająca piłka muszą tworzyć jedną linię. Ponadto, i to uczyniło profesora sławnym, na jego wniosek o pięć metrów wydłużono do pięćdziesięciu pięciu metrów odcinek biegu do chorągiewek. To utrudnienie gry — Amsel odczuł je na własnej skórze — przyjęły prawie wszystkie gimnazja wschodnich i północnych Niemiec. Mallenbrand był zdeklarowanym wrogiem piłki nożnej, wielu miało go za rygorystycznego katolika. U zsy i na wlochatęj piersi zawiesił sobie gwizdek trelowy: pojedynczy gwizd oznaczał, że piłka jest martwa; podwójny — że uceń Eduard Amsel został właśnie prawidłowo trafiony. Dość często odgwiżdwywał świece, które Walter Matern posyłał z myślą o swym przyjacielu: Spalony!

Lecz następna świeca idzie w górę jak należy. I druga też. Ale trzecia z kolei kiksuje: piłka, uderzona przechylonym bijakiem, zbacza znad boiska i z trzaskiem, obrywając liście, spada na przyległy las mieszany. Po gwizdku Mallenbranda — Piłka jest martwa! — Walter Matern pędzi do płotu, jest już po drugiej stronie, szuka we mchu i zaroślach na skraju lasu; i oto krzak leszczyny rzuca mu piłkę.

Chwyt i podniesienie wzroku: z rozwidlonych liści wyrasta głowa i górna część ciała mężczyzny. Mośiężny kolczyk w lewym uchu kołysz się, ponieważ mężczyzna śmieje się bezgłośnie. Ciemny błady smagły. Nie ma ani jednego zęba. Bidandengero to znaczy Bezzębny. Pod pachą ma popląkujące zawiniątko. Walter Matern, trzymając piłkę oburącz, tyłem wycofuje się z lasu. Nikomu, nawet Amselowi, nie opowie o tym bezgłośnym śmieszku zza krzaka. Już na jutro przed południem, tak samo po południu, Walter Matern umyślnie posłał skośną, skiksowaną świecę spadającą na liściasty las. Zanim jeszcze Mallenbrand zdążył zagwizdać, on pomknął przez boisko i płot. Ani krzaki, ani podszycie nie rzuciły mu piłki. Jedną znalazł po długim szukaniu w paprociach; drugą pewnie gdzieś zawlekły leśne mrówki.

(cdn)

WŁADYSŁAW KIRSTEIN

— współczesny Kolberg
Pomorza Gdańskiego

Kazimierz Ickiewicz

Władysław Kirstein jest jednym z niewielu zbieraczy, badaczy i popularyzatorów folkloru na Pomorzu Gdańskim. Jego zainteresowania muzyką i kulturą ludową Kaszub i Kociewia zaowocowały wieloma zbiorami pieśni pomorskich.

Pan Władysław urodził się 7 września 1901 roku w Starogardzie Gdańskim. W Skarszewach ukończył szkołę elementarną, a w Walczu rozpoczął naukę w Seminarium Nauczycielskim. Kiedy jednak Walcz na mocy postanowień traktatu wersalskiego znalazł się poza granicami odrodzonego państwa polskiego, W. Kirstein, szykanowany za zaangażowanie się w powstanie wielkopolskie, przeniósł się do Bydgoszczy, gdzie w 1921 roku uzyskał dyplom ukończenia seminarium. W tym samym roku rozpoczął pracę pedagogiczną. Był nauczycielem szkoły powszechnej w Pelplinie, kierownikiem szkoły w Nowej Cerkwi, a po ukończeniu rocznego Wyższego Kursu Nauczycielskiego w Krakowie (1924) został specjalistycznym nauczycielem w Szkole Wydziałowej w Starogardzie Gdańskim. Tam także pracował w Wieczorowej Szkole Doksztalczącej. W 1930 roku związał się na stałe z Gdynią, gdzie przez prawie 9 lat był instruktorem śpiewu na powiat morski oraz kierownikiem Ogniska Metodycznego Nauczycieli Śpiewu. Przez 3 lata pracował też w Gimnazjum Żeńskim w Gdyni i przez rok w Macierzy Szkolnej w Gdańsku. Należał do Związku Polaków w Gdańsku.

Lata okupacji spędził w Gdyni, pracował jako kreslarz i w szpitalnictwie. Po wyzwoleniu podjął pracę w charakterze instruktora gdyńskich nauczycieli szkół podstawowych, podnosząc jednocześnie swoje kwalifikacje na rocznym studium w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Sopocie. Następnie był instruktorem Wojewódzkiego Oddziału Związku Kół Śpiewaczych i Zespołów Instrumentalnych w Gdańsku, instruktorem zespołów muzycznych Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, organizatorem i dyrektorem Ogniska Muzycznego w Gdyni. Pracował też w charakterze nauczyciela muzyki w Młodzieżowym Domu Kultury, w Szkole Budowy Okrętów, w Technikum Chłodniczym i w Liceum Ogólnokształcącym w Gdyni. W 1961 roku, po 40 latach pracy zawodowej, przeszedł na emeryturę.

Władysław Kirstein poza pracą w szkolnictwie posiada bardzo bogato zapisaną kartę działalności społecznej. W latach 1925-1927 dyrygował znanym na Pomorzu starogardzkim chórem „Lutnia”. Nawiązał bliższy kontakt z Feliksem Nowowiejskim. W tym czasie zainteresował się kulturą ludową Kaszub i Kociewia. Zbierał i zapisywał ludowe śpiewki, powiastki i podania w dialekcie kociewskim. W 1927 roku zaczął prezentować w „Dzienniku Starogardzkim” małe formy literackie. W 1930 roku, już w Gdyni, zorganizował chór mieszany „Symfonia” i był jego dyrygentem przez dwa lata. Był też współzałożycielem Gdyńskiego Towarzystwa Muzycznego i dyrygentem chóru męskiego tej organizacji. W tym okresie zwrócił uwagę na ludową pieśń morską i przede wszystkim folklor kaszubski.

Władysław Kirstein skrzętnie gromadził materiały tekstowe i nutowe oraz wszystkie dostępne wydawnictwa muzyczne. Część zbiorów, ukryta, szczęśliwie przetrwała wojnę. Po wyzwoleniu uzupełnił zbiory



Fot. Leonard Szmaglik

i dziś liczą one około 10 tysięcy tekstów i nut pieśni ludowych Kaszub, Kociewia i Powiśla. Podjął też, przerwana wojną, pracę z chórami i zespołami. Zorganizował i objął kierownictwo artystyczne Regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca „Polcargu” w Gdyni, jako instruktor muzyczny Pomorskiego Związku Śpiewaczego współdziałał z Zespołem Pieśni i Tańca „Kaszuby” z Kartuz, z Lubomirem Szopińskim i zespołami regionalnymi w Kościerzynie. Zakładał Zespół Pieśni i Tańca „Kociewie” w Starogardzie Gdańskim. Pomagał ekipom Państwowego Instytutu Sztuki w zbieraniu i nagrywaniu ludowej muzyki.

Pan Władysław jest autorem kilku opracowań zbiorów pieśni. Wspólnie z Leonem Ropplem opracował bogaty zbiór „Pieśni z Kaszub” (1958), samodzielnie „Pieśni z Kociewia” (1970), „Kaszëbsczi koldë ë godowé spiwë” (1982), ale także „Kociewie — gawędy i wiersze” (1976). Opracował też pod względem muzycznym piosenki Szkoły Morskiej w Tczewie, które ukazały się w książce pod tym tytułem w 1980 i 1982 r. Ostatnio (w 1985 r.) wydał własnym sumptem „Pieśni o Gdyni”. Jeszcze wiele ciekawych pieśni ze zbiorów pana Władysława czeka na wydanie i spopularyzowanie.

Władysław Kirstein, jeden z najbardziej zasłużonych seniorów ruchu społeczno-kulturalnego na Pomorzu został za swoją działalność odznaczony i uhonorowany „Medalem 500-lecia Powrotu Gdańska i Pomorza do Polski”, „Medalem Towarzystwa Przyjaciół Gdańska”, Odznaką Honorową „Zasłużonym Ziemi Gdańskiej”, „Medalem im. Oskara Kolberga”, „Medalem Stolema”, „Statuetką Remusa”, „Medalem pamiątkowym Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej” i członkostwem honorowym tej organizacji oraz „Medalem Teodory i Izidora Gulgowskich”. Za swoją wieloletnią, pełną zaangażowania pracę zawodową i działalność społeczną bez wątpienia zasługującą na miano współczesnego Kolberga Pomorza Gdańskiego.

W 85 urodziny znakomitemu zbieraczowi i popularyzatorowi kultury duchowej Kaszub i Kociewia życzymy zdrowia i satysfakcji z dokonanego dzieła.

STATUS KASZUBSZCZYZNY ROZWAŻANY OD NOWA

Edward Breza

W miesiącach wakacyjnych r. 1986 wyszła książka pamiątkowa ku czci prof. Adama Heinza, profesora językoznawstwa ogólnego w Uniwersytecie Jagiellońskim i prezesa Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, dedykowana jubilatowi z okazji przypadających w listopadzie 1984 r. 70 urodzin. Profesor książki, zatytułowanej „Collectanea linguistica in honorem Adami Heinz”, a stanowiącej nr 53 Prac Komisji Językoznawstwa PAN w Krakowie, nie doczekał, gdyż zmarł w lipcu 1984 r.

Wśród 30 prac zamieszczonych w tej księdze (dalej prace dedykowane jubilatowi zamieszczone zostały w Biuletynie Polskiego Towarzystwa Językoznawczego t. 40) i pisanych w języku angielskim, łacińskim i polskim znalazł się też artykuł doc. dra hab. Alfreda F. Majewicza z Zakładu Językoznawstwa Ogólnego Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu zatytułowany „A New Kashubian Dictionary and the Problem of the Linguistic Status of Kashubian (an Insight from Outside the Field)” — s. 95—99, tj. Nowy słownik kaszubski i problem statusu językowego kaszubszczyzny. Autor więc przy okazji wydania przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w r. 1982 „Słownika kaszëbsko-polskiego” i „Słownika polsko-kaszubskiego” A. Labudy rozważa na nowo problem czy kaszubszczyzna to osobny język, czy dialekt języka polskiego. Dalszym motywem zajęcia się problemem jest artykuł J. Trepczyka „Kaszëbizna”, drukowany w „Pomeranii” r. 1980, nr 11—12, s. 27—30 i wyważona odpowiedź na ten głos prof. H. Popowskiej-Taborskiej, stanowisko Zakładu Języka Polskiego UG, odpowiedź J. Trepczyka i głos L. Bądkowskiego (wszystko drukowane w „Pomeranii” r. 1981, nr 4, s. 28—31).

Doc. Majewicz stwierdza, że Słownik Labudy jest siódmym słownikiem określonym jako kaszubski (ma na myśli zatem słowniki G. Pobłockiego, L. Biskupskiego (A. Berki), S. Ramuła, ks. B. Sychty, F. Lorentza i F. Hinze, A. Labudy „Słowniczek kaszubski” z r. 1960 lub też materiały słownikowe F. Ceynowy), ale pierwszym, który ma odwróconą kolejność wyrazów polsko-kaszubską. Chwali też Słownik Labudy za to, że przeznaczony jest do „normalnego” użytku bez obciążeń fonetycznych, dokumentacji cytatami, całego sztafażu naukowego.

Problem czy kaszubszczyzna to osobny język, czy dialekt języka polskiego został zdaniem autora w jego artykule tylko zasygnalizowany. Szerzej zostanie on uwzględniony w przygotowanej pracy książkowej na temat klasyfikacji języków.

Zdaniem Majewicza sygnalizowany problem jest nie do rozstrzygnięcia li tylko z językoznawczego punktu widzenia, a więc ilości słów czy struktur składniowych wspólnych dla kilku etnolektów (autor rozumie przez ten termin, wydaje mi się, język czy dialekt jakiegoś narodu czy grupy etnicznej w odróżnieniu od języków sztucznie stworzonych, jak np. esperanto). Dziś według Majewicza w wyodrębnianiu nowych języków bierze się przede wszystkim pod uwagę niemożność porozumienia się daną mową między różnymi grupami czy zespołami ludzkimi.

Autor rozważa zatem czynniki pozajęzykowe w zakwalifikowaniu kaszubszczyzny do osobnego języka polskiego. Rozpatruje przeto tradycje piśmiennictwa kaszubskiego od r. 1402 (tzw. „Dutki brzeskie”), bądź ostatecznie od r. 1643 („Mały katechizm” M. Pontanusa), poprzez wybitne utwory H. Derdowskiego i A. Majkowskiego, będące dumą Kaszubów, do współczesnych pisarzy, których w ujęciu F. Neureitera („Historia literatury kaszubskiej”) jest znaczna ilość. Jest zatem literatura, choć brak jeszcze przekładu Biblii. (Można poinformować autora, że E. Gołąbek przygotowuje wersję kaszubską Pisma św. na podstawie polskiego tłumaczenia ks. E. Dąbrowskiego z łacińskiej Wulgaty). Są skodyfikowane „Zasady pisowni kaszubskiej”. Dokonano (przypomnijmy, że jest to owoc pracy L. Bądkowskiego) tłumaczenia na język ogólnopolski „Żecó i przigód Remusa” A. Majkowskiego. Pisarze tworzą udane neologizmy: J. Trepczyk, A. Labuda, S. Fikus.

Doc. Majewicz konkluduje, że można twierdzić, iż kaszubszczyzna to dialekt języka polskiego, ale nie można tego twierdzenia udowodnić. Natomiast twierdzenie, że kaszubszczyzna to osobny język, jest o wiele pewniejsze. Tak postępują uczeni radzieccy. (Dodam od siebie, że w radzieckim bibliotekoznawstwie i księgoznawstwie oraz w bibliografii kaszubszczyzna traktowana jest jako osobny język).

Na marginesie tych rozważań doc. Majewicza można wyrazić takie uwagi:

1) Rozstrząsanie czy kaszubszczyzna to osobny język, czy dialekt języka polskiego, jest kwestią naukową (praca dedykowana wybitnemu znawcy zagadnień ogólnojęzykoznawczych przez innego językoznawcę ogólnego). W nauce ostateczny wniosek założyć będzie od przyjętych kryteriów klasyfikacji i opisu języków. Ta kwestia naukowa nie może rzutować na wnioski praktyczne, a tym bardziej polityczne. Kaszubszczyzna pozostanie zawsze tym czym jest: mową zwartej grupy etnicznej, która przywiązana jest do tej właśnie mowy i tradycji oraz do kultury ogólnopolskiej. Gdy zaś o aspekt historyczny chodzi, to kaszubszczyzna z polszczyzną ogólną przechodziła te same procesy rozwojowe i była zawsze świadectwem żywiołu polskiego nad Bałtykiem.

2) Tłumaczenie utworów kaszubskich na polszczyznę literacką (czy to tłumaczenie Remusa, czy wydanie np. w obu wersjach, kaszubskiej i ogólnopolskiej, bajek i baśni przez J. Sampa „Zaklęta stęgna” wyd. ZK-P w r. 1986) miało zawsze na celu przybliżenie czytelnikowi nie znającemu kaszubskiego — piśmiennictwa i kultury regionalnej Pomorza.

3) Moim zdaniem raczej językowe, jeśli stanąć na gruncie strukturalizmu językowego, pozwoliłyby określić kaszubszczyznę, jak każdy inny dialekt, jako osobny język. Datem temu wyraz w rozmowie z red. E. Szczesiakiem (por. „Pomerania” r. 1983, nr 6, s. 1—7) i na spotkaniu w Gdańsku w dn. 17 III 1986 (zob. „Pomerania” r. 1986, nr 7, s. 4—5).

4) Na koniec przypomnieć trzeba (doc. Majewicz nie przytacza poglądów dotychczasowych na omawiany problem), że za osobny język uznał kaszubszczyznę S. Ramułt we wstępie do „Słownika pomorskiego, czyli kaszubskiego”, wydanego w Krakowie w r. 1893². Polemikę z tym poglądem podjęli J. Baudouin de Courtenay i inni, a potem też, że kaszubszczyzna to dialekt języka polskiego i ogniwo pośrednie między polszczyzną kontynentalną a wymiarą połabszczyzną, udowodnili K. Nitsch, Z. Stieber i jego szkoła. ■

¹ Dodam, że w tej kwestii podpisany i J. Treder wysłali list do redakcji „Pomeranii”, przyjęty do druku; jednak numer z tym materiałem nie ukazał się w związku z wprowadzonym dn. 13 XII 1981 r. stanem wojennym.

² A propos: apelować trzeba do dr H. Horodyskiej, by podeszła się z przygotowaniem cz. II tej pracy do druku, o czym tak entuzjastycznie pisała w „Pomeranii” r. 1984, nr 7, s. 15—17. Część ta Słownika Ramułta znana była P. Grzegorzcykowi, Index lexicorum Polonae. Bibliografia słowników polskich, Warszawa 1967. Zwrócił na nią też uwagę Z. Brocki w recenzji pracy Grzegorzcyka, zamieszczonej w Roczniku Gdańskim t. 26, 1967, s. 344.

„Alfabet kaszubski” — film o trwaniu

Kaszuby mają szczęście do filmowców dokumentalistów. Ile to już oglądaliśmy na dużym i małym ekranie obrazów, ukazujących w sposób niebanalny tę północną krainę, wydobywających jej oryginalny koloryt, złożone dzieje, rejestrujących obecny stan ducha mieszkanców. Dociekliwość, wrażliwość na krajobraz i losy ludzi zaowocowały niejednym, łączącym szacunek dla faktów z walorami artystycznymi, filmem dokumentalnym.

Te zalety ma również „Alfabet kaszubski” Zofii Oldak. Niektórzy nasi czytelnicy być może pamiętają list-apel drukowany w „Pomeranii”, w którym zwracała się do osób mogących coś dodać na temat roli abecadła kaszubskiego w podtrzymywaniu rodzimej mowy i świadomości narodowej w czasach zaboru. I oto film jest gotowy. Powstał w Studium Miniatur Filmowych w Warszawie, ale nie jest bynajmniej tak zwięzły, jak może to sugerować nazwa wytwórni. Niemal półgodzinny, przedstawia walkę Kaszubów o przetrwanie. Taka rekomendacja nie brzmi zbyt zachęcająco. Temat, wydawałoby się, został już wyeksploatowany. Tym bardziej, że autorka — nie rezygnując z szerszego tła — skupiła się na Ziemi Bytowskiej, a tyle napisano o Styp-Rekowskich z Płotowa, Szroederach z Kłęczna, głównych bohaterach i tej opowieści filmowej. A jednak Zofii Oldak udało się stworzyć dzieło, które nawet ktoś znający losy tej ziemi i najbardziej zasłużonych rodzin obejrzy z zainteresowaniem. Decyduje o tym sposób ujęcia tematu, obrazowania (doskonałe zdjęcia wykonał operator Jan Laskowski), a zwłaszcza ogólne przesłanie. Rzecz o trwaniu — tak można by je skrótkowo określić. Trwaniu wbrew przeciwnościom, o upartym pozostawianiu sobą, jednostek i całych społeczności. Trwaniu, które nie oznacza zasklepienia, nie wyklucza otwartości, ale jednocześnie jest możliwe tylko wówczas, gdy nieustępliwie ob staje się przy własnym dziedzictwie, szanuje i docenia tradycję, to co w niej zasługuje na przeniesienie w przyszłość. Film pokazuje co sprzyjało trwaniu w szczególnie niesprzyjających warunkach (Ziemia Bytowska, uzmysławia autorka, do 1945 roku tylko przez dwadzieścia lat znaj-

dowała się w bezpośrednim władaniu polskim, a było to za króla Władysława IV). Co kształtowało świadomość narodową? Dom rodzinny, kościół, związki z szerszym terytorium kaszubskim, z którego nadchodziły wydawnictwa, gazety; kształtowały przykłady osób szczególnie nieugiętych, budzicieli ducha w rodzaju Antoniego Abrahama czy własnych, ofiarnych działaczy bytowskich. Film ukazując to wszystko akcentuje rolę mowy i wiary. Mowy kaszubskiej i kaszubskości w ogóle, jako drogi prowadzącej na szerszy trakt — polskości. Symbolicznego charakteru nabiera ów tytułowy alfabet kaszubski (nazywany również „nutami kaszubskimi”, gdyż nie odczytuje się go, ale wyśpiewuje), przewijający się w tle przez cały czas (wykonują go dzieci z zespołu z Kłęczna). Zaletą filmu są interesujące sposoby przedstawiające ważne kwestie w sposób niewerbalny. Znakomicie udało się puenta. Te same nazwiska, które figurują w XVIII-wiecznym dokumencie i na obelisku poświęconym ofiarom I wojny światowej, odczytuje nauczycielka w klasie. Wstają uczniowie i odpowiadają: jestem! Bardzo to dobitne, a zarazem niestereotypowe podkreślenie tego trwania —

zuje złożone losy pogranicza w sposób ciekawy i rzetelny, z zaakcentowaniem, że — jesteśmy (Jerzy Kiedrowski); nie jest to cepe-lia, film się ogląda i nie nudzi (Jerzy Martyś, dyrektor OPRF). Zabierali też głos występujący w filmie: Władysława Knosala (z domu Styp-Rekowska), Stanisław Szroeder z Kłęczna i Stanisław Cygiert z Pucka, zgodnie wyrażając uznanie twórczyni „Alfabetu kaszubskiego”.

— Nie jestem stąd, pochodzę ze środkowej Polski. Staralam się, żeby film był autentyczny, żeby ukazać, czym się tutaj żyło i co Kaszubi czują i myślą. Dlaczego ten film zrobiłam? Kaszubi mi imponują. To nie jest czczy komplement. Imponują mi swoim charakterem. Charakter to cecha zanikająca. To wierność swoim zasadom — wbrew przeciwnościom. Wiadomo, że bez tradycji naród umiera. Kaszubi, żeby zachować wierność tradycji, językowi, religii musieli walczyć, nieustannie zmagać się z przeciwnościami. To ukształtowało ich charakter. I jeśli udało mi się chociaż częstkę tego pokazać — osiągnęłam cel — wyjaśniła powody wyboru takiego tematu Zofia Oldak.

Film był pomyślany jako godzinny. W trakcie realizacji obcięto



Kadr z filmu „Alfabet kaszubski”
Fot. Jan Laskowski

po dzień dzisiejszy. Nauka alfabetu kaszubskiego odbywa się nadal — teraz dla ocalenia kaszubskości.

Premiera filmu miała miejsce 15 października w gdańskim kinie „Helikon” (pokaz zorganizowało Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów), z udziałem Zofii Oldak. Po projekcji odbyła się dyskusja, podczas której zwracano uwagę, że film jest uczciwy, może budzić niedosyt, ale nie stanowi monografii, w sposób dyskretny, ale zarazem wyrazisty podkreśla wartość elementów mowy i wiary dla trwania i ciągłości tradycji, urzeka pięknym, nostalgicznym pejzażem (Edmund Puzdrowski); poka-

fundusze, groziło, że powstanie piętnastominutowy. Po zapoznaniu się z materiałem dyrekcja wytwórni, sprzyjająca od początku tematowi, zdobyła fundusze na film półgodzinny. Z wielu sekwencji trzeba było zrezygnować, ale i w tym wymiarze czasowym udało się zrealizować zamysł, a film ma poza tym tę zaletę, że można go wyświetlać jako dodatek, co zwiększa szanse obejrzenia przez większą ilość widzów.

— Film jest nietypowy dla naszej wytwórni — powiedział po projekcji przedstawiciel Studia Miniatur Filmowych w Warszawie, Władysław Matuszewski. — Specjalizujemy się w filmach animo-

wanych dla dzieci. Dokumentalne powstają u nas w zasadzie wyjątkowo. Studio podjęło się realizacji tego filmu ze względu na ciekawy scenariusz. Zapowiadał niestereotypowy film na temat Kaszub.

Film otrzymał podczas kolaudacji ocenę celującą. Niestety, do rozpowszechniania został skierowany przez Naczelny Zarząd Kinematografii jedynie na terenie Pomorza. Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego wystąpił o zmianę tej decyzji. Takie filmy jak „Alfabet kaszubski” mogłyby przyczynić się do wzbogacenia wiedzy o Kaszubach, regionie, który dla wielu w kraju stanowi ziemię nieznaną lub znaną z uproszczonych przekazów. Czy wiedzę taką mają budować jedynie ignorancie urojeń w rodzaju tych, zawartych w „serialu” opublikowanym niedawno w centralnym tygodniku o zobowiązującej nazwie? (Sz)

DARY

Do wydania tego numeru przyczynili się swoimi darami: Jan Warmbier z Gdańska — 200 zł; Oddział Zrzeszenia z Szemuda — 6.000 zł; Aleksander Trzebiatowski z Gdyni — 1.000 zł; Irena Dzielicka z Gdańska — 500 zł; Danuta i Jerzy Trawiccy z Żukowa — 800 zł; Oddział Zrzeszenia z Chojnic — 30.000 zł; Oddział Zrzeszenia z Gdańska — 100.000 zł; Mirosław Begger-Pomorski z Gdańska — 350 zł; Romuald Łukowicz z Pucka — 1.000 zł; Hanna Popowska-Taborska z Warszawy — 1.000 zł; Barbara Małz z Rumi — 1.000 zł; Irena Karczewska z Torunia — 1.000 zł; Andrzej Jakubiak z Gdańska — 1.000 zł; Monika Kołodziej z Brus — 1.000 zł; Jadwiga Gadzała z Brus — 540 zł; Alfons Klejna z Gdańska — 392 zł; Edmund Kukliński z Gdyni — 300 zł; Danuta Winiecka z Jasienia — 1.005 zł; Ludwik Bach z Rumi — 200 zł; Kuria Biskupia z Gdańska — 540 zł; uczestnicy Zjazdu Uczniów Antoniego Skwierawskiego z Karsina — 14.160 zł; Z. i B. Elwartowie z Wejherowa — 500 zł.

Natomiast Tadeusz Lipski z Wiela, Jerzy Treder z Wejherowa, Anna Łajming ze Słupska, Tadeusz Oracki z Gdańska, Aleksander Majewski z Gdyni i Mirosław Fudziński z Gdańska zrezygnowali z honorariów, zmniejszając tym wydatki „Pomeranii” o 8.700 zł.

Jednocześnie wpływy ze sprzedaży darów twórców ludowych wzrosły do kwoty 82.870 zł.

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy. Dary można wpłacać na konto PKO I O/M Gdańsk nr 19510-5890-132.

GDAŃSKI DYKCJONARZ (3)

O partaczach, papierniach i czarnych krzyżach

Jerzy Samp

ELBLĄSKA — należy do tych pechowych traktów staromiejskich, którym za sprawą urzędniczej niewiedzy, zwyczajnej niefrasobliwości czy też może pogardy dla tradycji, odebrano po ostatniej wojnie ich pierwotną nazwę historyczną. Brzmiała ona kiedyś „Długie Ogrody” i oznaczała — jak nietrudno się domyślić — coś więcej niż ulicę. Od pewnego okresu, o czym nieco dalej, była to niejako część obszaru Dolnego Miasta, a zatem nazwa Długie Ogrody obejmowała jakby całą dzielnicę grodu nad Motławą. Zapewne tereny te zasiedlone były już w okresie panowania Krzyżaków, skoro w dokumentach z 2 poł. XIV wieku mowa jest o mieszkańcach z rejonu tzw. Nowej Motławy.

Pod koniec owego stulecia powszechnie już używa się w pismach łacińskich określenia „ogród”. Interesujący nas trakt zwie się tam bowiem „horti sicut itur versus insulam”, co należy tłumaczyć jako „ogród na drodze ku Żuławom”. Istniała jeszcze wówczas wprawdzie potoczna nazwa „świńskie łaki”, ale gdańszczanie zrezygnowali z niej dość szybko, choć przecież formalnie tereny te pozostawały poza obszarem Dolnego Miasta aż do XVII stulecia.

Zanim jeszcze Długie Ogrody znalazły się w obrębie fortyfikacji miejskich (wcześniej chronił je wał przeciwpowodziowy), ściągali tu drobni rzemieślnicy reprezentujący kilka typowych dla stoczniowo-portowego miasta profesji. Dominowali wśród nich przede wszystkim powroźnicy. Dziś upamiętnia ich w Gdańsku nazwa jednej z uliczek. Na użytek budowniczych floty morskiej i rzecznej oraz samych żeglarzy skracali z lnu i konopi solidne liny okrętowe. Tu również stosunkowo bezpiecznie czuli się, trzysta i więcej lat temu, tzw. „partacze”. Choć nazwa ta ma w dzisiejszym odczuciu zabarwienie pejoratywne, nie znaczyła

ona bynajmniej, że byli to ludzie produkujący buble. Po prostu nielegalnie uprawiali rzemiosło, to zaś nie mogło podobać się władzom cechowym, które ścigały partaczę. Skąd my to znamy?

Przez setki lat handlarze, rzemieślnicy, no i partacze mieli przy Długich Ogródach doskonałe możliwości zbytu swoich towarów. Aż do wieku XIX w każdą środę i sobotę czynne było tu wielkie targowisko. Całkiem przypadkowo, po długiej przerwie ten rodzaj tradycji handlu gdańskiego ma obecnie swą kontynuację dzięki wybudowanej niedawno w rejonie nieistniejącego już dworca wąskotorówki wielkiej hali targowej.

Ciągające się na wschód poza Bramą Żuławską (dzieło Jana Strakowskiego z r. 1628) Długie Ogrody miały już w XVI wieku swą odrębną nazwę. Pierwotnie brzmiała ona ze słowiańska „Knipawa” (niem. „Kneipab”). Niestety, i tę po wojnie niefortunnie przechrzczono na „Rudno”.

I wreszcie miejsce szczególnie ważne w tym rejonie średniowiecznego Gdańska — założony już w roku 1387 szpitalik, do którego prócz podróźnych przywożono przede wszystkim cierpiących flisaków. Była przy nim najpierw kaplica pod wezwaniem św. Barbary — ich patronki. W latach 30-tych XV wieku wzniesiono na jej miejscu halową świątynię i planowano nawet powołać przy niej do życia żeński klasztor. W bezpośrednim związku z nazwą kościoła pozostawały historyczne nazwy obecnej ulicy Elbląskiej, którą określano w przeszłości także jako „versus sanctam Barbaram”, lub też „over de Koggenbrücke by St. Barbara”. Powszechnie zaczęto używać nazwy Długie Ogrody od roku 1567.

Po ostatniej wojnie ulicę znacznie poszerzono, m.in. kosztem jednej z naw kościoła św. Barbary. Odrestaurowaną świątynię zdobią dziś wielkie współczesne witraże wykonane z brył kolorowego szkła osadzonego w betonową koronkę. Poza kościołem i wspomnianą już Bramą Żuławską niewiele tu śladów przeszłości. Kilka zaledwie wąziutkich kamieniczek i okoliczny kompleks koszar pruskich przypominają, że nie wszystko jest dziełem powojennych budowniczych. Nieliczni tylko „wtajemniczeni” odnajdą miejsce, jednego w całym dawnym Gdańsku, wielkiego założenia pałacowego. Obiekt był dziełem włoskiego architekta i własnością Jerzego Wandalina Mniszcha, który zakupił tę posiadłość od pułkownika Mikołaja Wojciecha Weihera (1701). W latach 1751—1760 powstał właśnie ów okazały pałac, zamieniony potem na siedzibę administracji pruskiej.

Po wkroczeniu do miasta wojsk napoleońskich urządzono tu komendę miasta. Mieszkał w niej w roku 1810, jako gość francuskiego gubernatora Jana Rappa, ówczesny minister wojny Księstwa Warszawskiego — książę Józef Poniatowski. Zwiedzający tę

część miasta Stanisław Tarnowski pisał w osiemnastu latach minionego stulecia, iż wszystko tu w rejonie Długich Ogrodów nazywa się „lang” dlatego, że nic naprawdę nie jest tu długie. „Langgarten nie jest ani długim ani ogrodem, jest ulicą szerszą i nowszą od innych”.

Wielki uczony z zachwytem pisze o barokowym pałacu Mniszcha: „bardzo ładnym, postawionym między dziedzińcem a ogrodem, zbudowanym w skrzydła, bez piętra, mającym w oknach i ozdobach wyraźną cechę końca XVII wieku”. Pragnął wierzyć, że to tu właśnie ukrywał się przed ucieczką z Polski nieśczęśliwy król — Stanisław Leszczyński. Tarnowski mylił się niestety, i nawet przez myśl mu nie przeszło, iż minie zaledwie ćwierć wieku, a cały ten wytworny pałac zostanie rozebrany. Stało się to w roku 1905. Jedyną bodaj pamiątką po tamtej budowli jest dziś w Gdańsku kamienne Putto (dzieło Jana Henryka Meissnera). Można je oglądać na dziedzińcu Muzeum Narodowego.

GARNCARSKA — Jest tak jak niegdyś przedłużeniem ulicy Elżbietańskiej, nic więc dziwnego, że w starych XV-wiecznych księgach miejskich figuruje jeszcze jako ta druga. Najpierw była o niej mowa w kontekście granicy przebiegającej między parafiami Sw. Katarzyny i Sw. Bartłomieja. Dopóki istniała w tym rejonie miasta Brama Sw. Elżbiety, trakt ten odgrywał doniosłą rolę w komunikacji gdańskiej. Było tak jeszcze do końca XIV stulecia. Dopiero nowy układ fortyfikacji miejskich oraz zburzenie wspomnianej bramy zdecydowanie obniżyły rangę owego ciągu ulicznego.

Podobnie, jak to było w przypadku Długich Ogrodów, również i ta część miasta miała w średniowieczu charakter wyraźnie rzemieślniczy. Świadczy o tym już sama jej nazwa, która to w dokumentach powtarzała się będzie od wieku XVI. Ponoć garncarstwo oficjalnie i urzędowo uznane zostało w Gdańsku za fach w roku 1526, a że właśnie tu skupiło się najwięcej warsztatów ceramicznych, przeto zwyczajowa nazwa ulicy utrzymała się szybko i przetrwała do dziś.

Czterysta lat temu przepływała tędy wartka struga będąca prawdziwym dobrodziejstwem dla przedstawicieli innej gałęzi rzemiosła. Niestety, tego zawodu nie upamiętnia w Gdańsku żadna z nazw ulic. Wyrabiano tu bowiem doskonały papier, z którego produkcji miasto słynęło w odległej przeszłości. Jeśli komuś trafi w ręce replika znaku wodnego, na której widnieją dwa krzyże (bez korony) — niech pamięta, że chodzi o znak papieru czerpanego tu właśnie, i to przed rokiem 1457. To samo dotyczy nieco późniejszych filigranów z wpisaną w koło rybą oraz inicjałami C.G. — a więc Civitas Gedanensis.

Dziś przy Garncarskiej, biegnącej od Targu Drzewnego aż do mostu na Raduni, przy którym wznosi się słynne dzieło Wilhelma van den Blocka — Dom Opatów Pelplińskich, nikt nie produkuje już ani garnków ani papieru. Jedyny zaś przy tej niezbyt ruchliwej uliczce sklep papirniczy nie często zaspokaja zapotrzebowanie gdańszczyzan nawet na ów najpopularniejszy używany gatunek prymitywnego papieru.

GNILNA — Dziś biegnie od ul. Rajskiej ku Łagiewnikom, a jej przedłużeniem jest Aksamitna. Na planach miasta z 2 poł. XVIII w. dochodziła aż do nieistniejącego dziś Targu Kaszubskiego i była to wówczas ulica „Faul Graben”, co w swobodnym tłumaczeniu należałoby odczytywać jako „rów zgnilizny”, lub „zgniła fosa”. Skąd ta nazwa? — a no stąd, że istotnie wzdłuż tej ulicy przebiegała w wieku XVI fosa, wydzielająca zapewne niezbyt miłą woń, skoro prowadzone tu nie tak dawno, bo w roku 1965 prace archeologiczne odsłoniły jeszcze warstwę czarnej, bagnistej ziemi na dnie wykopów.

Jak wiadomo, Krzyżacy doprowadzili w roku 1380 do powstania w tym rejonie nowego organizmu miejskiego, konkurencyjnego wobec starego Gdańska. Właśnie ciąg ulicy Gnilnej miał stanowić wówczas południowo-wschodnią granicę Młodego lub też Nowego Miasta. Wykopano tu więc fosę, a może po prostu szeroki rów oddzielający obie części miasta, ten zaś wkrótce stał się zbiornikiem wszelkich nieczystości. Teren był zresztą dość grząski i długo trzeba było

jeszcze czekać, nim gnijący rów stał się przestrzenną ulicą.

Resztki starej fosy znać tu było jeszcze w roku 1880. Były też kłopoty z nazwaniem ulicy, bo oto na przełomie XVI—XVII wieku do jednej z jej stron przylgnęła nazwa „Czarne Krzyże”. Zapewne wzięła się stąd, że w bliskim sąsiedztwie istniał cmentarz Sw. Bartłomieja, na którym przybywało z roku na rok owych czarnych krzyży nagrobnych. Szczególnie „urodzajne” były lata wielkich epidemii i wojen, które dziesiątkowały miejscową ludność powodując, że las krzyży na gdańskich cmentarzach gęśniał gwałtownie.

Obecnie Gnilna jest, dzięki obecności tu Akademii Muzycznej, jedną z najbardziej muzycznych ulic w mieście. Bywa, że z okien uczelni dochodzą przechodniów powtarzane bezlitośnie przez przyszłych śpiewaków frazy przemieszane z dźwiękami perkusji, puzonu i kilkunastu jeszcze innych instrumentów muzycznych. Jednym z gdańskich paradoksów jest i to, że jeszcze w późnych latach sześćdziesiątych ojcowie miasta i urbaniści obiecali zlokalizować w rejonie ulicy Gnilnej gmach przyszłej opery. Gdy plany nie powiodły się, zaczęto mówić o wielkim domu kultury stoczniowa, a gdy i to zawiodło, chciano tu wybudować główne centrum handlowe Gdańska. Lepiej zapomnieć... (cdn.)

WIELEWSKIE DZWONY



Reprodukujemy pocztówkę przedstawiającą pożegnanie dzwonów we Wielu 24 września 1917 roku. Zabrali je Prusacy. Na zdjęciu na pierwszym planie, za dzwonami załadowanymi na wóz, stoją: sołtys Józef Przytarski i proboszcz parafii ksiądz Józef Szydlik — inicjator w 1915 roku i pierwszy budowniczy kalwarii wielewskiej poświęconej w 1916 roku. W ostatnim rządzie pierwszy z lewej organista Franciszek Rzoska, z prawej wikary parafii ksiądz Bolesław Jaranowski. Część ówczesnych dzieci ze zdjęcia żyje we Wielu, część rozjechała się po świecie, wiele zmarło.

Kolejny raz nowe już dzwony wielewskie zamilkły zabrane z wieży przez hitlerowców; jeden z nich szczęśliwie uratowany wrócił do parafii. Gra do dziś.

E.M.



Na zimę przyszli, na śniegi

Waldemar Borzestowski

Wicher pędził tumany białego puchu na wzgórze, gdzie równy szereg poskręcanych, karłowatych wierzb wskazywał kierunek drogi, która jeszcze przedwczo-
raj wila się wąską wstęgą ku morskiej zatoce, teraz zaś zniknęła zupełnie pod wszystko otulającym ko-
biercem. Kopy śniegu, wysokie na człowieka, zale-
gały południowy stok, schodząc coraz niżej ku
miejscu, gdzie pod lodem szumiła struga, gdzie wios-
ną jar był głęboki, a w nim ptactwa różnorakiego
mnóstwo. W taką pogodę, w mrozie srogim i kąśli-
wym wędrowało dwoje ludzi okutanych w kożuchy
stare i czapki, kobieta i mężczyzna. Utrudzeni nie-
zmierznie pieli się, noga za nogą, po kolana w pu-
zystej bieli, na wierzbową górkę. Wycie wichru za-
gluszało słowa szepanej ustami kobiety modlitwy,
śnieżyca bodła struchlałe ramiona nagich drzew, strą-
cając z gałęzi lotne pierze wprost na głowy idących.
Noc wczesna, zimowa, rzezała pierwsze gwiazdy u
szczytu nieba, zapłonął księżyc i twarzą obleczoną
strapieniem wejrzał czujny na grzęznących w go-
łym nieomal polu ludzi. Pożerały go chmury z tęte-
nem tabunu koni przebiegające bezkresną przestrzeń,
jego blask, słabnący z chwili na chwilę, omiatał zie-
mię, starając się dociec dokąd zmierzają samotni wę-
drowcy. Osaczeni w środku srebrzystej kurzawy, w
kleszczach ścinającego mrozu, niewiele szans mieli
na przetrwanie, chociaż do osady najbliższej wiodła
droga prosta i w miarę krótka. Wsparta na ramieniu
męża kobieta dyszała ciężko, ziało wdzierało się pod
futro, drętwiały stopy i dłonie, drętwiał brzuch, w
którym od dziewięciu miesięcy nosiła nowe życie.
Starodawna drapa jednajaca serca słuchaczy, w zi-
mowe wieczory przy płonącym ogniu śpiewana, ni
słowa nie mówi o pochodzeniu obojga, milczy wy-
mownie, ciekawskim domysły pozostawiając, dlaczego
w tak srogi czas wybrali się oni w daleką podróż ku
zagubionej rybackiej wiosce. Minęło godzin parę, za-
nim szczęśliwie ominąwszy wymoszczone szczytami,
głębokie niczym bagno zasypy w skalnych zagłębie-
niach, dotarła rodzina na stwardniały piasek przy-
morskiej plaży, skutą lodem płaszczyznę zatoki, skąd
obaczyć można było migocące w dali światła,
pierwsze ludzkie sadyby. Tłukący tym razem w ple-
cy wicher powiódł ich oślepiłych od zamieci wprost
w wyciągnięty w głąb łądu płot z trzech stron ot-
czający obszerną zagrodę. Mężczyzna otworzył wspa-
rta o polny kamień bramkę, podał kobiecie okuty u
szczytu długi kij, najwierniejszego towarzysza ich
tufaczki.

— Nie bądź mi krzywa, bogaty to dom, pewnie
i dla nas legowisko się jakoweś najdzie — rzekł na
odchodnym.

Skulony w budzie pies zawarczał groźnie widząc
nieznajomego w obejściu. Skoczył nań, lecz gruby
łańcuch w porę przykrócił jego zapędy. Mężczyzna
załomotał do drzwi, przetarł wilgotne czoło.

— Kto zacz i z czym przychodzi?! — krzyknął
ktoś z wewnątrz, głos jego był wzburzony.

— Nazywają mnie Bertrand, wraz z żoną szukam
ciepłego kąta na nocleg i odrobiny strawy. Przyby-
wam z daleka.

Drzwi uchyliły się żdziebko, faliste rude włosy
przyliżał nagły powiew, z okapu sypnęło mialkim
śniegiem. Dziobata twarz z chytymi oczkami zna-
lazła się naprzeciwko prawego oblicza wędrowca.

— Mienią cię Bertrand, powiadasz, a gdzie twa
kobieta? — spytał podejrzliwie gospodarz.

— Stoi przy płocie, czeka — wyjaśnił mężczyz-
na — niedługo będzie rodzić — dodał po chwili, nie
wiedzieć dlaczego.

— Będzie rodzić — powtórzył tamten, zerkając

przez ramię Bertranda we wskazanym kierunku,
podrapał się po gładko golonej brodzie. — Pewnie cię
do mnie cieśla przysłał, Ewald, co? Drań skończony.
Ty wiesz, co on o mnie rozpowiada?

Bertranda wcale to nie interesowało, nie wiedział
kim jest Ewald i co komu zawinił, próbował wejść
dziwnemu gospodarzowi w słowo, lecz ten, jakby go
w ogóle nie słyszał, dalej ciągnął swoje.

— Zwady szuka psi syn, na moje wychodzi. Adal-
bert — mówi — ojca i matkę na drugi świat wypra-
wił, także brata, a siostrę — tylko posłuchaj —
wydał za lichwiarskie ściervo z miasta, starszego od
niej o dwadzieścia przeszło lat łysolca. W przerebłu
takiego utopić, juchę wytoczyć z włochatej, szcu-
rzej piersi, żeby bluzgała mu w twarz, na tę par-
szywą mordę, co takie plotki roznosi. Przysłał cię
do mnie i mówił pewnie, że jestem bogaty, że naj-
dziesz tu godziwą gospodę, ławy futrem kryte,
wieprzki tłuste, pieczone na stole, a ty, łasy, przy-
laźleś do mnie, ot tak, że niby z drogi — wychry-
piał.

— Precz stąd, rojno was wszędzie, rozpleniło się
łazegostwo, tu mieszek wyciągnie, tam garść spyży.
Precz, bo pachółków przywołam — ryknął nagle,
drzwiami się przysionił. Piana szła mu z ust, ślepią
złym blaskiem gorzały. — Idź do Ewalda, to naprze-
ciwko. Idź do niego, on szczodry.

Odszedł mężczyzna, zadumany otulił żonę zdjętym
ze swoich barków kożuchem.

— Gwarny to kram i bogaty, ale kupiec nim rzą-
dzi nie nie warty. Nie szukać nam tu noclegu, In-
geborgo — powiedział zamykając furtę płota.

— Srożył się? Słyszałam — rzekła kobieta, lecz
Bertrand nie jej na to nie odpowiedział. Podparł ją
ramieniem i powiódł w stronę modrzewiowego do-
mu po drugiej stronie drogi. Zastukał do wrót koń-
cem kija. Otwarto.

— Czego po nocy ludzi ze snu budzisz? — szorstko
ozwał się zwałisty brodac, brudnym paluchem po-
dlubując w nosie. Język zamieci przedarł się przez
okap i chlasnął stojących po twarzach. Mróz szczy-
pał policzki, nie ustawał.

— Razem z żoną przybyłem do tej wioski. Szliśmy
przez cały dzień i jesteśmy srodze użojnieni. Kąta
ciepłego szukamy na noc, jedną noc. Rankiem wyru-
szamy w dalszą drogę — prosił Bertrand, błagalnie
wglądając w oczy bogatego cieśli.

— Długo szukacie? — spytał, krzywiąc się Ewald.

— Nie, byliśmy tylko u twego sąsiada, ale on od-
mówił nam, więc przyszliśmy do ciebie. Moja żona
jest brzemienna, rodzić niedługo będzie. Przyjmij
nas — mężczyzna nie ustawał w prośbach.

— A może wy zbiegi? Chmara ich uciekła zeszłej
wiosny od naszego dziedzica. Jakoś dziwnie mi wy-
glądacie, nie tutejsie — brodac potężne łapy wsparł
na bokach, coś zabulgotało mu w piersi i beknął. —
Nie mogę was ugościć — wybałał zaraz potem.

— Dlaczego? — płacząco jęknął Bertrand —
przecież człek z ciebie, nie zwierzę. Pomóż, za nie-
wolnika ci służył będę, do wiosny. Pomóż... — ły-
spłynęły mu z oczu. — Dziecko mi zemrze.

Ewald beknął raz jeszcze.

— Jenó zbieg, albo ktoś, kto ma sumienie nieczy-
ste, może się tak jak ty poniżać. Mniemasz, że bez
serca jestem, że zwierzę, a kto się niby z ciężarną
w mrozy wypuszcza. Miłować było dobrze, obłapiać,
a teraz pomóżcie, na lament bijesz, litości wyglą-
dasz, babo brodata — parsknął krótkim, nieprzyjem-
nym śmiechem, stąpnał w głąb izby i drzwi za sobą
zawarił. Szuranie ciżm zamilkło, gdy usiadł u komi-
na.

— Chodź — kobieta pociągnęła męża — drakkary

jemu budować, co czeredy zbrojnych wojów ku mor-
dom poprowadzą. Zły człowiek, zły służy.

Bertrand nisko schylił głowę, frasunek drażył mu
myśli i serce, gryzł oczy. Chodzili od domu do do-
mu, nikt ich nie przyjmował. U cypla lizanego za-
dymką sunącą po lodowej tafli zatoki, na skraju
osady wznosiło się skromne siedlisko, chata rybacka,
nisko kryta dachem, tam to przemieszkował Lambert
syn Godfrydowy. Ku niemu skierowali swe kroki
Bertrand i Ingeborga, dom Lamberta był ich ostatnią
nadzieją.

Przyzywające do wrót pukanie usłyszał rybak wa-
rząc zacierkową zupkę. Śpiesznie wsunął pod garniec
zamokłą cokolwiek dranicę, długimi krokami ruszył na
gości niespodziewanych spotkanie. Wysunął skobel i
wrota odemknął.

— Witam was, z czym przychodzicie w moje pro-
gi? — spytał wylaząc na zewnątrz, im naprzeciw.

Bertrand jakając się z zimna, że zbielała twarzą
zaczął jak przedtem, lecz skończyć nie skończył, bo
zaczny gospodarz przyjrawszy się wędrowcom bacz-
nie, do chaty ich wepchnął, kuśtykających, u ognia
usadził. Zmartwił się słysząc o ludzkiej niedoli, kła-
ki niedźwiedzie pod stopy im podłożył, bo od ziemi,
z klepiska runem leśnym moszczonemu, największy
ziab szedł i choroba wszelka. Oburącz zdjął z pale-
niska garniec, łyżki rozdzielili o nic nie pytając. Do-

piero po wieczery, gdy trupia bladeść lica zeszła i w
rumieńce się odmieniła, zagadnął swych gości, a oni
mu opowiedzieli, jak Adalbert, Ewald i wielu, wie-
lu innych od drzwi ich odprawiło. Bładał brodaty
Bertrand na ludzką podłość, osmalił sobie włosy
zbyt blisko ognia się przysuwając, włókł smutnym
spojrzeniem po izbie Lamberta chędożnej lecz ubo-
giej, od innych zaś piękniejszej. W połowie nocy roz-
warły się nieba i gwiazda mieniająca się barwą nie-
znaną, gładko, na saniach wprzęgniętych w reny,
pomknęła ku miejscu, gdzie rybacka wioska. Cud-
niały na pozór martwe przestrzenie, seciny mężów
skrzydlatych, jak ptacy w pierścien stanęły, dmąc w
złociste rogi. Zaczem głos dziecka ozwał się wśród
głuszy. Cna Ingeborga w chatynce na sianie syna
sławnego późniejszymi laty porodziła. Cieszyli się mę-
że, Bertrand i Lambert płakali, jak płaczą mę-
czyźni, co leż się swoich nie wstydzą i gdyby przy
sobie puchar wina mieli, piliby długo, radośni do
szaleństwa. Tameczni ludzie chwalą się po dziś
dzień, że u nich właśnie się dzieciątko narodziło,
chwalą się syny i wnuki, nie bacząc na pamięć
swych przodków, zacnych łajdaków.

Czas kończyć opowieść, żar pryska, grymasi, iskier-
ki padają krasne na podłogę. Bóg Szczodroblivy pa-
trzący z wysoka widzi, że prawdę tylko na pieczy
miałem, niewiele dodając, nic nie przemilczając. ■



Jan Trepczyk Na Godë

I

Dzôtczy rëszné,
Ruchna pëszné,
Widnô biôłô
Jizba mólô.
Daneczka jak kwiôtk sklëni,
Kôzdi smiejë sê do ni.
A dôrënczi pod nią leżą
I sê na ni kuglë wôżą.
Gwiôzdzka najô
Redosc całô!
Mie tak teszno
Je do waji!...

II

Na tã Gwiôzdkę, na tã Godë
Wiele miëtô ë zgodë!
Cwiardo stojec kol naj zgrów
I rodny pocëskac drów,
Naj Zrzeszeniëgo sê trzëmac,
I kaszëbiznë sê jëmac,
Ujednac sê, wespól jic,
Dargë swoję rozwidnic,
— Taczi selajë zëczenië
Nasze, Kaszëbszië Zrzeszenië.

III

Przëstojec so, wespól jic,
Stegnë bratów rozwidnic,
Naj budacji nie rozjëmac,
Le w ji cël sê gëbok wjëmac,
Serca otëmnac do zgodë,
To są zëczbë na tã Godë.
Bo le jedna danka je,
Co nas żdaje — ce i mie...

IV

Jak w kumku Jezusk przez przindzenië fisk
Dôł ledztwu zbawienië,
Tak w dejë rodny, w naj mowie snôzi
Le je obstojenië.

V

Stoji danka jak nen kwiôtk
I wkôł ni pinc rësznëch dzôtëk.
Spiëwają, ceszą sê ë smieją,
Choc za oknem wicherë wieją.
To je Gwiôzdzka. Wszëtë chcą
Wastë witac choranką.

VI

Biją zwônë ë brzëmia,
Do koscôłka wołają.
Dzys sê urodzël Jezusk —
Drëszstwa gwiôzdzë widzec fisk...

VII

Spiëwë rozdërgalë tónë,
Organów sê zaczë gra
A muzyka gdzes pod blônë
Do Boga jaż w niebo szła.
Jezusk przëszedł wëstrzód nas.
Mômë Gwiôzdzci snôzi czas.

VIII

Szëmi morze, szëmi bór.
Jidze spiëwa zeza gór.
Urodzël Jezusk së mali,
Zôrotny a tak spaniali.
I wëcygô rëczci swojé
I së wprôszo w serce twojé.
Przejim dzecko Go ze tczą
I së modlë kask ze mną!
Hew na dunie chëcz a z ni
Tam na Bôłce wid dërzi.
Rëbôk cygnie dodóm w bôce
Na wileją w Święti Nocë.
Bënë w chëcze zbożnô spiëwa,
Nënka mólëtëch uszëkowa.
Jezusk przëszedł. Tam mdze rôd,
Gdë kol kumka trôjno dzôtëk.

Tobie Zbôwca dżeka, tcza,
Tobie Jezë mielota!
Żegnôj wcyg naji ustrzechë,
Wej, jak Kaszëbskô Ce kochô!
Gorze, złosc ë nieubëtci
I przegrzechë nëkôj wszëtci!
Dôj ubëtëk ë zgodno žëc,
A rôz w niebie wespól bëc.

W VIII części wersy od „Hew na dunie...” do końca są autorstwa Stefana Bieszka.
Z tomu „Odeknienie”, Gdańsk 1977

IX

Pokrzesë serce, zanëkôj głôd
Swojégô gónu do odpojëcô!
Dzeczsko Nieba ubëtñëch Gôd
Dožëczi nama — w cemžë wëswiecy.
Niech danczi së pôlã
A serca së żôlã
W naj ubëtñë Godë —
Czãd brzątwië ë zgodë.

CZEKANIE NA KOŁĘDY

ostrosłupy choinek
wycelowane
prosto w niebo
pulchne od pëkatych bombek
oprószone
celulozowym nibyśniegiem
zamaskowane
srebrnymi anielskimi nibywłosami
czekają niecierpliwie na
pierwszą gwiazdkę
aby wybuchnął
kołędami



Stanisław
Sierko

ROZMOWA Z SYNEM

w sobolowym
futrze
pojutrze
reniferową sanna
poranna
przybędzie
i chwilkę
z nami pobędzie
prezenty wręczy
kołëdy zanuci
i do nieba
wróci

w komputerowej erze?
ależ tato
nie wierzę

NAJDROŻSZE MIEJSCE

potoczyło się
sześciokątnie
przepasane sutoczerwoną
kokardą
kartonowe pudełko
skrywające w sobie
jak w klatce piersiowej
serdeczne prezenty
potoczyło się
w najdroższe
ze wszystkich miejsc
moje miejsce
oświetlone jasnością
woskowych świeczek
osłonięte malachitowym
cieniem
iglastych gałązek
ogrzone ciepłem
kołëd dzieciństwa
potoczyło się
pod choinkę

NA CIENKIEJ NITCE

Na cienkiej nitce
zielonych półprawd
niewidocznej
w tle prawdziwej choinki
zawieszam
pękate
kruchą pozorną sytością
lśniące mitycznie
choinkowe bombki
i śpiewam
skoczne kołëdy
wśród nocnej ciszy
wśród dziennego hałasu
i widzę
w zwierciadle wypukłym
rozbawione dziecko
na kolanach ojca
i jestem
o krok
o pół kroku
o ćwierć kroku
od zerwania
cienkiej nitki
półprawd

Bóg się rodzi...

CZAS ROZGRYZANIA

Zima
czas rozgryzania
orzechów
pod familijną choinką
czas dzielenia się
nimi
czas dziadków
do orzechów
i babć
do pierogów
rozgryzanie
i zawijanie
kołëdowanie

Stanisław Janke

ROCZĘZNA

DRAMAT W TRZECH OBRÔZACH

OBRÔZ TRZECY

Kuchniô z jednym oknë i dwuma dwiërzama. Plôta, kuchniowô szafa, stół i dwie ławë. Na szafie stoi biôli zédzier. W nórce stoi skrzëniô. Wszëdze leżą niepomëti statczë. Nieporządk.

WITCZÈNÔ

Wchôdô pomału. Je widzec, że je zmęcônô.

Wëjachelë. Wszëtçë odjachelë... Marta chca ostac, ale po tim wszëtczim...

Za sztërk.

Ma so wiedno mogła wiele powiedzec, le w ostatnim czasie na gôdka sę nama nie skiôda. Cziédës ona jész mie rzekła, że tim so jiscy, że z tim tam so nie dôwô radë, pitała sę, jakbë to, abo totam zrobic. Terô ona wiele przede mną skriwô, nie chce mie wszëtczëgo rzec. Jô ju nie pamiętôm cziédë ona mie rzekła, jak tam ji jidze z Marke, jakuż dzecë sę chowia... Rôz mie sę sniło, że ona bëła môlim dzewczëcë i ma w taczë wietrzny i szari dzëń trzymającë sę za ręce jesmë przechodzëlë przez taką wiôlgą rzekę po taczim kolibiacim sę i strëpiałim mostku. I nen most w jedny chwile jãł sę zapôdac. Tej Marta mie sę wërwa i jëła nëkac na brzeg, a jô ostala stojąc. Po sztërk jô bëła na jednym brzegu, a ona na drëdzim. Jô woła za nią i prosëła zebë ona żdała, a ona le uceka, a tej jész tak dzywno sę smiała... Jo, to bëło brzëdzcizë snicë, terô to mie wiedno chodzy po głowie...

Sôdô na łôwkë przë stole.

Jak tu je cëcho. Tak cëcho i jakos pusto. Zebë tu terô Frëc bëł... Jenësku, co jô gôdôm?!... Muszë noprzôd pomóc ne statczë i përzënë uskrômnic. Witro je Trzech Królów, ko jô ni mogë tego tak ostawic... Jô pamiętôm jak w małoscë mëma na każdą niedzielë, na każdë święto wëmiwa podłogë... Nasza mëma bëła wiedno usmiônô, nawetka cziëj szorowa ne déle. Jô czasë sę w nocë obudzëła i jem zdrza przez rësënë w dwiërzach, jak ona jész gospodarzëła w kuchni... I tat k bëł dlô nas dobrë. Miôł taczë wiôldzi was i le go wiedno podkracywôł. Jô wiedno lubia sedzec mu na klinie i zdrzec, jak pocygô nę swoją pipë. On wierë nie wiedzôł, co to je gôrz. Wiedno bëł taczë spokojny i na wszëtko nalôżi radë... Jo, cziédës to zëcë miało taczë swój porządk, starkowie i w całoscë stôri lëdze bëłë w uwôżanim, a terô... Frëc gôdô, że ta ostatnô wojna wszëtko pomieszała, że taczë porządczi, jak przôdë ju nigdë nie przinôdą nazôd...

Witczëno zdrzi jak pomału otmikają sę dwiërze.

STARËSZKA

Je përzënë udziбіô, oblokłô w szotorë, w ręku trzimô bindelk. Obzërô sę po kuchni jakbë kogos szukała.

Je tu chto?

WITCZÈNÔ

Jo. A co wë jesse za jedna?

STARËSZKA

Aaa!... A jô jem so mëslała, że tu nikogo ni ma... Ale jô nie wiem, jak jô sę nazëwôm. Moje dzecë wiedzą, le one nie chcą mie rzec...

Lëkô sę.

A môże oni są tu skrëti? Môże tu za mną pilëją?

WITCZÈNÔ

Ni miëce strachu. Tu le jô jem... Jô zrobië wami harbatë. Jô widzë wë jesse przezëbiô.

Zaczinô szëkowac harbatë. Starëszka niesmiało sôdô na zbërkü łôwczë.

Chto to widzôł, zebë w taczë mrôz i tak o cëmku wanozëc! We bądzece chorô.

STARËSZKA

Mie to nic nie robi. Jô jem przënëconô do zëmë. Dzecë mie nijak nie kôzälë w piecku palëc.

WITCZÈNÔ

To jaż nie je do wiarë. Taczë lëche wë môce dzecë?! Cëż wa jima zrobiła, że one z wami tak wëstworzają?

Podôwô Starëszce sklônkë z harbatą.

STARËSZKA

Oni gwës brëkują tę jizbë, w jaczi jô sedzë. Jo. Ta jizba jima prawie feljë.

WITCZÈNÔ

Podsuwô Starëszce jëstku.

Në, terô so wëpijce harbatczë i môcë tu jész jëstku. Naczkôjce... Wë jesse wierë baro głôdnô?

STARËSZKA

Bóg zapłac... Bóg zapłac wiele razy...

Chutko zaczinô jesc i pic.

Oni mie to mogą wzyç. A môże oni ju zdrza przez rutë?

WITCZÈNÔ

Le so pomału spokojno jedzce. Tu nicht wami tego nie weznie... A gdzie wë jész chcece terô jic? Ko wë môzece u mie sę przespac.

STARËSZKA

Nië, nië. Tu oni bë mie moglë dostac. Jô jidë do moji sotrë, to jész je dzesëc kilometrów drodżi. Ko to nie je dalek. Tam oni mie nie dostôną... Jô wiëm, oni mie chcą dac do domu starców... Jo. Bizewskô tam szła i zarô umarła. Tam lëdze chutko umierają...

WITCZÈNÔ

Tak to choba zle nie je. I gwës lepi tam bë wierë bëło, jak wë terô môce doma...

STARËSZKA

Ale jô tam niehc jic. Jô chcë jic do sotrë. Ona mô wiedno ceplë piëcczi...

WITCZÈNÔ

To jô choc tej cos dôm wami do obleczeniô. Jaczi plôszcz. Mie sę wëdôwô, że jô tu cos dlô was bądë mia... Ko tak wë ni môzece jic...

Jidze do skrzëni i w ni przebiërô.

STARËSZKA

Wë jesse takô dobrô, ale tak czegos jô ni mogë od was przëjąc... Nie, to jô ni mogë...

WITCZÈNÔ

Ależ nick nie gadôjce. Tak jô ni mogë was wëpuszcëc. Jô bë ni muszała miec serca...

STARËSZKA

Po dludżim sztërkü obcerô gëbë.

Në, terô jô sę najadła za wszëtczë czase.

WITCZÈNÔ

Niese plôszcz.

Przëpasujce le to. Jô mëslë, że on bë miôł wôm pasowac.

STARĚSZKA

Po obleczeniu.

Ala na! Jō terō wēzdrzę jak jakōs pani... Bōg zapłac, wē jesce mie takō dobrō.

Kuszkō Witczēnā w rękę.

WITCZĚNŌ

Wēriwō rękę.

Ależ wē ni muszice tak robic! Dōjce so poku!

STARĚSZKA

Bierze swój bindelk.

Niech wami dobrze jidze. Jō muszę ucekac. Oni mie ni mogā zlapic. Jō jima sę nie dōm...

Smieje sę.

Jō jich zmilę...

Otmikō dwiērce.

WITCZĚNŌ

Z polētowanim.

Ach, mój Boże jo...

STARĚSZKA

Jesz w dwiērzach.

Jō jich zglēpie.

Smieje sę i odchodzy.

WITCZĚNŌ

Przez dlugszy sztērk krācy sę po kuchni. Dotikō statkōw, cos tam przesuwō.

Może jō sę terōska weznę za to pomiwaniē?

Po sztērku.

Co to je terō za dzywny dodōm. Jak jaczi poždōwk... Przechodzą, odchodzą, le jō tu ostōwōm sama. Czēsto sama...

Zaczinō podkrępiwac rękawē. Spiēwō kolędę.

Nad Betlejem, nad Betlejem jasnō gwiozdkā swięcēla.

A Marija jak lelija swēgo Synka powiła.

Powiła Go, powiła Go w maluszeńci

szopience.

Biōjta, biōjta Go obezdrzec, maleńciēgo

Jezuska!...

Buten je czēc zwonienię zwōnkōw. Witczēnō podchodzy do okna.

HERODOWIE

Z butna.

Ju pochwōlmēze, ju pochwōlmēze Krōla tego,

Dzys w Betlejem narodzonēgo,

I z Maryją, i z Maryją, matkā Jego,

Paniā dworu niebiesziēgo!

Jemu służy, Jemu służy słuńce, miesac,

We dnie, w nocē nie przēstajac.

I mē też, i mē też chwōlmēze Jego

Tego Krōla niebiesziēgo!

Dwiērce sę otmikają i trzeji Herodowie wchōdają w jizbę. Dali spiēwają.

Dobri wieczōr, szczeri wieczōr!

Nōm powiōdają, że tu rogōle pieczā;

A jeżlē nie rogōla, to tej chleba gleń;

Wasza dēsza mdze bokadny miała dzeń!

A jeżlē nie chleba gleń, to korszczōk masła,

Wasza dēsza mdze sę dobrze w niebie pasła...

A nie korszczōk masła, to swiniēgo cała,

Wasza dēsza mdze sę dobrze w niebie miała!

Jedze, jedze po lesēcy, po kelbasēcy,

Wieze, wieze kelbas w kelbasēcy...

Czwiōrgem koñmi doch nōm co przēwizee...

WITCZĚNŌ

To jo, to mie sę widzy, że wa tak po chēczech chodzyta, jak to przōdē knōpi robilē przed Trzema Krōlami... Wa dobrze trafiła, bo jō mōm prawie wiele jestku naszēkowōnē: i wōrsztē, i rēbē, i rozmajitē kuchē... dōjta le mie nen swój koszik.

Witczēnō kładze w koszik rozmajiti smaczci, a Herodowie spiēwają kolędę.

HERODOWIE

Dobri wieczōr, gospodēni,

ju przēszedł czas,

bē w kaźdi chēczi mrēcziōl burczibas,

w kaźdi chēczi mrēcziōl burczibas.

Mē dzys bādzemē chodzilē

po cali wsē

i wszētczim lēdzom dobrze žēcziłē,

i wszētczim dobrze žēcziłē.

PURTK

Pokazēje sę niespodzajno i zarō nēkō do Witczēnē a je strōszō.

WITCZĚNŌ

Uh, tē Purtku jaczis! Ale jō sę urzasia!... Zarō, zarō, to mie cos nie pasēje. We wilējā Trzech Krōlōw przōdē nijak Purtk po budach nie chodzył.

PURTK

Wēszczērō sę.

A terō chodzy, bo swiat do gōrē nogama je obrōcony.

WITCZĚNŌ

Wa jesta od Dercōw, a nen Purtk?... Ach terō jō go poznaje. Ko to je Wladi od Maszczēny.

PURTK

Jō jem Purtk ze samego westrzōdka piekła, a moja skarniō je pomazonō wszētczima brudama swiata.

Zazērō do koszika, jaczi Witczēnō jesz trzimō.

Tam jesz czegos felēje, tam jesz czegos felēje!

WITCZĚNŌ

Zaklopōtōnō.

Jō jem dała, co jem miała.

PURTK

Niē, niē, niē. A dze je diabelskō woda, a dze?!

WITCZĚNŌ

Kornusa ni mōm, ale mogę wama dac budelkę swojsziēgo wina.

HERODOWIE I PURTK

Krzikają.

Mōze bēc, mōze bēc!

WITCZĚNŌ

Jō widzę, że wa ju tak a tak mōta dosc tēle wēpitē.

Wēcygō z szafē budlę i wkłōdō ję do koszika.

HERODOWIE I PURTK

Smieją sę.

Ale jo, ale jo!

PURTK

Wēriwō Witczēnē koszik, wēcygō z budelczy tropkę, pērznę pije i podaje Herodōm.

Muzyka grac! Witczēnō do tuńca!

Herod z brōmbasę graje, a Purtk szarpie Witczēnā i jidze z nią w tuńce.

Jō niechc tacz muzyczi! Niech graje diabelskō muzyka!

Muzyka z brōmbasa je zagiēszonō przez glosnā muzykę rockowā, jakō rozlegō sę na cali zdradni. Purtk jak oszōlali tańcēje z Witczēnā, choc ta sę baro opiērō. Widzec je, że Witczēnō je corōz barzi zmęczonō i ledwie trzimō sę na nogach. Purtk krzikō.

Tak Purtk tańcēje z bialkama!

Herodowie piją z budelczy i sę smieją a krzikają.

WITCZĚNŌ

Jenē, jenu! Jō ju ni mogę, jō ju ni mogę. Wladi, puscē mie. Jō ce proszę.

Ale Purtk jesz nie mēśli skuńczēc. Witczēnō krzikō i prosy Purtk o zaprzestaniē tuńca. Po jaczimś czasie Witczēny udōwō sę wērwać Purtkowi. Tej sōdō na stōłk w nōrce, cēżko dichō i zdrzi urzasia na Purtk, co jesz wcyg tańcēje i Herodōw, jaczi jidā za jego przikłōdem.

HERODOWIE I PURTK

Kuńc z tim stôrim strëpiałim swiatę! Kuńc z tima spokojnima chëczama! Kuńc z tima stôrima zwëkama! Kuńc z tima stôrima zachama i toklama!

Krzikają, tańcëją, zwrócają stôlëczë, zdrzucają statczë, zbónczë, jestku.

WITCZËNÔ

Mój tã Panie Bożë! Co wa robita!? Dôjta poku!

Po sztërku Herodowie i Purtk nëkają z jizbë i jész wcyg je czëc, jak krzikają i sã smiejã. Potemu w kuchni robi sã cëcho.

Wszëtke mają potliëklë, poniszczonë. Oni chcelë czëstò zniszczëc moje mieszkanië... Cëż to bëlë za rozblecë?!
Dwigô ławë i sôdô na ni. Widzy na podłodze leżący chleb.

Nawetka chleba oni zdrzucëlë na ziemië. Ko to je grzëch.

Podnôszo go i kładze na stół.

Môże Frëc wintro przinãdze. On mie pomoże tuo zrobić porządk. Tu i tak muszi bëc zrobiony nowy porządk... Jô mu tej rzekë... że to, o czym on mësłôł, może sã stac. Le jak on mie sã spitô, czemu jô sã terô zgôdzóm, tej co?... Wszëtke mu opowiëm... Jo, gwës le jeden Frëck ostôł mojim prôwdzëwim przëjacelë. Le on mie ostôł...

Biôli zëdzier na szafie wëbijô dwunôstã godzëną. Witczëno je zdzëwionô.

Jenësku, to ju je dwunôstô! To nie je można. Tak to zlecało?

Zëdzier jész bije. Skãdkas je czëc jaczis glosny smiëch. Na zdradni pomału gasnie wid. Robi sã czëstò cëmno.



Ks. Leon Kuchta

Z KALËDÔRZA PRZËSŁOWI O SWIËTICH Miesq̃c stëcznik

zwóny tãż: STËCZËN, STICZËN, ZETIŃC, ZETNIK, LEDZËN,
LODOWNIK, TICZËN

1. I NOWI ROK

Na Nowi Rok
Dnia przëbiwô na kurzi krok;
Na Trzë Króle —
Drëdzë tëlë.
(O trzë côle)

Na Nowi Rok pogoda —
W polu uroda.

Nowi Rok pogódny —
Zbiór bądze doródny.

Jak w Nowi Rok słuńce swiëcy —
Pustë stodołë i sęcë.

Co Nowi Rok nakôże —
To wrzesën pokôże.

Do Nowëgo Roku gbur draszëje,
Potim — wrôble i mësżë.

Jak na Nowi Rok pluta —
Ze żniwama pokuta.

Jak Nowi Rok w prodzi —
To stari w nodzi.

Kole Nowëgo Roku
Siëga jidze strzôdkem drodżi,
Gbur po boku.
(Czas godzeniô służbë).

Nowi Rok nastôwô,
Kôżdëmu ochotë dodôwô.

Nowi Rok po Starim jidze;
Wszëtcc jak w biëdze, tak w biëdze.

Szadi mróz na drzewach w Nowi Rok —
Drzewa obrodzą.

Cziej w Nowi Rok w sadze wiele żłodzë,
Brzôd sã obrodzy.

Chto w Nowi Rok reno wstanie,
Ob cali rok nieskôri na wëlëganië.

Jak w Nowi Rok słuńce jasno swiëcy —
Młodô chowa powëzdichô.

Jak w Nowi Rok piękno (pogódno)
Młodi lëdze bądã umiërelë,
Jak komudno —
To stari.

2. I SWIËTI MAKARI

Jak Makari pogódny —
Wrzesën bądze chłodny.

Jak swiëti Makari pogódny —
Cali stëcznik znobny.

3. I SWIËTÔ GËNOWEFA

Od tego jaczis dzën trzeci —
Podobny sã marc klëcy.

Od Gënowefë
Lëstopadnik swój początk bierze.
(Tj. jaczis mdze dzën 3. I, taczis mdze lëstopadnik).

5. I WILËJÔ OBJAWIENIÔ PAŃSCHIËGO —

TRZËCH KRÓLÓW
Jak we Wilëjã Objawieniô —
Tak sã grëdzën odmieni.

6. I TRZËCH KRÓLÓW (Mëdrzców)

Królowie pod szopë —
Dnia przëbiwô na kurzą stopë.

Na Trzech Króli
Noc sã tuli.
(Noc je ju krotszô, dzën dlëgszy)

W dzën Trzech Króli
Kôżdi do piëcka sã tuli.

Na widzenië Trzech Króli,
Kôżdi w kôżëch sã tuli;
Ale jak Trzë Króle cëplëm obdarzą,
Gburzë o wczasnym zymku marzą.

Jak Trzë Króle pogodã obdarzą,
Nie wëlegiwôj sã, gospodarzu!

Sëc ostatną po dąbrowie

Rozpinają Trzej Królowie.
(Kole Trzech Królów kuńczeli się królewscie łowę, jachtę,
rozpoczęte we wilej sw. Michała)

Trzej Królowie wiatrę cyszą
I krziczici na dwierzach piszą.

W Trzë Króle miedwiędz

Muszi na drędzi bok léc (legnąc).

Przëjachelë Trzej Królowie we szterzech.
(Szpôs kolëdników. Tzn. „Trzeji Królowie” i kuczer)

Na żëdowsczië Trzë Królë.
(Tj. nigdë nie oddóm)

Chto wënalôzł koło?

Eugeniusz Gołąbk

W swojy „kaszëbsczy drodze” Aleksander Labuda¹ wspomina nieniedostny dzień, cziej wespół z Janę Trepzicką jachelë na kołach pod dodóm z odwiedzeniów u Aleksandra Majkowskiego. Obadwaj mieli wnetczas no jistné poczëcë, że nalezlë cël dło jaciëgo je wórt zëc, tj. kaszëbiznë. Pitanië o to, do cze człowiek zëje, zadówó so niejedyn młodi człowiek, cziej popódó w zwątpienië, cziej jego pozytywné nastawienië do zëcëgo kruszi së od szosów lëdzczy nieżëcznotë abo z jinszi przëczënië. Stówiając no zapitanië młodi człowiek niechëcë, nieróz bez pojëcò o jego wódze, ocërò së o nòtrudniészë sprawë, nad jaczima lómilë so głowë mędrzcowie.

Ze swojégò krótcziégò zëcëgo jò téż pamiętają, jak së bładzëło szukającë cëlu zëcëgo i żól je dzys kask te czasu zmudzonégò na bładzenië. Wdarzë so ne rozmowë z rówienikama, gwëšno najiwczilë, cziej së podzywialò lëdzy, jaczim „swiat jidze rëkã”. Wdarzë so téż ne dnie, cziej së wanożëło, nibë bez cëlu, razë z karne wsowëch lorbasów nëkónëch po okolim jakas teskniaczka za czims jinszim od codniowi szarotë. Jidacë za „psym” jinstinktë spodzëwól së człowiek nalezc w nym towarzësztwie, podë drogã, jaciész zdarzenië, jakas sprawë, zajacë wórtne oddaniò mu së dëcht czësto, në i (jakuż jinaczi!) miłotë. Téż dzes, na dnie dëszë, jistnia w człowieku na udba, że leno w służbie lëdzóm, w dównam ze se, człowiek nalëze nen cël...

Wierë to święti Paweł napisól, że dësza człowieka nie mdze mia ubëtku, pokadka nie nalëze swëgo prówdzëwégò cëlu, Boga. Nie mdë tu opowiodól pokrëtny drodżi, jakã przeszla moja dësza, bo felietón nie je nòpasowniëszim do te mólë. Chcë leno zachëcë do przëczëtaniò dwuch, terò le, niedównò wëdónëch ksążk, jacië jò nabël w ksëgarni Pallotiniów. Nie sã to tekstë czësto nowë, bo „Wszechswiat i filozofia”² je ju drëdzi róż, po piëc latach wëdónò, a „Wobec nowego czasu”³ je to zbiórki artikiłków drëkównëch nòpiërwi w „Tygodniku Powszechnym” w latach 45–50.

Móm mólã nòdzeje, że mie bądze wëbòczony nen zòpól, z jaczim jò (nië pierwszy róż) zachwòliwóm dokòzë, co mie së wëdówają wórtne szerszëgo rozpomionowaniò. Wierë kòdżi së docygò, że jem tak „naladowóny”, że muszë së podzelëc nã redosca, co we mie je. Nòprzód, nigle rzekë cos o nëch ksążkach, pòrë słów wëchwalë czasu, w jaczim zëjemë. Mómë hewo szczescë zëc w czasach, cziej së ukòzywają, choc w mólë lëczbie drëkównë, ksążczì tak mądrë jak ne dwie. Zawdëcziwómë to lëdzóm, co nie delë zagasë widu prówdzëwi wiëdzë i wiarë. Młodi lëdze czasë przëgòdiwają starszim („dinozauróm”): To przez waju je dzysò tak lëcho. A niejedyn starszi na to odpowiodają: Cziejbë nie më, bëlobë jész gorzi. Po prówdze. Cziejbë nie mądrò upiartosc, cziejbë nie nieustòwającò biòtka i cerplëwë upominanië së nòrodu o swoje prawa, nen swiat bë bël jész mni do lëdaniò.

Mëszlë, że nòdpis „Wszechswiat i filozofia” dosc jasno wskòzëje, o czim w ny knëzce je mowa. Jò szukòl taciëgo dokòzu od dówna, tj. od czasu, cziej jako czëtiñc poczuł jem së na tëlì dozdrzelał, zëbë liznac nicos od filozofiji. Szło mie o wëklòd nëch mądroscy z pozycëji katolëcczich. Ni mogë terò przëszëc, że mie së udało przërozumiòc kòzde zdanië zamklë w ny ksążce, ale mëszlë, że wiòldzim dzëlë jem pochwòcył mëslë tam przedstawionë.

O rozeszłoscach midzë sposobama i możnotama poznòwczima nòuczi (fizyczi) a teologii Józef Życiński tak pisze: »Fizyk prowadzący pomiary elektronów jest w swej postawie intelektualnej bliski teologowi z tej racji, że obiekt jego pomiarów jest również niedostępny do bezpośredniej obserwacji. Zapytany o to, czym jest elektron, może on albo podać zbiór parametrów charakteryzujących tę cząstkę, albo też może wyjaśnić laikowi, że jest to właśnie cząstka, która zostawiła ten oto ślad na kliszy fotograficznej. (...) Poglądowe tłumaczenie odwołujące się przy charakterystyce elektronu do jego śladów na kliszy ukazuje głębokie i nieprzekraczalne ograniczenia poznawcze. Ślad elektronu nie jest elektronem. Ślad znakomitych perfum zostawiony w powietrzu przez lady X nie jest samą lady X. Istnieje pewna różnica między sympatią do określonej wody kolońskiej a sympatią do osoby, która używa tej wody. Zarówno fizyk, jak i teolog skazani są na to, by w procesie poznawczym rejestrować pewne ślady rzeczywistości, godząc się z tym, że to co najbardziej istotne jest nierejestrowalne. Rozdarcie istniejące między bogactwem rzeczywistości a ubóstwem języków i metod sygnalizował E. Schrödinger, pisząc: »Drogi czytelniku, lub — jeszcze lepiej — droga czytelniczko: Przypomnij sobie te jasne, promienne, pełne radości oczy twego dziecka... Niech potem fizycy powiedzą ci, że w obiektywnej rzeczywistości nic nie emanuje z tych oczu. ...W „rzeczywistości”. Co za straszna rzeczywistość. Wydaje się, że zaginęło w niej coś ważnego«.

Nòdpis „Wobec nowego czasu”, téż dosc trafno dobróny, je wskòzã, że ksądz Jan Piwowarczyk podjimò w swojëch artikiłach sprawë, jaczima zëła powojnowò Polskò. Je osobliwë znaczącë, że tematë z publicysticzi nëch lat 45–50 sã dzysò tak samo (abo: zòs) aktualné, jak tedë. Na aktualnòta je choba téż przëczëniã, że na ksążka terò wëszla drëkë.

Ksądz J. Piwowarczyk, w nëch latach przëdny redaktòr „Tygodnika Powszechnégò” bël wierë jednym z bëlniészëch polsczich publicystów, jaczì w całoscë pojawilë së w powojnowim czãdze. O rozmajitoscë sprów, jaczima së zajimòł w swojëch artikiłach swiòdczą jich nòdpisë. Wezmë: „Wizerunek niemieckiego rasizmu”, „Etyka marksizmu”, „Upaństwowienie”, „Czy od małpy?”, „Radość z poznania prawdy” ë jinszë. W nëch tekstach autòr uprocëmniwò së do

wędarzeniów prawie le skuńczony wojnę, włączył się do publiczny rozprawę o to, jak to być nowobudowóno Polskó, kritikuje programową ateizację dzicy i ostrzegó przed przesadną kuratelą państwa nad człowiek. „Państwo wtedy wzrasta w siłę moralną i potęgę materialną, gdy twórczość ludzka ma szerokie pole do działania, gdy człowiek czuje się nie kółkiem w maszynie, ale współtwórcą”. A hewo wójmink z jiného artikla: „Własność prywatna ma dla jednostki znaczenie nie tylko w zakresie jej materialnych potrzeb. Pełni także kulturalne funkcje. Daje człowiekowi wolność i poczucie osobistej godności, wyzwala go z niewoli środowiska i umożliwia swobodny rozwój zdolności. Od Pliniusza starszego pochodzą słowa: *latifundia perdidere Italiam, iamvero et provincias* (latyfundia zgubiły Italię i jej prowincje). Skupienie ziemi w rękach niewielu skazało masy na stan bezwłasnościowy. To je wyobcowało ze społeczeństwa obywatelskiego i odebrało chęć do obrony Rzymu przed napierającymi nowymi ludami”. („Dlaczego własność prywatna”).

Dzěl tematów porészivóných przez ks. J. Piwowarczyka je dló mie jakbė dopełnieniem ksążczy „Wszechświat i filozofia”. Z leźnoscé swégo „fachu” ks. J. Piwowarczyk kritikowól marksofskú etikę i materialistický pozdratk na swiat, ně i przė tim, chcąc nie chcąc, krziżowól pióra z przėstojnikama marksyźmu. Zadzėrnė przódė pióro ksędza je w ných, teró opublikowóných, artiklach pėrznė stėpionė wstówkama cenzurė. Ale ostało jėsz kasy-nószk do pocztėnió: „Naukowa obserwacja wykazuje...» — pisze p. Schaff. Lecz o jakiej nauce myśli? O biologii, o fizyce, o chemii? Cóż one mogą powiedzieć o czymś, co leży poza obrębem ich badań? O ducha trzeba pytać te nauki, które się du-

chem zajmują — i te, które się zajmują całym człowiekiem, istotą psychofizyczną; a te nam powiedzą, że jest istotowa różnica między ciałem a duszą i że skutkiem tego materialne ciało nie może wytwarzać duchowych produktów. Z czego wniosek: duch nie jest produktem materii. Materializm marksofski tego nie widzi...” („Jeszcze marksizm”).

Z aktualną dzys kritiką uczbė religioznóstwa w szkołach parłączą się sprawė porészivónė w artiklach pn. „Czy od małpy?” i „Więc jednak od małpy?” Pierwszy z nich tak się zaczinó: „W II półroczu r. szkolnego 1945/6 wprowadzono do nauki w szkole powszechnej w III i IV klasie nowy przedmiot: lekcje prehistorii, w których m.in. omawia się z dziećmi początki życia ludzkiego na ziemi. (...) Z podręcznika p. Przeworskiej dziecko dowiaduje się, że pierwszy człowiek pojawił się wśród małp, co dla nich było niezwykłym wydarzeniem. To nowe stworzenie — pisze autorka — „podobne było do małpy, a przecież niepodobne”. Różnica uwydatniała się w oczach. Błyskało w nich »światełko ludzkiego rozumu«”.

Od czasu, cziej ksądz J. Piwowarczyk pisywól swoje artykuły, koło historji się pėrzinėszkė obróććło. Ale, jak widzimy, nie dló wszėtccich historjė je szkólną žėćego. ■

¹ Jan Drzeżdżon „Współczesna literatura kaszubska 1945—1980” Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1986 (Aneks).

² Michał Heller, Józef Zyciński „Wszechświat i filozofia”, „Szkice z filozofii i historii nauki” Wyd. II Polskie Towarzystwo Teologiczne, Kraków 1986.

³ Ks. Jan Piwowarczyk „Wobec nowego czasu” (z publikacji 1945—1950) Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Kraków 1985.

Józef Borzyszkowski ERYKA MORZYCKA-NIEPOKOYCZYCKA (1908-1986)

2 kwietnia 1986 roku zmarła pani Eryka Niepokoyczycka. Z urodzenia gdańszczanka od lat zamieszkująca w Bėsi na Warmii. Była tą częstką gdańskiejsz społeczności zrzeszonej interesującą się prawie na co dzień naszymi sprawami, wspierającą wspólne działania. Trafiła do nas przed kilkunastu laty za pośrednictwem śp. Floriana Wichłacza. Szukała od dawna kontaktów z ziomkami, sojusznikami w prowadzonej dotąd raczej samotnie walce o dobre imię rodzinnej ziemi, o szacunek dla trwających tu w Gdańsku, na Kaszubach, na Pomorzu ludzi; pozostających u siebie, na swoim, mimo światowych burz i codziennych przeciwności. Będąc daleko, nie mogąc uczestniczyć w naszej działalności bezpośrednio, kontaktowała się poprzez listy. Uczestniczyła dzięki nim we wszystkich walnych zebraniach stołecznego oddziału, szczególnie w latach prezesury Lecha Bądkowskiego. Swoim wdowim groszem wspierała każdą inicjatywę Zrzeszenia „Pomeranii”, oddziału. Reprezentowała po trochu nas i nasze sprawy na Warmii, w Bėsi, w Olsztynie, przede wszystkim jako działaczka Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze”. Zależało jej bardzo na zbliżeniu naszych organizacji. W Oddziale „Pojezierza” w Bėsi niejednokrotnie prezentowała dzieje i kulturę swej rodzinnej ziemi. Dla przykładu można wspomnieć, że 11.02.1980 r. „Pojezierze” w Bėsi obchodziło 60 rocznicę zaślubin Polski z Morzem, wysyłając do ZK-P w Gdańsku list, niejako do „rodzinnego Zrzeszenia pani Eryki”.

Urodziła się w Gdańsku 2 czerwca 1908 r. jako córka Jadwigi z Schroederów i Maksymiliana Wierzbów. Matka jej urodziła się w Łężycach koło Rumii. Ojciec pochodził z rodziny gburkiej z powiatu kartuskiego. Do Gdańska trafił na przełomie wieków po śmierci swego ojca. Sprzedawszy gospo-

darstwo, kupił na Oruni fabrykę tytoniu; w momencie powstania Wolnego Miasta Gdańska był współwłaścicielem firmy „Wierzbą, Wojciechowski i Ska. Fabryka Maszyn Rolniczych” we Wrzeszczu. Niestety, był zbyt towarzyski i lubił kasyno gry w Sopocie. W 1920 roku rodzice pani Eryki się rozeszli. Ojciec zmarł po II wojnie światowej.

Pani Eryka wychowywała się w kręgu rodzinnym matki. Wśród najbliższych krewnych był m.in. prof. Franciszek Schroeder, poseł polski do parlamentu niemieckiego, przez jakiś czas właściciel Kobysewa, u którego gubernierem był Jarosław Derdowski. Pasierbicą zaś profesora była Anna z Bardzkich Karwatowa, za czasów zaboru najwybitniejsza pisarka polska Prus Zachodnich. Eryka ukończyła w Gdańsku — Sopocie szkołę średnią — Katholische Höhere Mädchenschule. Uczestniczyła od dziecka w życiu gdańskiej Polonii, ale nie tylko. Jeszcze w 1920 r. była wraz z rodzicami na uroczystości zaślubin Polski z Bałtykiem. W 1933 roku została członkiem Związku Polaków w WM Gdańsku. Wśród znajomych byli Wojciechowscy, Czarnecki, Paszotowie, Turscy, Kukowscy. (Późniejszy konsul Estonii był przed I wojną sąsiadem Wierzbów w Sopocie). Wspominając tamte lata napisała: „Matka przekazała mi ten wzorzec rodzinnych tradycji (choć później, niestety, popękały jak nici). Uczyla mnie prawdomówności, grzeczności, szacunku wobec rodziców, krewnych, znajomych (i nieznajomych), posłuszeństwa. Po swoim 12-tym roku bywałam często tygodniami w domu rodzinnym siostry Matki — Walerii Badziągowej. (...) Podczas ferii szkolnych bywałam w domu brata Matki Ignacego Schroedera w Poznaniu; także u przyjaciół Rodziców z dawnych lat Wandy i Ignacego Wojciechowskich w Toruniu. (...) Poznałam wartość rodziny i tej swoistej dla niej,

pełnej tradycji, przynależności. (...) Z mego doświadczenia wiem, że dbało się o tradycję. Przecież święta obchodzone były nie tylko według obrządku rzymskokatolickiego, ale i według tradycji kaszubsko-pomorskiej. I to nie tylko, kiedy się mieszkało na terenie gdańskiego, ale i w rodzinnym kręgu w Poznaniu, u tych urodzonych na kaszubsko-pomorskiej ziemi. Oprócz świąt dbało się o regionalne obyczaje, jednak u tych, co odeszli do miast, zgubiła się raczej gwara kaszubska. (...) Nigdy np. nie słyszałam, żeby Matka mówiła po kaszubsku — nawet będąc w gościnie w Kartuzach. A mnie ta mowa ogromnie kuśliła, lubiłam ją, lecz (niestety) Matka przerywała moją paplaninę — żebyśmy nie psuła sobie wymowy — „na wysoko” — dodawałam. Przecież Babcia Emilia z Żelewskich mówiła — może nie stale — tak miło po kaszubsku, także o Purtku. Strona historyczna, ta polska, była może najważniejsza”.

W niemieckiej szkole pani Eryka obdarzana była przez koleżanki przezwiskiem „Polenbalg”, ale gdy powstało gimnazjum polskie, nie poszła tam, mimo nalegania matki, bojąc się, że nazwą ją Szwabką. Językiem konwersacji bowiem był dość długo przede wszystkim niemiecki; brakowało systematycznej nauki języka polskiego. Gdy kiedyś jednak panna Eryka, nie bacząc na obecnych, zaczęła mówić z kuzynką Ludwiką Drzewicką swobodnie po polsku, usłyszała: „Córuchno — nareszcie jesteś w domu”.

W rodzinnym kręgu byli również Moczyński. Dr Zygmunt Moczyński, znany działacz polonijny i polityczny w Gdańsku, zmarł w 1960 roku. Dzięki rodzinie i znajomym pani Eryka od dziecka poznawała świat kultury Gdańska — teatr, opera, koncerty. Dzieła Henryka Sienkiewicza najpierw czytała w języku niemieckim. Dzięki kuzynom Drzewickim, którzy zaprzyjaźnili się ze Stanisławem Przybyszewskim pracującym w Gdańsku, jako 14-letnia panna zaczęła chłonić jego książki w oryginalnych wydaniach w języku niemieckim i w tłumaczeniach polskich. Z czasem poznała najwybitniejsze dzieła literatury polskiej.

Sytuacja rodzinna zmusiła ją do szybkiego podjęcia pracy zarobkowej. W 1930 roku została biuralistką. Najpierw w firmie Hartwig SA w Gdańsku, potem w Bałtyckim Banku Komisowym w tymże mieście, a na dobre w Banku Cukrownictwa SA w Poznaniu, Oddział w Gdyni, gdzie pracowała w końcu jako zastępca głównego księgowego. Stosunkowo skromne zarobki wystarczyły i na utrzymanie matki, i na podróże zagraniczne. Mieszkając od 1934 roku w Gdyni z paszportem WM Gdańska zwiedziła pani Eryka Szwecję, Niemcy, Austrię, Szwajcarię, Lichtenstein, Czechosłowację i Italię. Już przed wojną związała się z Warszawą, gdzie mieszkał jej narzeczony Konstanty Morzycki.

W Warszawie spędziła lata okupacji. W 1940 roku poślubiła Konstantego. Podczas Powstania Warszawskiego została wraz z mężem uwięziona i wywieziona do Oświęcimia-Brzezinki. 18 września 1944 wywieziono ją do Ravensbrück. Kilka ostatnich miesięcy wojny przeżyła w Buchenwaldzie. W czasie ewakuacji obozu uciekła z transportu na terenie Czechosłowacji. Koniec wojny zastał ją w Karlowych Varach. W Ravensbrück, jako znająca świetnie język niemiecki i inne języki, na prośbę koleżanek, została funkcyjną. W Czechach po wojnie pomagała Amerykanom organizować obóz dla uchodźców.

W końcu 1945 roku Eryka Morzycka wróciła do Gdyni. Szukając męża dowiedziała się, że zginął w Mauthausen. W kwietniu 1946 roku wyjechała do Olsztyna, gdzie jeden z byłych więźniów obozowych zaproponował jej pracę i mieszkanie służbowe. Pracowała jako księgowa w Wojewódzkim Urzędzie Ziemi, później w Wydziale Rolnictwa i Leśnictwa PWRN. W 1953 roku wyszła za kolegę inż. roln. Stanisława Niepokoyczyckiego. Mąż, były akowiec, nie mógł nigdzie spokojnie pracować. Wędrowali więc po PGR-ach Warmii i Mazur. Gdy nadeszła rehabilitacja, mąż pani Eryki był już człowiekiem ciężko chorym i wkrótce zmarł. Ponownie będąc wdową pani Eryka zapuściła korzenie w Bęsi; w 1959 roku zaczęła pracować jako główna księgowa tamtejszego Zakładu Doświadczalnego.

Jej żywiołem poza pracą, ogródkiem, malowaniem

(w Gdyni była uczennicą Pomorskiej Szkoły Sztuk Pięknych prof. Wacława Szczepiewskiego), wycinankami (eksponowanymi dziesiątki razy, także kaszubskimi) była działalność społeczna w „Pojezierzu” i ZBoWiDzie. Pomagając historykom tłumaczyć dzieła z języka niemieckiego, napisała wreszcie z kolegą Jerzym Czarnockim monografię „Zarys historii Bęsi”. Poza licznymi funkcjami (także radnej WRN), była również w „Pojezierzu” kronikarką.

Doceniono jej społecznikowskie trudy; wyróżniono nagrodą ministra kultury, Krzyżem Zasługi. Dużo satysfakcji dawały pani Eryce artykuły w prasie, choćby ten z „Warmii i Mazur” nr 8/1979 pt. „Działaczka z Bęsi”.

Będąc członkiem Klubu Buchenwaldczyków napisała w 1958 szkice swoich wspomnień z pobytu w obozie koncentracyjnym. W 1961 roku ukazała się książka „Za pięć dwunastą”, zbiór wspomnień wielu więźniów, m.in. Eryki Morzyckiej nr 34406, z przedmową Kazimierza Rusinka w opracowaniu Zygmunta Zonika.

Najlepszymi przyjaciółmi Zmarłej do końca życia były obrazy i książki. Swój trzeci z kolei księgozbiór pragnęła jeszcze za życia przekazać społeczności zrzeszonej. Wiedząc czym były dla Niej książki, nie mogliśmy tego wspaniałego daru wówczas przyjąć. W ostatnim liście pani Eryka pisała o nienajlepszym stanie swego zdrowia. Gdy jedno z nas pojechało do Bęsi, aby w imieniu gdańskiej społeczności zrzeszonej złożyć pani Eryce życzenia — dowody pamięci, okazało się, że kilka dni wcześniej był Jej pogrzeb. Kwiaty spoczęły więc na cmentarzu w Węgoju, na grobie dumnej gdańszczanki Eryki z Wierzbów Morzyckiej-Niepokoyczyckiej. ■

Stanisław Janke

KOL NAJI JU TAK JE

Kol naji ju tak je
że pod nieodgadłą modrością nieba
dak chęcź opierō sę kozłama
i kozėlkama cwiardo
jałowce pikulcama stoją
nad wėpiartą cyszą piōskōw
a wejle nawetka mōłō rzma
cėrzniamia obrosce
a wiatrōm sę nie dō
takō nama stwōrzbā namienionō je
łaszczėwotę przėkriwō szėchta
parchatō jak szerzchla
u tich zwierzėtōw co są
za słabė zebė sę biōtkowac
ō swoje a le obnėkiwają
sę przed wiōldżima pazurama
i wcyg le żdają cerplėwo
zōs na zagrōżkę

Jan Labuda

* * *

medżė placzem a smiechem
medżė strachem a odwōgą
medżė lżā a prōwdą
medżė biedā a bogactwem
medżė grzechem a cnotą
medżė zlim a dobrim
medżė tim co bėło ě jesz mdze

jesma mė
chtėrni wėmėszlėlė
ne miona

O nowym przewodniku po kościele poklasztornym w Kartuzach

Ks. Kazimierz Raepke

W ubiegłym roku ukazały się dwa wydania podręcznego przewodnika po kościele byłej Kartuzji Kaszubskiej. Drugie, rozszerzone, uzupełnione zostało ilustracjami¹. Autorem tych publikacji jest proboszcz parafii rzymskokatolickiej pw. Wniebowzięcia NMP w Kartuzach, ks. dr Henryk Ormiński.

Bezsporną zaletą tego drugiego opracowania są zdjęcia zabytków kościoła kartuskiego, w większości publikowane po raz pierwszy. I chociaż nie wszystkie są dobrej jakości, to jednak ułatwiają zapoznanie się z bogactwem zabytków.

Niestety, nie da się tego powiedzieć o tekście (na pierwszych szesnastu stronach), opartym zresztą na broszurze wydanej w okresie międzywojennym nakładem Akcji Katolickiej w Kartuzach². Autor nie uwzględnił wyników badań, które w ostatnich latach, zwłaszcza w okresie przygotowawczym do jubileuszu 600-lecia przybycia kartuzów na Pomorze Gdańskie, bardzo posunęły się naprzód. Nie uwzględnił też literatury przedmiotu, co w sumie wpłynęło ujemnie na przedstawiony obraz historii klasztoru i zabytków kościoła poklasztornego.

Zacznijmy od historii klasztoru kartuskiego poruszonej na s. 6.

Z kopii dokumentu kasacyjnego odnalezionego w Archiwum Diecezji Warmińskiej w Olsztynie w marcu 1977 roku wynika, że w dniach od 17 do 19 kwietnia 1823 r. w klasztorze kartuskim komisja kasacyjna rządu pruskiego dokonała likwidacji kartuzji „Raj Maryi”. Paragraf pierwszy dokumentu, wystawionego w Berlinie 14 marca 1823 r. i podpisanego przez ministra Altensteina, brzmiał: „Od drugiego kwietnia br., w jakimkolwiek dniu, gdy przeorowi Brunonowi Senzy i zebranemu konwentowi niniejsze rozporządzenie zostanie ogłoszone, a mianowicie z chwilą dokonania ogłoszenia, przestaje istnieć klasztor w Kartuzach i będzie uważany za rozwiązany”. Zatem podany przez autora rok kasacji 1826 nie ma żadnego uzasadnienia.

Z dalszej relacji autora wynika, że dopiero po kasacji rząd pruski rozparcelował dobra klasztorne. Z dokumentów wiemy, że parcelację rozpoczęto wcześniej, w pierwszych dniach listopada 1772 r., po przekazaniu dóbr klasztoru kartuskiego w administrację pruskim kamerom edyktem gabinetowym, a ostatecznie cały majątek władze państwowej przejęły na podstawie edyktu likwidacyjnego, wydane go przez króla Fryderyka III w 1810 r.

Ostatni kartuzjanin nazywał się Kazimierz Nitsch i zmarł w Kartuzach 18 października 1850 r., w wieku 80 lat, jak na to wskazuje data urodzenia w dokumentach olsztyńskich. Pochował go ks. Józef Wildner, kuratus (1848–1859), koło krzyża po wschodniej stronie kościoła. Wbrew też temu, co twierdzi ksiądz Ormiński, Ewangelicka Gmina Kościelna nie otrzymała 138 mórg ziemi w darze od rządu pruskiego, lecz zakupiła ją za sumę 2890 talarów, z przeznaczeniem na cmentarz.

Na plus ks. Ormińskiemu można zaliczyć to, że nie podał legendy o aktywnym wystąpieniu gospodarzy z Prokowa w obronie skasowanego konwentu w 1830 r., coraz częściej pojawiającej się w nowszych publikacjach³. Taki opór miejscowej ludności i to nie tylko z Prokowa miał rzeczywiście miejsce, ale 12 lat później, 8 października 1842 r., gdy władze pruskie zezwoliły ewangelikom na odprawianie nabożeństw w refektarzu poklasztornym (należącym zresztą do administracji państwowej), a katolikom nie zatwierdziły samodzielnego duszpasterza. Po tych właśnie wydarzeniach w grudniu 1842 r. przychodzi

do Kartuz ks. Antoni Sobotta, odprowadzając pierwszą pasterkę w kościele poklasztornym. Władze pruskie przekazują refektarz katolikom dopiero w grudniu 1894 r. Daty podane w przewodniku są więc nieścisłe (s. 15).

Wspaniałe dziedzictwo dzieł sztuki zachowane w kościele poklasztornym może być w pełni ocenione i zrozumiane w kontekście historycznego tła jego powstawania, a więc statutów zakonnych, zapisów klasztornych o. Jerzego Schwengla⁴ oraz materiałów archiwum parafialnego.

Kościół konwentualny był sercem kartuzji, które było nieustannie aż do kasacji w rytm liturgicznych modlitw, koncentrujących się wokół ołtarza mnichów i dwóch chórów, gdzie w określonych godzinach gromadzono się na wspólne odmawianie brewiarza. Układ i wystrój chórów mnichów i konwersów były ściśle dostosowane do wymogów służby Bożej, ukształtowanej statutami zakonnymi. Modlitwa brewiarzowa łączyła się bezpośrednio ze mszą. Hebdomadariusz, czyli ten, który w danym tygodniu pełnił służbę w chórze, z wysokości tronu celebransu (niesłusznie nazywanego tronem przeora), nie tylko przewodniczył chórowym modlitwom, ale także odprawiał mszę, ponieważ była ona ukoronowaniem tych modlitw, które traktowano jako przygotowanie do mszy i dziękczynienie po niej.

Chór mnichów dzielił się na dwie części: na chór przeora (strona prawa, patrząc w kierunku ołtarza głównego), zwany *In manu Tua* i na chór kantora (strona lewa), zwany *Adoremus*. Nazwy obu części chóru, zachowane do dziś w kościele poklasztornym, pochodzą od antyfony Wezwania, rozpoczynającej oficjum brewiarzowe o północy w niedziele zwykłe. Po oktavie Objawienia Pańskiego antyfonę Wezwania rozpoczynał chór prawy: „*In manu Tua, Domine, omnes fines terrae*” (W dłoni Twojej, Panie, są wszystkie krańce ziemi). Po oktavie Zielonych Świąt antyfonę rozpoczynał chór lewy: „*Adoremus Dominum, qui fecit nos*” (Uwielbiamy Pana, który nas stworzył). Według statutów w chórze mnichów znajdowały się też stalle dla chorych ojców i to bez pulpitów.

Spółeczność mnichów kartuskich była społecznością zamkniętą i dlatego nawet w kościele mieli miejsce oddzielone od tych, co musieli pracować na ich utrzymanie, czyli konwersów. Dwa chóry dzieliło przepierzenie, z drzwiami ruchomymi w środku, zwane lektorium. Obok stała para stall dla prokuratora (gospodarczego) i przeora, frontem do ołtarza głównego.

Obecny wystrój wnętrza zawdzięczamy przeorowi Ulrykowi Repfowi (1622–1645), który w roku 1626 odnowił zdemolowany przez Szwedów kościół konwentualny, stosując się do wymogów reformy trydenckiej. Wiadomo z całą pewnością, że stalle w dwóch chórach zostały ustawione za jego czasów. I tak w chórze mnichów prace te ukończono 5 października 1641 roku, a w chórze konwersów rok później. Tak czytamy w zapiskach przeora, które przekazał nam Schwengel. Tymczasem ks. Ormiński wprowadza zupełnie nowe daty, nie mające żadnego

¹ Ks. dr Henryk Ormiński, Kościół poklasztorny w Kartuzach, Kartuzy 1985, s. 20, nakład 1000 egz., nakład II 1000 egz. Druk obu wydań nakładem autora.

² Kościół poklasztorny w Kartuzach, b.r.w., s. 16.

³ Izabella Trojanowska, Kartuzy i okolice, Gdańsk 1983; Jerzy Baranowski, Donald Tusk, Pojezierze Kaszubskie, Warszawa 1985.

⁴ Apparatus ad annales Cartusiae Paradisi B.M.V., tom IV i V.



podkładu historycznego. Pisze na przykład na s. 10, że „ustawienie stall nastąpiło w wigilię św. Brunona, to jest 5.10.1643 r. W 1677 r. wprowadzono kolejne stalle przeora (28—29), cztery stalle z wizerunkami ewangelistów, tron celebransa oraz stalle braci laików”. Już tylko analiza stylu ornamentacyjnego tronu celebransa i stall przeora poświadcza, że musiały powstać w tym samym czasie i w tym samym warsztacie, co stalle w chórze mnichów. Zresztą trudno sobie wyobrazić, aby mnisi siedzieli w nowych stallach, natomiast hebdomadariusz, prokurator czy przeor musieliby czekać na swoje nowe miejsca aż 26 lat, zadowalając się prowizorką. Dla nich przede wszystkim w chórze musiały być miejsca. Tego wymagała hierarchia w konwencie i w chórze.

Wprawdzie ks. Zbigniew Sroka przypuszcza w swojej pracy⁵, że stalle ewangelistów (nr 12—13 oraz 26—27) mogły powstać w 1677 roku, co sugeruje data na przedpiersiu stall (12—13), ale nie potwierdza tego żadna wzmianka ani w kronice Schwengla, ani w zbiorze dokumentów kartuskich dotyczących wyposażenia kościoła (od 1639 do 1745) i korespondencji w różnych sprawach (od 1608 do 1745), przechowywanych w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Gdańsku. Skąd więc się wzięła data 1677? Spróbujmy wyjaśnić.

Po utworzeniu kuracji kapelańskiej w 1844 r. kościół poklasztorny trzeba było dostosować do potrzeb duszpasterskich. Zlikwidowano w pierwszym rzędzie lektorium dzielące kościół na dwie części i to prawdopodobnie jeszcze w tym samym roku, co pociągnęło za sobą przesunięcie stall przeora (nr 28—29) do ołtarza marmurowego św. Apostołów. Takli stan zachował się do lat osiemdziesiątych, jak wskazuje rzut poziomy kościoła w pracy J. Heisego⁶. Widzimy tu szkic wszystkich stall z pulpitemi i stalle ewangelistów bez pulpity. W czasie prac adaptacyjnych za ks. Jana Lugartę, związanych z ustawieniem nowych ławek w kościele, wprowadzono szereg zmian. Stare przedpiersia stall z pulpitemi, razem z murem cokołem, na którym stały stalle, cofnięto o 32 cm, a dla stall ewangelistów dorobiono pulpity z przedpiersiami, upodabniając je do pozostałych. Tych zmian dokonano w 1884 roku, ogłaszając w miejscowej prasie szczegóły prac. Z tego okresu pochodzi też dzisiejsza numeracja stall.

A więc dorobiono pulpity stalom ewangelistów, które kiedyś w chórze mnichów służyły chorym ojcom. Para stall 26—27 otrzymała przedpiersie i pulpity od stall przeora (28—29), zachowując w ten sposób oryginalny wygląd przedpiersi stall przy ścianie północnej. Analogicznej parze stall przy ścianie południowej dorobiono nowe przedpiersie z pulpitem, wykorzystując element dekoracyjny z datą 1677, dodając trzy hermowe pilastry z nieudolnie wyrzeźbionymi głowkami aniołów pomiędzy dwoma prostymi płycinami. Pozostałym stalom, a więc stalom przeora i stalom w kaplicy św. Brunona (mauzoleum Szczepańskich), dorobiono nowe pulpity, stylizowane według wzoru stall pod emporą organową.

Ow element dekoracyjny z datą 1677 prawdopodobnie pochodził z rzeźbionego wystroju gmachu konwersów, wzniesionego między wieżą zachodnią kościoła a refektarzem właśnie w 1677 roku, a zburzonego w latach pięćdziesiątych XIX w. Być może rzeźba ta upamiętnia datę budowy gmachu. Dlatego, idąc dalej tym tropem, pulpity z przedpiersiem mogli się pojawić dopiero po zburzeniu gmachu konwersów, w czasie prac adaptacyjnych w 1884 r., w czym utwierdza nas dokładny w zapisywaniu inskrypcji i dat J. Heise, który o nim nie wspomina. A że wykorzystano rzeźbione elementy z tego zburzonego gmachu wiemy na pewno. Stamtąd pochodzą właśnie mistrzowsko rzeźbione drzwi wejściowe do Złotej Kaplicy.

W przyszłości dobrze by było ustalić właściwe poszczególnym ołtarzom wezwania, najlepiej idąc za zapiskami Schwengla, jako najbardziej kompetentnego w tej sprawie. Pomoże to lepiej zrozumieć ideę fundatorów i docenić kunszt artystów, którzy ją ucieleśnili w różnych formach dzieł sztuki. Dla przykładu, jedyny ołtarz marmurowy w kościele ks. Ormiński (nie tylko on zresztą nazywa ołtarzem Wierzezy Pańskiej. Ale to jest tylko część idei. W pełni znajdujemy ją pod wezwaniem Świętych Apostołów i tę właśnie treść znajdujemy w obrazach i rzeźbach ołtarza. Data 1680 jest pamiątką ustawienia ołtarza w chórze konwersów przez przeora Wawrzyńca Fendrycha (1678—1691).

Na osobne omówienie zasługują dwie wolno stojące, nie należące pierwotnie do wystroju ołtarza, rzeźby z marmuru (a nie z alabastru, jak pozostałe rzeźby w ołtarzu). Przedstawiają dwóch świętych zakonu kartuskiego — św. Hugona z Linkolnu (jak wskazuje napis u stóp świętego: „S: Hugo I”) i św. Antelma (jak wskazuje napis: „S: Anthelm”). Nie św. Anzelma, jak podaje przewodnik (s. 9 i 39). Przypuszczalnie rzeźby te przekazał Kartuzji Kaszubskiej przeor Jan Bilstein (1670—1678), przybywszy do Kartuz ze Snals w Tyrolu.

Dzięki inicjatywie przeora Wawrzyńca Fendrycha w chórze konwersów wzniesiono trzy drewniane ołtarze, które wyszły z warsztatu gniewskiego snycerza, Macieja Schollera; pierwszy w 1688 r. pod wezwaniem Świętych Męczenników (w przewodniku nazwany Wszystkich Świętych) i dwa następne w 1691 r. — Świętych Dziewic i Świętych Wyznaw-

⁵ Ks. Zbigniew Sroka, *Stalle kartuskie*, Poznań 1973, maszynopis.

⁶ J. Heise, *Die Bau- und Kunstdenkmäler, Carthusia*, H. 1, Gdańsk 1884.

ców (w przewodniku — Bożego Narodzenia i Trzech Króli). Wśród nich wyróżnia się ołtarz Świętych Męczenników, który w pełni zrozumieć można jedynie pod tym wezwaniem. Wskazuje na to główny obraz z Ukrzyżowanym wśród męczenników. Ciekawostką tego obrazu, którą podaje za Schwenglem, jest portret (jedyne w kościele kartuskim) przeora Fendrycha, namalowany pomiędzy krzyżem a głową św. Jana Chrzciciela. W przewodniku mamy ten obraz na ilustracji 34 (s. 42).

Wszystkie postacie w tym ołtarzu, tak na obrazach, jak i w rzeźbie, przedstawiają męczenników, a przecież to tylko część świętych, stąd uzasadniona nazwa ołtarza, przekazana przez Schwengla. Potwierdzał to także obraz olejny na desce w predelli ołtarza, przedstawiający członków zakonu kartuskiego cierpiących w okresie prześladowania Kościoła. Napisałem — potwierdzał, ponieważ dziś już tego obrazu nie ma w całości. W przewodniku mamy go na ilustracji 33 (s. 41), jeszcze przed zniszczeniem. W wyniku kradzieży w 1969 r. zachowała się tylko część środkowa.

Na temat pierwotnej predelli, przedstawiającej męczeństwo kartuzów, stworzono wiele teorii. Z całą pewnością nie doświadczali prześladowań od Husytów (przewodnik s. 9 i 41), którzy nigdy do Kartuz nie doszli. Prawdopodobnie przedstawiono tu męczeństwo mnichów kartuskich w Anglii za czasów króla Henryka VIII, których odwagę i poświęcenie zakon kartuski rozszerzał po całej Europie. W świetle tego, co powiedziano o ołtarzu Św. Męczenników, trudno zgodzić się ze stwierdzeniem ks. Ormińskiego, że ołtarz Wszystkich Świętych nie ma większej wartości (s. 9).

Empora renesansowa w zachodniej części kościoła powstała w związku z renesansowym lektorium (przepięcie kościoła, dzielące go na dwa chóry), które w kościele konwentualnym postawił przeor Henryk Villarius (1613—1622), niewątpliwie więc po 1589 roku, czyli po alienacji klasztoru. Piękne balustrady tego lektorium, wschodnia z 1619 i zachodnia z 1620 r., wykonali mistrzowie Jakub Leber i Bartłomiej. Prawdopodobnie w tych samych latach ci sami mistrzowie wykonali stojącą do dziś balustradę empory zachodniej z tarczą zegarową. Data wykończenia balustrady chóru w 1640 r. podana przez autora (s. 10) nie ma odpowiednika w kronice klasztornej.

Na podstawie źródeł historycznych możemy stwierdzić, że rodzina Szczepańskich należała do szlachty polskiej, a nie kaszubskiej, jak sugeruje ks. Ormiński (s. 15). Z pewnością ojciec Zygmunta, Jakub herbu Dołęga Szczepański, starosta mirachowski, później grudziądzki, towarzyszył królowi Zygmuntovi III podczas wizyty w Kartuzach w 1598 r. I tu, w Konwencie Kartuskim upatrzył sobie miejsce wiecznego spoczynku. Po śmierci w 1630 r., żona Zuzanna Gienger pochowała go w 1631 r. w kaplicy Wszystkich Świętych (dziś Św. Brunona). Gdy w styczniu 1650 r. zmarła żona Zygmunta, a kilka miesięcy później matka, Zygmunt, starosta mirachowski od 1624 r., za zgodą przeora Filipa Bolmana (1645—1662), urządził w tej kaplicy w 1650 r. mauzoleum rodziny Szczepańskich, ozdabiając ją wspinałym marmurowym epitafium i kamieniem nagrobnym. Tutaj spoczęli też pozostali członkowie tej rodziny.

Autor przewodnika powtarza za Aleksandrem Majkowskim zupełnie bezpodstawną wiadomość o sprzedaży przez Prusaków, po kasacie klasztoru, elementów trzynastego ołtarza gotyckiego z 1444 r. muzeum w Londynie (s. 13). Korespondencja z kustoszami British Museum i Victoria and Albert Museum, którą prowadziłem swego czasu z panem Sochą-Borzęstowskim, drukowana na łamach „Kaszëbë” w 1958 r., potwierdza legendarność tego przekazu.

Błędna jest także informacja o dzwonach kartuskich (s. 6), którą można sprostować w oparciu o ar-

tykuł „Na ścieżkach kartuskich dzwonów”, drukowany w „Pomeranii” nr 11/1983.

Zwracam jeszcze uwagę na mniejsze potknięcia. I tak na s. 5 nie chodzi o „dom pożarny”, a gorzelnię (Branthaus); na s. 7 nie „wykonany w piaskowcu”, bo jest ze stiuku, nie „Św. Augustyn”, bo przedstawia św. Dionizego Aeropagite; na s. 8 nie „na marmurze”, bo jest marmurowy; na s. 10 nie „wizerunki czterech świętych”, bo jest tylko dwóch; na s. 13 powinno być „Maciej Denek”, a nie „Maciej Denock” i nie „obraz sztalugowy Hermana Hana”, bo wg ks. J. Pasierba należy do serii powtórzeń dzieł H. Hana, na tej samej stronie nie „Św. Jan Złotousty”, ponieważ przedstawia św. Ambrożego; na s. 16 nie rok „1750” a 1674, ponieważ figura ta pochodzi z Bramy Dolnej klasztoru postawionej w tym właśnie roku.

Dokonując tak szczegółowej analizy nowego przewodnika kierowałem się jedną myślą, aby następne wydanie oprzeć na rzetelnych faktach historycznych, a wtedy ta perła, jaką niewątpliwie wśród zabytków Pomorza Gdańskiego jest kościół poklaskotorny w Kartuzach, zaświeci pełnym blaskiem. ■

DZIEDZICTWO KULTUROWE POD OCHRONĄ

„Pomerania” informowała już o sesji, którą z okazji 80-lecia Muzeum we Wdzydżach w istniejącym tam obecnie Kaszubskim Parku Etnograficznym zorganizował Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku i tenże KPE w dniu 29 lipca 1986 r. Sesja poświęcona była w głównej mierze skansenowi wdzydzkiemu i to zostało już zaakcentowane w materiałach zamieszczonych w październikowym numerze „Pomeranii”.

Poza tym sesja stała się okazją do dokonania swego rodzaju przeglądu całego muzealnictwa w województwie gdańskim i w ogóle stanu ochrony dziedzictwa kulturowego w naszym regionie. Na ten wątek sesji złożył się przede wszystkim referat wojewódzkiego konserwatora zabytków mgr. Tadeusza Chrzanowskiego pt. „Ochrona dziedzictwa kulturowego na Pomorzu Gdańskim” oraz część wypowiedzi w dyskusji. Sprawy te również warto przybliżyć czytelnikom naszego miesięcznika.

Autor referatu na wstępie wyłożył istotę filozofii ochrony dziedzictwa kulturowego, bo tak można by określić sens tych wywodów. „Z dziedzictwa kulturowego na danym obszarze — stwierdzał mgr T. Chrzanowski — czerpie nieustannie współczesność, nawet wówczas, gdy tworząc nowe wartości domaga się zaprzeczenia wszystkiemu, co niesie ze sobą tradycja. Świadomość tego faktu zobowiązuje do troski o spuściznę, której wartość, jakkolwiek niewymierzalna, jest największą wartością każdego społeczeństwa i wyraża się w pojęciu dobra kultury narodowej. Opanowanie zaś »sztuki dziedziczenia« znajduje swoje odzwierciedlenie w aktach prawnych oraz w skali partycypacji społeczeństwa w ochronie dóbr kultury. W każdym etapie tego procesu zachodzi konieczność tworzenia właściwych warunków rozwoju kultury w zakresie ochrony dziedzictwa kulturowego, a zwłaszcza wtedy, gdy dokonują się istotne zmiany, jak na przykład aktualnie w sferze przesłanek ekonomicznych i bardzo szybkiego przeobrażania się wsi”.

T. Chrzanowski przypomniał, że warunki naturalne oraz burzliwa historia Pomorza Gdańskiego ukształtowały różnicowaną strukturę morfogenetyczną i wytworzyły odrębności kulturowe społeczności regionu. Składa się on obecnie z kilku mikroregionów geograficzno-kulturowych, charakteryzu-

¹ T. Zychliński, Złota księga szlachty polskiej, Poznań 1903.

jących się odrębnością krajobrazu, swoistością wiejskiego dziedzictwa architektonicznego i unikatowością kulturową społeczności lokalnych. Są to: Kaszuby Północne, Środkowe i Południowe oraz Kociewie, Żuławy i Powiśle. Stanowią one cenne dziedzictwo kulturowe, będące przedmiotem systematycznych badań oraz ochrony przez służby konserwatorskie i muzealne, a także badań prowadzonych przez uczelnie wyższe i inne instytucje naukowe.

Godne uwagi są przytoczone przez referenta dane o obiektach zabytkowych w województwie gdańskim. Otóż opracowania ewidencyjne Gdańskiego Ośrodka Dokumentacji Zabytków obejmują obecnie 19 zespołów urbanistycznych, ponad 150 zespołów ruralistycznych (w tym 60 o dużej wartości historycznej), około 200 zespołów dworsko-parkowych, 650 cmentarzy oraz ponad 15 000 zabytków architektury (w tej liczbie około 4000 zabytków architektury wiejskiej, a wśród nich około 600 o unikatowych wartościach). Z zabytków ruchomych poza ewidencją muzealną, znajdujących się w obiektach świeckich i sakralnych, zostało udokumentowanych 7800. Liczby te obrazują stan na połowę 1986 r., a prace trwają.

Przypomniawszy, że podstawowy obowiązek ochrony dziedzictwa kulturowego, zgodnie z ustawą o ochronie dóbr kultury i muzeach, spoczywa na służbach konserwatorskich i na muzealnictwie, mgr T. Chrzanowski sprecyzował przyjętą i realizowaną w aktualnych, a więc — jak zaznaczył — nie najłatwiejszych warunkach ekonomicznych, koncepcję konserwatorstwa i ochrony dziedzictwa kulturowego w województwie gdańskim.

W odniesieniu do zabytków architektury składa się ona z trzech punktów. Po pierwsze, pełne rozpoznanie zasobu i w oparciu o nie opracowanie wytycznych konserwatorskich dla wszystkich planów zagospodarowania przestrzennego miast i wsi. Po drugie, ochrona in situ (w naturalnym, pierwotnym położeniu) wytypowanych obiektów i zespołów w małych miastach oraz żuławskiego budownictwa ludowego. Po trzecie, ochrona zabytkowego budownictwa ludowego Kaszub i Kociewia przez przeniesienie do skansenu we Wdzydzach. Ochrona in situ tego typu obiektów możliwa jest po adaptacji na współczesne funkcje przede wszystkim dla potrzeb kultury, użyteczności publicznej, a także na domy letniskowe.

Natomiast w odniesieniu do zabytków ruchomych koncepcja ta zasadniczo polega na gromadzeniu i opracowywaniu ich siłami i środkami wszystkich muzeów.

Aktualnie w województwie gdańskim jest 15 placówek muzealnych o zróżnicowanej specjalizacji i objętych różnym nadzorem administracyjno-merytorycznym. W tej liczbie nie mieszczą się oddziały, a Muzeum Narodowe ma ich dwa, Centralne Muzeum Morskie — cztery, zaś Muzeum Historii Miasta Gdańska aż pięć. Ponadto istnieje 7 izb muzealnych prowadzonych społecznie przez organizacje i osoby prywatne, 15 ekspozycji typu muzealnego przy zakładach pracy, 2 sale tradycji o charakterze otwartym przy jednostkach Marynarki Wojennej, 4 ekspozycje o charakterze skarbców przy obiektach sakralnych, 1200 szkolnych izb pamięci i tradycji (w tym kilkanaście na bardzo dobrym poziomie) oraz miejsca pamięci narodowej (jest ich 510).

W rzeczywistości krąg uczestników ochrony dziedzictwa kulturowego regionu jest jeszcze szerszy. Obejmuje on również takie instytucje upowszechniania kultury, jak Wojewódzki Ośrodek Kultury oraz tego rodzaju ośrodki gminne i miejskie, czy Wojewódzka Biblioteka Publiczna i jej filie terenowe. Placówki te często są miejscami ekspozycji dawnej i współczesnej sztuki ludowej. Do tego kręgu należą również towarzystwa regionalne o różnorodnym charakterze i zasięgu, jak ogólnoregionalne, przyjaciół poszczególnych miast i ziem, czy też muzeów. Wśród towarzystw autor referatu wyróżnił Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie i jego oddziały terenowe za upamiętnianie miejsc historycznych i osób zasłużonych dla regionu, za pielegnowanie rodzimej twórczości i działalność wydawniczą.

W ogóle region skupił dość liczne gremium ludzi oddających swoją wiedzę, umiejętności i pasję na rzecz ochrony jego dziedzictwa kulturowego. W referacie została wymieniona cała plejada zasłużonych w tym dziele osób: etnografów, historyków sztuki, historyków, organizatorów i pracowników muzeów, działaczy kultury, popularyzatorów historii i kultury.

Znaczną część swego referatu mgr T. Chrzanowski przeznaczył na rozliczenie się z realizacji programu muzealnictwa w pierwszej połowie lat 80-tych. Program ów wynikał z opracowanego w 1980 r. raportu o stanie muzealnictwa regionalnego w województwie gdańskim, z analizy stanu tego muzealnictwa w 1982 r. a także z ukończonego w 1981 r. studium historii muzealnictwa regionalnego w województwie gdańskim (praca mgr. Józefa Obszańskiego wykonana pod kierunkiem doc. Teresy Karwickiej na UMK w Toruniu).

W rozrachunku tym wojewódzki konserwator zabytków potwierdził dalszą aktualność stanowiska uznającego, że „rozmieszczenie placówek muzealnych na terenie województwa gdańskiego i charakter ekspozycji odzwierciedlają problematykę regionu; nie przewiduje się tworzenia nowych muzeów, cały wysiłek należy włożyć w rozwój i umocnienie muzeów już istniejących”. Wyjaśnił przy tym, że powołanie Muzeum Miasta Gdyni w 1983 r. było jedynym odstępstwem od przyjętej zasady. Stwierdził jednak, że stworzona tej placówce o ponad 20-letniej obsadzie szansa prawidłowego startu nie została dotychczas należycie wykorzystana i zapowiedział przesuwanie etatów na rzecz placówek aktywniejszych.

Perspektywicznie dopuszczono natomiast możliwość utworzenia filii muzeum starogardzkiego na południowym krańcu województwa. Jednak dotychczas brak społecznej inicjatywy w tym kierunku. Można mieć nadzieję, że rolę tę spełni Muzeum Wsi Zaborskiej w Wielu, oparte o zbiory Leonarda Brzezińskiego i inicjatywy dyrektora GOK-u w Wielu. Otwarcie tej placówki jest spodziewane w ostatnim kwartale 1986 r.

Realizacja niektórych punktów programu w dalszym ciągu napotyka trudności. Prace nad nowym dla konserwatorstwa i muzealnictwa zagadnieniem archeologii podwodnej są na razie zawieszone, przypuszczalnie na dwa sezony, ze względu na złożoność problematyki i konieczność uzupełnienia badań analizami specjalistycznymi. Podjęto rozliczne przedsięwzięcia w celu rozszerzenia działalności oświatowej muzeów i podniesienia jej poziomu (przewodniki po zbiorach, oferta wystaw tematycznych, współpraca ze szkołami, pomoc merytoryczna dla muzeów terenowych), ale efekty nie są jeszcze zadowalające. Porządkowany jest stan prawno-organizacyjny muzeów podporządkowanych władzom terenowym, doprowadzono do uregulowania uposażeń pracowników na porównywalnych stanowiskach w różnych muzeach, liczba etatów w muzeach podległych województwu wzrosła ze 175 w 1980 r. do 263 w 1986 r., ale problem płac pracowników muzealnictwa istnieje nadal. Nie doczekała się jeszcze planowanych rozwiązań konserwacja muzealiów, przy Oddziale Etnograficznym Muzeum Narodowego nadal brak pracowni konserwacji zbiorów etnograficznych dla potrzeb innych muzeów. Wszystkie muzea mieszczą się w obiektach zabytkowych, a zakres prowadzonych tam prac remontowo-konserwatorskich jest wyjątkowy w skali kraju. Na 25 obiektów zajmowanych przez muzea resortu kultury dotychczas prace te były prowadzone w 17, zaś w 1986 r. są prowadzone w 14. Natomiast nie było zadowalającej poprawy w zaopatrzeniu muzeów w środki transportowe.

Wprawdzie rozważania i informacje zawarte w referacie mgr. T. Chrzanowskiego nie wywołały wśród uczestników sesji większego rezonansu, gdyż zebrane tam grono muzealników, etnografów, historyków sztuki, konserwatorów, historyków i działaczy kultury kwestie te dyskutowało już nie raz, ale jednak sformułowano kilka uwag wartych odnotowania.

Nie ma potrzeby powtórzenia omówionego już na tych łamach, a przypomnianego podczas sesji postulatów w sprawie kształcenia w Gdańsku historyków

sztuki i etnografów. Z kwestii bardziej szczegółowych, ale istotnych, należy wskazać przynajmniej jedną. Otóż podniesiona została sprawa ochrony zabytków sztuki cmentarnej (pomniki, nagrobki, ogrodzenia). Dotyczy to zwłaszcza tych cmentarzy, które uległy likwidacji, zostały zaniedbane i nie mają opiekunów, jak w przypadku cmentarzy ewangelickich. W odpowiedzi na pytanie w tej sprawie wojewódzki konserwator zabytków wyjaśniał, że istnieje uzgodnienie z władzami kościelnymi o umieszczeniu tego rodzaju zabytków na ziemi parafialnej przy kościołach, ale nie stało się to jeszcze powszechną i nie budzącą zastrzeżeń praktyką.

Na marginesie przedstawionego wątku sesji we Wdzydzach godzi się jeszcze dopisać kilka zdań ko-

mentarza do obrad na tak istotny temat ochrony dziedzictwa kulturowego regionu. Otóż w niektórych kręgach społeczeństwa, zwłaszcza lepiej obeznanych z kulturą materialną regionu, żywe jest przeświadczenie o niedostatku troski dla obiektów tej kultury, co nie zawsze można usprawiedliwić brakiem wystarczających środków. Sprawa nabiera dodatkowych aspektów w związku z bardzo zróżnicowaną proveniencją powstałych tutaj obiektów wymagających dziś ochrony ze względów ogólnokulturowych. Dlatego tej garści informacji i opinii z sesji we Wdzydzach nie należy traktować ani jako powiewu optymizmu, ani jako wyczerpującego ujęcia całego problemu, do którego trzeba będzie jeszcze nieraz wracać. (H.G.)

Wspomnienie o profesorze Karolu Głombiowskim

Cofam się myślą wstecz do roku 1971, do daty osiedlenia się Profesora w Gdańsku, do początków jego pracy w Uniwersytecie, kiedy spotykaliśmy się po raz pierwszy. Wiedziałem, że kończył gimnazjum w Wejherowie, że miejscowe środowisko cieszyło się z Jego powrotu w rodzinne strony z odległego Wrocławia.

Profesor Głombiowski zorganizował przy Instytucie Filologii Polskiej Zakład Nauki o Książce. Bardzo szybko stał się on kuźnią wykwalifikowanych bibliotekarzy. Na studiach dziennych, dla pracujących i na Studium Podypłomowym rzesze pracowników bibliotek nie tylko z Trójmiasta, ale i z województw północnej Polski nabywały wiedzę, albo ją doskonaliły właśnie w myśl założeń Profesora. Przyjęli je jako swoje Jego współpracownicy, których wychowywał i przysposobił do roli nauczycieli akademickich. Doceniono Jego osiągnięcia merytoryczne. Przyznano Mu tytuł Zasłużonego Nauczyciela PRL i profesora zwyczajnego, a całą pracę uhonorowano wysokimi orderami i odznaczeniami. Z osobistych kontaktów natomiast wylania się sylwetka uczzonego-humanisty, bez reszty oddanego swojej dyscyplinie, otwartego na potrzeby społeczne. Człowieka o wysokiej kulturze i wielkim sercu, strzegącego zasad Prawdy, Dobra i Piękna, które harmonijnie wcielał w życie.

Naturalnie do tych prostych stwierdzeń dochodziłem powoli, bo Profesor nie należał do ludzi łatwo otwierających się, zwierających ze swoich poglądów i myśli. Był raczej zamknięty w sobie, może lepiej — skupiony, skoncentrowany i opanowany, bardzo mało mówny na tematy osobiste. Czasem tylko otwierał się przy jakiejś niecodziennej okazji. Kiedy odnalazłem zapis z XVII w. o Jego przodku, działającym w Żukowie, przyznał, że opuścił Wrocław z chęci powrotu do kraju lat młodzieńczych, a przy okazji zdradził się z wielkiego umiłowania Wejherowa, troski o rozwój tego miasta, o jego wygląd, a szczególnie o zachowanie estetyki rynku i przywrócenie mu jak najdoskonalszego wyglądu, zgodnego z charakterem renesansowych założeń. Nie potrzebuję dodawać, że właśnie Renesans i Barok pociągały Go najbardziej i były umiłowanymi okresami, które badał jako bibliolog. Sądzę, że pisanie dedykacji na swoich książkach po łacinie płynęło właśnie z tego źródła — potrzeby przypominania korzeni naszej kultury, sięgających antyku. Na renesansową miarę kreował swoją osobę i we wszystkich chciał widzieć przede wszystkim zalety a nie wady.

Podobnie przy okazji którejś rocznicy wybuchu II wojny światowej wspominał o swojej przynależności do AK i przyznał się do posiadania odznaczeń bojowych.

W pracy społecznej i zawodowej wykazywał ogromny takt i to, co znowu przypomina wzory ludzi Renesansu, „miarę we wszystkim”. Nie narzucał

swego zdania, ale podawał je tak uargumentowane, że zyskiwało aprobatę i uznanie. To twierdzenie opieram na długoletniej obserwacji poczyniła na Radach Wydziału Humanistycznego UG, na posiedzeniach Rady Naukowej Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, czy Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, gdzie było mi dane współpracować z Profesorem.

Życie nie szczędziło Mu utrapień i przykrości. Dopiero po przejściu w 1983 r. na emeryturę uzyskał tytuł profesora zwyczajnego. Wypadek zgolił wyjątkowy, podkreślający Jego wielkie zasługi dla Nauki o Książce i uznający osiągnięcia w tym zakresie. Nie pracując zawodowo, pracuje jednak naukowo. Płonem tego była praca *Książka w procesie komunikacji społecznej*, w której zamknął swoje doświadczenia i przemyślenia. Spotkała się ona z różnym przyjęciem, wynikającym z innych założeń metodologicznych. Generalnie atakowano główną tezę, że bibliologia jest nauką autonomiczną, a chciano sprowadzić ją do nauki pomocniczej historii literatury czy innej dyscypliny naukowej. Leży przede mną ostatnia większa praca Profesora: *Czy bibliologia może wybić się na samodzielność?* (W odpowiedzi moim czytelnikom — rzeczywistym i urojonym). W dedykacji czytamy z głębokim wzruszeniem, że Autor ofiaruje mi ją „in pignus amicitiae” (jako rękojmię przyjaźni) z datą 5 grudnia 1985 r. Jest ona nie tylko odpowiedzią recenzentom rzeczywistym i urojonym, ale także i przede wszystkim Jego wyznaniem, czym ma być, czym powinna być Nauka o Książce. Była i jest szerokim, humanistycznym spojrzeniem na książkę i jej rolę. W dobie komunikacji audiowizualnej może wydawać się wielu, że rola książki w kulturze maleje, schodzi na drugi plan, ale On wierzył i był przekonany, że dla rozwoju kultury nieodzowne jest bezpośrednie kontaktowanie się z autorem tekstu, właśnie poprzez gotowy już wytwór, jakim jest książka. Pod tym twierdzeniem Profesora podpiszą się nie tylko Jego uczniowie, ale także ci wszyscy, którzy są najgłębiej przekonani, że książka nie jest tylko przedmiotem handlu, zwykłym towarem, ale czymś więcej — nośnikiem kultury i jej nieprzemijających wartości.

Ostatni raz spotkałem Profesora w czerwcu bieżącego roku. Był schorowany i zmęczony. Właściwie żegnał się, czego nie chciałem sobie uświadomić. Jak zwykle rozmawialiśmy o planach na nowy rok akademicki i... o książkach.

Odśpiewał cicho, godnie, w wieku 73 lat, 13 października 1986 r. Prosił, aby na Jego pogrzebie nie było pompy, której tak nie lubił. Zdawał sobie sprawę, że pozostawia po sobie lukę, niezastapioną w polskiej humanistyce, i pamięć Człowieka, który wcielał w życie te wartości, które tak lapidarnie ujmowali Rzymianie w formule: *Vir bonus*.

Cześć Jego pamięci!

WACŁAW ODYNIEC

Język Pomorza Zachodniego

Marek Cybulski

Nakładem PWN ukazała się praca Ewy Rzetelskiej-Feleszko zatytułowana „Pomorze Zachodnie. Nasz język dawniej i dziś”. Zewnętrznie bardzo podobna do „Kaszubszczyzny” H. Popowskiej-Taborskiej, wydana zresztą w tej samej serii, przypomina tę pozycję i innymi cechami, jak np. podejściem do tematu, ciekawym językiem. Przypomnijmy: opracowanie prof. Popowskiej-Taborskiej, zaopatrzone w podtytuł „Zarys dziejów”, stanowi swego rodzaju syntezę w dorobku naukowym autorki, lingwistki, badaczki różnych szczegółowych aspektów mowy kaszubskiej, a z punktu widzenia czytelnika charakteryzuje znakomicie najważniejsze i mniej ważne cechy kaszubszczyzny oraz szerzej ukazuje filologiczne i historyczne tło jej rozwoju.

Na Kaszubach, które z dawien dawna zamieszkuje rodzima ludność, mówimy o ciągłości językowej i kulturowej, dokumentujemy tylko jej kolejne przemiany. Na Pomorzu Zachodnim, jakkolwiek w przeszłości, przed germanizacją, stanowiło ono naturalny pas przejściowy między dzisiejszym Pomorzem Nadwiślańskim a obszarami, wówczas jeszcze słowiańskimi, dzisiejszej Meklemburgii i Połabii, dokonywały się liczne przemieszczenia etniczne i językowe. Zatem mowa dzisiejszych mieszkańców Pomorza Zachodniego nie jest prostą kontynuacją języka pierwotnych mieszkańców tych ziem. Odbicie tych własnych procesów znalazło wyraz w układzie książki. Składa się bowiem z dwóch części. Pierwsza — „Nasz język dawniej” — charakteryzuje słowiańską mowę mieszkańców tych ziem przed germanizacją, druga — „Nasz język dziś” — mówi o odmianie polszczyzny, kształtującej się tam w wyniku przemieszczeń ludnościowych po drugiej wojnie światowej.

Przedstawiając język dawnych Pomorzan autorka ukazała najpierw niezwykle złożoną sytuację źródłową w tym zakresie. Nie zachowały się bowiem żadne teksty pisane w języku naszych zachodnich pobratymców¹. W związku z tym językoznawcy, aby zrekonstruować ten język, zdani są na źródła pośrednie. Obficie więc korzystają z analizy różnego typu nazw toponomastycznych i imion najstarszych mieszkańców Pomorza Zachodniego, zapisanych w dawnych dokumentach i na mapach. Sama zresztą E. Rzetelska-Feleszko jest autorką monografii o nazwach miejscowych Pomorza Środkowego i wynikających z analizy tych nazw procesach fonetycznych, jakie zaszły w dialektach Pomorza Środkowego.

W „Pomorzu Zachodnim” przytacza nazwy pomorskich rzek, miast i wsi, podaje różne ich zapisy w ciągu dziejów i rekonstruuje najwłaściwszą, najbardziej pierwotną ich wersję. Odślania przed czytelnikiem tajemnice warsztatu językoznawcy-onomasty, przy niektórych nazwach podaje inne możliwości ich interpretacji, a przy nazwach niejasnych zagadnienie pozostawia otwarte. Na tym tle ciekawie przedstawia problemy, jakie się wyłoniły przed Komisją Ustalania Nazw Miejscowych, gdy już po zakończeniu działań wojennych trzeba było w miejsce nazw niemieckich wprowadzić zrekonstruowane stare nazwy słowiańskie. Mimo że w skład Komisji wchodziły też autorytety ówczesnej lingwistyki, nie potrafiła się ona ustrzec przed pomyłkami wynikłymi z pośpiechu jak najszybszego przywrócenia dawnych nazw.

Jedyną nie zgermanizowaną jeszcze w pełni ludnością Pomorza Zachodniego byli Słowińcy. Autorka wiernie streszcza ich losy, zainteresowanie nimi od XIX w. wśród językoznawców, pisze o ich zabytkach językowych oraz podaje, że po r. 1945 w wyniku błędów i wypaczeń ówczesnej administracji musieli opuścić ojczyznę. Pozostali po nich pamiątki kulturowe materialnej i duchowej. Teksty ich modlitewników nie mogą jednak stanowić dla nas przykładu języka zachodnich Pomorzan, ponieważ są one pisa-

ne w zasadzie po polsku, z pewnymi tylko naleciałościami kaszubskimi. Język Słowińców poza tym, odnotowany dość szczegółowo przez badaczy, jest odmianą kaszubszczyzny ze względu na geograficzną bliskość.

Zagadnienie charakterystyki języka zachodnich Pomorzan nie do końca wydaje się wyczerpane. E. Rzetelska-Feleszko podaje, że w archiwach oczekują na badaczy księgi parafialne i inne dokumenty, które na pewno warto zanalizować ze względu na zamieszczone tam spisy nazw osobowych.

W części „Nasz język dziś” przedstawia sytuację etniczną i językową dzisiejszego Pomorza Zachodniego. Współczesne społeczeństwo tych ziem to przybysze, lub ich potomkowie, z różnych stron dawnej Polski: południowych i centralnych polaci, z sąsiednich Kaszub lub z ziem, które po 1945 r. należą do ZSRR. Z tego kłębowiska różnych odmian dialektalnych powstał jeden wspólny język, ogólnopolski. W sytuacji bowiem, gdy w jednej miejscowości mieszkali obok siebie ludzie posługujący się różnymi dialektami, ze względu na konieczność porozumienia się między sobą, wyeliminowania nieporozumień oraz nie chcąc narazić się na śmiech sąsiadów, musieli oni wyzbywać się regionalizmów. Kształtują się tu tylko, podobnie jak w innych częściach Polski, gwary miejskie, którymi się posługują przedstawiciele pewnych środowisk i profesji (np. studenci, uczniowie itp.).

Książeczka E. Rzetelskiej-Feleszko jest adresowana przede wszystkim dla uczniów szkół średnich, nauczycieli i studentów. Napisana ciekawym, przystępnym językiem nie rezygnuje z wysokiego poziomu merytorycznego i precyzji naukowych sformułowań. Zawiera niezbędne dla mniej przygotowanego czytelnika wiadomości ogólne, ukazuje bowiem słowiańską rodzinę językową, miejsce w niej polszczyzny i lechickich dialektów nadmorskich oraz daje najpotrzebniejsze historyczne wiadomości o Pomorzu. Zawiera także indeks, bibliografię i ciekawe fotografie.

Chciałoby się może jeszcze, aby autorka ukazała więcej faktów towarzyszących rozwojowi i dyskryminacji języka Pomorzan. Były przecież na dworze książęcym w Szczecinie, wśród elity intelektualnej tamtego społeczeństwa XVI w. osoby, które, jak np. T. Kantzow, realizowali germanizacyjny program tegoż dworu i choć sami zgermanizowani, mocno byli jednak **zakochani** w słowiańskiej przeszłości i tę przeszłość eksponowali w swych kronikach. Obok niego można tu jeszcze zwrócić uwagę na innego autora — Bugenhagena. A rola Słupska i tamtejszych środowisk w utrzymaniu rodzimej mowy².

Są to jednak tylko pobożne życzenia. Autorka przecież nie musiała o te zagadnienia poszerzać książki. Nie wychodząc poza swój krąg badawczy, dała nam bardzo dobre opracowanie języka naszych zachodnich sąsiadów znad Słupi i Odry. A problematyka poruszona wyżej domaga się osobnego opracowania, tym bardziej że mamy już nieco szczegółowych rozwiązań w tym zakresie (ustalenia K. Ślaskiego w książce „Przemiany etniczne na Pomorzu Zachodnim” są już nieco przestarzałe). Może więc już czas ująć sprawy rozwoju, zainteresowania rodzimą mową i jej dyskryminację przez czynniki administracyjne na Pomorzu Zachodnim w nową syntezę?

¹ Dr Z. Szultka ze Słupska, historyk, twierdzi, że w archiwach Polski i NRD znajdują się teksty pisane w języku zachodnich Pomorzan. Są wśród nich nie tylko dokumenty religijne, ale także zabytki świeckie, będące odzworowaniem żywej mowy tamtych ludzi. Sprawdzenie i udokumentowanie tej informacji okazałoby się językoznawczą rewelacją.

² Zupełnie inaczej niż dotychczas dr Z. Szultka ocenia rolę w tym zakresie dworu książęcego w Słupsku i M. Mostnika-Pontanusa.

LISTY

UZUPEŁNIENIE O KS. JANIE SIEGU

We wrześniowym numerze „Pomeranii” Zbigniew Gach („Epilog”, s. 9) podaje, że ks. Jan Sieg, proboszcz ze Starzyna, za udzielenie ślubu w języku polskim państwu H. i L. Kužel w dniu 21 kwietnia 1940 roku, został następnego dnia aresztowany przez gestapo i zginął prawdopodobnie w Dachau.

W rzeczywistości ks. Jan Sieg został aresztowany dopiero 25 kwietnia 1940 roku, z powodu napłynięcia sporej ilości skarg miejscowych Niemców, niezadowolonych z nieugiętej postawy polskiego proboszcza. Powodem aresztowania nie był więc ten jeden wspomniany ślub, bo było ich więcej i to udzielanych po polsku z własnej inicjatywy proboszcza, mimo że go o to nie proszono (np. M. Kickowskiemu z wdową Grabowską, S. Kromkiemu z S. Dąbrowską). Podobne nieścisłości zawarł Augustyn Necel w swej książce „Nie rzucim ziemi”, Warszawa 1969, s. 193—196.

Ks. Jan Sieg po aresztowaniu został przewieziony do wejherowskiego więzienia, gdzie zaraz zaczął znęcać się nad nim. Scharführer Licau pchnął i kopnął go tak, że ksiądz spadł ze schodów rozbijając sobie głowę i nos. Pewne kroki w celu uwolnienia więźnia czynił ks. Karol Knop, Komisarz Biskupi z Wejherowa oraz rodzina Grass, Niemcy, właściciele majątku Kłanino.

Dziwnym zbiegiem okoliczności ks. Sieg dostał się wprawdzie do obozu Neuengamme k. Hamburga, skąd dnia 24 sierpnia 1940 roku przewieziono go do Dachau, nr obozowy 15600. Tam pielęgniarze Zimmerman i Spiess z obozowego rewiru chorych przez szereg dni chorym więźniom dosypywali do jedzenia truciznę. Chorzy tracili przytomność na kilka dni, a następnie umierali. W taki też sposób zmarł 2 czerwca 1941 roku w Dachau ks. Jan Sieg, proboszcz ze Starzyna.

ks. Jan A. Doppke
Lublin

NA MARGINESIE CYKLU ARTYKUŁÓW „JAPAN”

Z dużym zaciekawieniem przeczytałem cykl artykułów o życiu i działalności okupacyjnej Ludwika Kossak-Głowczewskiego — „Japana”. Oby takich artykułów było więcej — ilustrują odwagę, pomyślność i poświęcenie naszych ojców dla kraju. Dobrze by było, gdyby chociaż jeden numer „Głosu Serca Polskiego” mógł nam być prezentowany. Wezwanie autora nie powinno pozostać bez echa. Mimo dotychczasowych niepowodzeń nie

traćmy nadziei, może jednak ktoś je przechowuje i udostępni redakcji.

Drobnostka: osobnik, który przychylił się do męczeńskiej śmierci księdza Jana Siega, proboszcza parafii starzyńskiej, noszący w czasach okupacji nazwisko Rath, nazywał się przed wojną Racyński. Pochodził z Łodzi i uchodził za Polaka wyznania ewangelickiego, dlatego władze szkolne powierzyły mu kierownictwo szkoły podstawowej w Helu, gdzie wówczas przeżywała ludność wyznania ewangelickiego. Wkrótce jednak okazało się, że nie Polsce służył, lecz Niemcom. Ożenił się z córką bogatego rybaka i wdał w tajemnicze prace polityczne, co pociągnęło za sobą zwolnienie go z pracy przez Kuratorium Okręgu Szkolnego w Toruniu. On jednak w Helu pozostał, w dodatku proceder polityczny nasilił, w wyniku czego został w roku 1938 wydany z półwyspu. Udał się do Niemiec i po Wrześniu powrócił na wybrzeże, by w Starzynie objąć funkcję Ortsgruppenleitera i zarazem kierownika szkoły podstawowej. Jedną z pierwszych jego ofiar był ksiądz proboszcz Sieg.

Józef Ceynowa
Czersk

NA SPOTKANIU Z ŁUŻYCZANAMI

W celu poznania Łużyc Wschodnich oraz popularyzacji wiedzy o historii i kulturze ich dawnych mieszkańców, w sierpniu 1986 r. odbył się w Zgorzelcu XVI Centralny Zlot Aktywu Krajoznawczego PTTK, w którym uczestniczyli także Łużyczanie. Wykorzystałem chwilę, by miłym gościom z Budziszyna przekazać, jako członka Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego z Gdańska, serdeczne pozdrowienia, a także wręczyć wydawnictwa o Pomorzu Gdańskim. Z rozmowy tej wynikało, że interesują się oni historią i kulturą Kaszub oraz Pomorza. Otrzymują też miesięcznik Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i powiedzieli: „Dziękujemy za przesłanie nam „Pomeranii”. Sądję, że coraz więcej będzie okazji, by kontynuować przyjacielskie kontakty kulturalne i naukowe między Pomorzem Gdańskim i Łużycami.

Czesław Skonka
Gdańsk

UWAGI DO DYKJONARZA

„Gdański dykjonarz” Jerzego Sampa, zapoczątkowany w „Pomeranii” nr 9/86, zapewne ukaże się także w odrębnej publikacji. Oby z ilustracjami i oby bez nieścisłości, których już w pierwszym jego odcinku znalazłem kilka.

BŁĘDNIK. W nocy 9/10 IV 1807 roku nie wycięto całej Wielkiej Alei, ale tylko jej część później odtworzoną przez nowe nasadzenia. Granicę między starszą i młodszą częścią alei widać i dzisiaj wyraźnie.

W 1807 r. aleja liczyła zaledwie 37 lat, co, jak na lipy, nie jest wielkim sędziwym.

Wiadukt Błędnik nie został w 1945 r. zniszczony, ale tylko uszkodzony, więc nie odbudowywano go, ale tylko — jak to słusznie napisał J. Samp — wyremontowano.

CHLEBNICKA jest przedłużeniem Piwnej. Słowo „jakby”, występujące w tekście J. Sampa, jest nie na miejscu.

Ten ciąg uliczny jest rzeczywiście ważną arterią Dzielnicy Mariackiej, ale dzielnica ta nie jest tożsama z Głównym Miastem, które składa się z niej, rozciągającej się od Podwału Przedmiejskiego (Alej Leningradzkiej) do ul. Szerokiej, i z Dzielnicy Dominikańskiej, której granicą jest Podwałe Staromiejskie.

Ponadto, gdy pisze się o poszczególnych domach stojących przy tej ulicy, to dobrze by było podawać ich numery oraz nazwy instytucji je dziś zajmujących, np. podać, że Szkołę Mariacką (Chlebnicka 2) odbudowało Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki według projektu mgr. inż. arch. Romualda Kokoszki.

Janusz Kowalski
Gdańsk

ŻYCIE ZRZESZENIA

LITERATURA KASZUBSKA

Dnia 26 września kartuski oddział Zrzeszenia zorganizował spotkanie na temat: „Współczesna literatura kaszubska”. Informację przygotowali Roman Regliński i Feliks Marszałkowski.

Przypomniano, że pierwszym opracowaniem literatury kaszubskiej był „Przegląd literatury kaszubskiej” W. Pniewskiego, wydany w 1929 r., następnymi: „Regionalizm kaszubski” A. Bukowskiego (1950), „Zarys historii literatury kaszubskiej” L. Bądkowskiego (1959), „Piętno Smetka” J. Drzeżdżona (1973), „Krótki rys literatury kaszubskiej do 1939 r.” L. Roppla i „O współczesnej literaturze kaszubsko-pomorskiej” L. Bądkowskiego (oba teksty w: „Pomorze Gdańskie” nr 4, 1967), „Historia literatury kaszubskiej” F. Neureitera (1982), „Poezja rodnej mowy” J. Sampa (1985). Ostatnio otrzymaliśmy książkę J. Drzeżdżona „Współczesna literatura kaszubska”, której fragmenty ukazały się uprzednio także w kwartalniku „Regiony”.

Małgorzata Jakusz

W LIPUSZU

Powstały przed dwoma laty, w maju 1984 roku, Lipuski Oddział Zrzeszenia liczy obecnie 47 członków. Oddział, prowadzony przez Felcję Baska-Borzyzkowską, działalność swą rozpoczął od prac konsolidujących członków. Jesienią porządkowano cmentarz lipuski, szczególną uwagę dając zapomniane groby rodzin kaszubskich. Jeszcze pod koniec roku lipuszanie spotkali się z „Krebanami” na wieczornej pieśni i koled kaszubskich, który wykorzystano także na naukę nie znanych dotąd pieśni.

W roku 1985 gośćmi oddziału byli Jerzy Samp i Stanisław Janke. Szczególną uwagę skupiło spotkanie z Jerzym Sampem, który mówił na temat swej ostatniej książki „Poezja rodnej mowy”. Obydwa spotkania odbyły się w ra-

mach Dni Kultury Pomorskiej. Rok 1988 rozpoczęło spotkanie z Józefem Borzyszkowskim, które poświęcono sylwetce i działalności Jana Karnowskiego. Ponadto lipuszanie przystąpili do pracy przy organizacji izby regionalnej w zabudowaniach kościoła poewangelickiego. Znajdą w niej miejsce ekspozycje mówiące o historii i kulturze okolic Lipusza zbierane od lat przez członka oddziału, Mariana Lemańczyka, autora „Monografii Lipusza”, która ma się ukazać nakładem Oddziału Gdańskiego.

Latem lipuszanie zorganizowali spotkanie z uczestnikami, bawiącymi w Lipuszu, i Kaszubskiego Spływu Kajakowego, prezentując swój dotychczasowy dorobek. Wystąpili również dzieci ze szkolnego zespołu regionalnego (znajdującego się pod opieką oddziału), recytując wiersze kaszubskie. W zamian byli gośćmi na ognisku spływowym poświęconemu Remusowi i wzięli udział w wycieczce do Łubiany. Również latem lipuszanie pomagali harcerzom gdańskim w tropieniu śladów Remusa i miejscowych ciekawostek.

We wrześniu rozpoczęto przygotowania do cyklu „spotkań lipuszkich” poświęconych historii i dorobkowi miejscowości. (r.n.)

W ODDZIALE RUMIAŃSKIM

Rocznicowe refleksje w stulecie urodzin Jana Karnowskiego snuła na zebraniu ogólnym oddziału w dniu 10 czerwca Ludwik Bach. Były one wprowadzeniem do wycieczki, którą oddział zorganizował na odsłonięcie pomnika poety w Brusach w dniu 22 czerwca.

5 lipca członkowie oddziału i sympatycy spotkali się przy ognisku. Przy wórze akordeonu śpiewaliśmy kaszubskie piosenki, po czym odbyła się zabawa pod gołym niebem. Duża liczba uczestników w różnym wieku świadczy o potrzebie organizowania podobnych imprez. Znaczny wkład w organizację wnieśli kol. kol. Mieczysław Grabowski, Henryk Kluk, Ryszard Hinc.

9 września gościliśmy Edmunda Puzdrowskiego. Tematem spotkania była literatura kaszubska. Przedstawiając temat lektor prezentował książki, będące białymi krukami literatury kaszubskiej.

Wycieczkę do Krainy Słowińców zorganizowaliśmy 14 września. Zwiedziliśmy Kluki (skansen, cmentarz), Smołdzino i odbyliśmy spacer na wydmy, tzw. Sowie Góry. Rolę przewodnika pełnił L. Bach. W drodze powrotnej chętni prezentowali wiersze, piosenki oraz gadki kaszubskie. (Lub.)

MISTRZYNI HAFTU PUCKIEGO

W tradycyjnym finale konkursu na „mistrzynię haftu Ziemi Puckiej”, który organizuje Muzeum Ziemi Puckiej przy współudziale Oddziału Puckiego ZK-P przyznano: I miejsce Brygidge Hochszulc, II — Katarzynie Urbankowskiej, III — Wandzie Urych. Nagrodę publiczności otrzymała, podobnie jak w roku ubiegłym, Elżbieta Miroszczuk, która wraz ze zdobywczyniami dwóch pierwszych miejsc, reprezentuje klub „Mikołajek”, działający przy puckim Zrzeszeniu.

ZRZESZENIE W LEŚNIEWIE

23 lipca Zarząd Oddziału Puckiego podjął jednogłośnie uchwałę o utworzeniu klubu ZK-P w Leśniewie. 16 września w Leśniewie doszło ostatecznie do zawiązania się klubu. W zebraniu założycielskim wzięli udział działacze puckiego Zrzeszenia: J. Orzeł, S. Cygiert, P. Tarnowski i J. Trybull, a także sołtys wsi S. Dettlaff, W. Grzywacz (prezes OSP), Z. Krzeminski (dyrektor szkoły) i J. Rigga (senior mieszkanców wsi). Członkowie puckiego oddziału przedstawili cele i założenia statutowe Zrzeszenia, historię ruchu kaszubskiego i potrzebę kultywowania rodzimej tradycji. Wolę utworzenia samodzielnego klubu przy Oddziale Puckim wyraziło 18 obecnych członków Zrzeszenia zamieszkałych w Pucku.

Wybrano zarząd klubu w składzie: Franciszek Okuń (prezes), Edmund Cieślak (z-ca prezesa), Zenon Lademann

(sekretarz), Monika Karsznia (skarbnik), Andrzej Błaszczak i Zbigniew Okuń. Klub w Leśniewie chce pracować, poprzez organizowanie w swoim środowisku większych spotkań z twórcami i naukowcami, poprzez propagowanie wydawnictw, kultywowanie lokalnej obrzędowości oraz organizowanie wieczorów muzyczno-poetyckich i spotkań towarzyskich, na rzecz mobilności kaszubszczyzny, poznania historii i tradycji Kaszub. (Z.O.)

AKT EREKCYJNY POMNIKA ABRAHAMA

1 września nastąpiło uroczyste wmurowanie aktu erekcyjnego pomnika Antoniego Abrahama. Do licznie zgromadzonej społeczności Pucka przemówił znany działacz Zrzeszenia, przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Antoniego Abrahama — dr Stanisław Cygiert. Akt erekcyjny, spisany w języku polskim i po kaszubsku odczytał Romuald Łukowicz, sekretarz Komitetu i Stanisław Cygiert. Oto jego fragmenty w obu wersjach: „W odczłowiek wdzaczłewoté, z dejojwigo dzejani Zrzeszeni Kaszebsko-Pomorzczgo, przé béłnim wsparciu i wespółdzejaniem urzadzni i pollicznigo przedniactwa miast-gminé w Pucku nén pamiancé dokóz powstani pomnika Toné Obrama w Pucku, sóna naji Zémi, stanowi i w mólu przindnygo pomnika wmurowiwajó

MIESZKANCE PUCZI ZÉMI”

i poniżej: „Antoni Abraham (1869—1923) to: Wielki patriota polski. Trybun ludowy Pomorza. Budzieli ludu kaszubskiego w okresie zaboru pruskiego. Działacz na rzecz powrotu Pomorza w granice odradzającej się Polski. Delegat Kaszubów na konferencję pokojową w Wersalu”.

Akt erekcyjny z wykazem dotychczasowych ofiarodawców na rzecz budowy pomnika wmurowali: S. Cygiert, R. Łukowicz, T. Popek i T. Bolduan. Trzeba dodać, iż został już wykonany cokół (przez pracowników PBK w Pucku), a pomnik realizowany jest według projektu artysty Sławoja Ostrowskiego.

W uroczystości brali udział przedstawiciele władz miasta i gminy, licznych przedsiębiorstw Ziemi Puckiej, które wspomagają Społeczny Komitet oraz członkowie Zrzeszenia ze swoim sztafetem. (Z.O.)



ŚMIERDZĄCA RZKA

Mechelinki to niewielka kaszubska wieś położona na wschodnim skraju Zatoki Puckiej. Od wielu lat jej mieszkańcy udostępniają w sezonie letnim pokoje gościnne dla licznie zjeżdżających wczasowiczów z całej Polski.

Niestety, ani wczasowicze ani mieszkańcy nie mają tu lekkiego życia. Nad wsią bowiem unosi się zapach, który nie należy do przyjemnych. A źródłem fetoru jest niewielki potok przepływający przez wieś i wpadający tu do morza. Starsi mieszkańcy nazywają go Zagorską Strugą, pracownicy oczyszczalni mówią o nim Konitop Leniwy, zaś młodzi mówią po prostu „śmierdząca rzeka”. Jej mętna, wręcz stalowoszara woda od wielu lat wlewa się do zatoki i od lat czyni spustoszenie wśród ryb i ptaków. Za ten skandal ekologiczny odpowiedzialne są władze miejskie Gdyni, które w tym właśnie potoku znalazły miejsce zrzutu z kolektora ścieków bytowo-gospodarczych i przemysłowych miasta. Powstała w 1964 roku oczyszczalnia mechaniczna jest w stanie oczyścić ścieki tylko w 50 proc., więc do morza płynie bryja. Zalegający dno potoku szlam gnije powodując nieprzyjemny zapach, a jego cząsteczki unoszone bystrym prądem tworzą nieprzyjemną zawiesinę.

Budowana od 2 lat oczyszczalnia biologiczna, która ma być oddana do użytku w 1988 r. (!?) ma, jak zapewnia inwestor, oczyścić ścieki w 90 proc. i tym samym znacznie poprawić stan potoku. (r.n.)

„WIADOMOŚCI LEKARSKIE” O MAJKOWSKIM

W 10 tegorocznym zeszytacie „Wiadomości Lekarskich”, dwutygodnika wydawanego przez Polskie Towarzystwo Lekarskie, ukazał się obszerny artykuł „Aleksander Majkowski — lekarz i pisarz”. Pomieszczono go w dziale „Z historii medycyny”. Autor, doc. dr hab. Eugeniusz Kucharz ze Śląskiej Akademii Medycznej, tak uzasadnia we wstępie potrzebę przypomnienia tej sylwetki: „Dr Aleksander Majkowski był lekarzem, który zasłynął jako jeden z najwybitniejszych pisarzy i wydawców kaszubskich, działacz społeczny oraz przywódca ruchu młodokaszubskiego. Jego życie i działalność przepadła na przełomie wieków XIX i XX, a obecnie jest często zapomniana i pomijana w pracach historyczno-medycznych”. Więcej w artykule o działaczach i pisarzach niż lekarzom, bo też pozawadomowe pasje nadają właściwy wymiar tej niepospolitej postaci, chociaż profesję medyczną Majkowski nigdy nie porzucił, będąc przez ponad 30 lat praktykującym lekarzem. Szczegółowo i wyczerpująco nakreślona biografia uzupełnia podobizna Majkowskiego oraz reprodukcje kart tytułowych pierwszych wydań jego utworów: eposu satyrycznego „Jak w Koszczynie koscelyn go obrele”, zbioru poezji „Śpiewe i frantówce” oraz powieści „Zéć i przigodé Remusa”, o której autor artykułu pisze, że to „pienwsza i najwybitniejsza powieść kaszubska, mająca istotne miejsce w całokształcie literatury polskiej”. (Sz)

W dn. 25 i 26 września 1988 r. w Sali Słupskiego Teatru Dramatycznego wykonano w ramach koncertu symfonicznego m.in. utwory Kazimierza Guzowskiego „Pamięci nieskończoność” (na orkiestrę smyczkową i sopran) oraz Krzysztofa Olczaka „Szpegawsk in memoriam” (na smyczki i sopran). Obie kompozycje powstały do wierszy Jerzego Stachurskiego. Wykonawcami byli: Słupski Orkiestra Kameralna, Tadeusz Babiński (dyrygent), Teresa Przeradzka (sopran), Adam Gromadzki (słowo o muzyce). (J.J.)

KWARTALNIK „POMORZE”

Na początku października br. pojawił się w kioskach „Ruchu” kwartalnik Związku Przyjaciół Pomorza pt. „Pomorze”. Numer podwójny (12—13, formatu naszego pisma, po raz pierwszy jest drukowany. Poprzednio „Pomorze” było powielane. Redaktorem naczelnym jest Krzysztof Kuczkowski; redakcja składa się z 6 osób. Kolegium przewodniczy Bernard Kula, prezes ZPP. Pojedynczy numer „Pomorza” będzie miał około 30 stron i cenę 50 zł.

Życzymy udanych tekstów.

Redakcja „Pomeranii”

PASJE NAUCZYCIELKI Z BRZEŻNA SZLACHECKIEGO

Gertruda Ciemińska już ponad dwadzieścia lat pracuje jako nauczycielka w Szkole Podstawowej w Brzeźnie Szlacheckim. W dzieciństwie, dzięki matce, poznała tajemniki rodzimego haftu. W 1958 roku jako licealistka uczestniczyła w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim i otrzymała II nagrodę za interpretację wierszy kaszubskich. Kilka lat później, jako słuchaczka Studium Nauczycielskiego w Bydgoszczy, napisała pracę dyplomową o siedmiokolorowym haście, opierając się na twórczości Leonarda Brzezińskiego z Wiela. Przez wszystkie lata pracy w szkolnictwie dzieli się zainteresowaniami i wiedzą o regionie ze swoimi uczniami. Prowadzi kółko hafciarskie, które cieszy się dużym powodzeniem. Wiele uczennic po wyjściu ze szkoły na trwałe związało się ze sztuką wyszywania. Młode hafciarki eksponują swo-

je prace w pomieszczeniach szkoły, a w strojach wyszywanych przez nie występują uczniowie w czasie szkolnych uroczystości i uczestnicy Konkursu Recytatorskiego Prozy i Poezji Kaszubskiej, którymi Gertruda Ciemńska również się opiekuje. Wychowankowie pani Gertrudy ozdabiają też motywami kaszubskimi szkołę i niektóre obiekty we wsi, np. przystanek autobusowy, który wita przyjezdnych siedmiokolorowymi kompozycjami. Misterne kompozycje, ale już na płóciennych obrazach, można zobaczyć w domu nauczycielki. Te urzekają nie tylko zmysłnymi układami kwiatów, ale także starannością wykonania.

Przyjaciele i znajomi mówią jej, że zmarłowała talent plastyczny. W młodości bowiem miała szansę zostać studentką wyższej szkoły plastycznej, ale zrezygnowała z niej, bo wówczas warunki rodzinne na to nie pozwalały. A jednak potrafiła, mimo wszystko, ocalić i właściwie wykorzystać swój talent, o czym zaświadcza liczne grono jej wychowanków, którzy dzięki niej poznali sztukę kaszubskiego wyszywania i piękno rodzinnej mowy. (s.j.)

SOLIDARNOŚĆ LIPNICZAN

W „Przyjaciółce” nr 37 ukazał się interesujący reportaż „Świat nie jest taki zły” Hanny Bielskiej. Rzecz dotyczy mieszkańców kaszubskiej Lipnicy, którzy solidarnie zaopiekowali się jedenaścioręgiem sierot po Kazimierze i

Kazimierzu Spiółkach. Dzieci straciły rodziców w ciągu niespełna dwóch lat. Tuż po pogrzebie ojca, na wiejskim zebraniu jeden z mieszkańców powiedział, że „rozdzielanie tych dzieci byłoby wielką krzywdą, a tej krzywdy one już dość zaznały od losu! Zaopiekujemy się nimi. Zbudujemy dla nich dom. Wszyscy przecież wiedzą, że zmarły Kazimierz za życia jeszcze kupił budowlaną działkę i materiały zaczął gromadzić. Czy nie stać naszej wsi na to, żeby rozpoczęcie przez zmarłego dzieło doprowadzić do końca?!”

Apel nie pozostał bez echa. Powołano komitet pomocy prawnej i materialnej jedenaścioręgi dzieciom. Na komitetu (Bank Spółdzielczy Lipnica nr 2378-132) zaczęły wpływać pierwsze wpłaty, nie tylko od osób prywatnych, ale i różnych instytucji z Lipnicy i z okolicznych wsi. Gdy reporterka odwiedziła wieś, gotowe już było podpiwniczenie i parter (dom będzie piętrowy). Przy budowie oprócz mieszkańców pomagają także dzieci Spiółków i ich koledzy ze szkoły. Najstarsze z nich przyjęły rolę opiekunów: Sławek, który w tym roku został przyjęty do Akademii Medycznej w Bydgoszczy i Dorota, uczennica Technikum Gastronomicznego w Słupsku. Wszystkie dzieci są bardzo samodzielne, pomagają sobie w nauce i pracach domowych. Na razie mieszkają w agromonówce, jako że ojciec był lekarzem weterynarii. Autorka reportażu zastała tam jedną z rodzeństwa — siedmioklasistkę Zdzisławę, której tego dnia przy-

padło sprzątanie i gotowanie. Dziewczynka zwierza się:

„ — Do lipnickiej szkoły chodzi nas teraz sześcioro. A Januszek do przedszkola. Na zmianę go odprowadzamy, najczęściej Bogumił albo Marysia. A czasem Antek. Nauka idzie nam ogólnie biorąc średnio, to znaczy jest tak: starsi uczą się bardzo dobrze, młodszy słabiej (...).

Zdzisia dobrze pamięta ten najgorszy czas w ich życiu. Najpierw te dni po śmierci mamy, kiedy tato do nich mówił, że uczyni wszystko, żeby rodzina była zawsze razem. A potem po śmierci taty i pewnego dnia jakiś budzący przerażenie telefon, kiedy ktoś zapytał: no to kiedy mamy przyjechać po najmłodszych? Zdzisia pamięta doskonale, jak im ludzie pomagali w najtrudniejszych chwilach: lekarze weterynarii na przykład, z całego województwa złożyli się, opłacili koszty pogrzebu, kupili tyle potrzebnych rzeczy, nawet pralkę i lodówkę. A jeszcze wcześniej po śmierci mamy Urząd Gminy dał pieniądze na kupno ubrań, tapczanu, bielizny pościelowej. I obłady dla sześciorga z nich opłacono w najlepszym internacie. Zdzisia pamięta także pierwszą smutną Gwiazdkę po śmierci rodziców. Koło gospodyń przygotowało prezenty.

— Nie czuliśmy się opuszczeni. Właściwie zawsze było pewne, że jakoś z pomocą ludzi wybrniemy. A potem dowiedzieliśmy się, że będziemy mieli nowy, piękny dom!...” (s.j.)

Poprzez cierpienie

Nazwisko Zbigniewa Supernaka z Sierakowic dość często pojawia się na łamach prasy lokalnej i nie tylko. Uczestniczy bowiem w wielu konkursach rzeźbiarskich i niejednokrotnie znajduje się w gronie laureatów. Tak było w konkursach: dla uczczenia pamięci Stefana Żeromskiego, współczesnej sztuki ludowej Kaszub, na szopkę i obrzędy Bożego Narodzenia i innych. Co jednak można wyczytać z suchych notatek prasowych? Że jest jednym z tych twórców, którzy potrafią wykorzystać swój talent i którym nie brak temperamentu?

By poznać prawdę, trzeba zobaczyć rzeźby Zbigniewa Supernaka, wsłuchać się w jego ściszony głos, przerywany często milczeniem, gdy mówi o sobie i swojej pasji. Można powiedzieć, że początek jego życiowej drogi układał się jak wielu jego rówieśnikom z rocznika 1948. Urodził się w Sierakowicach, gdzie ukończył szkołę podstawową, w Gdańsku, w Szkole Budowy Okrętów wyuczył się zawodu hydraulika, potem zaczął pracować w stoczni, założył rodzinę, urodził mu się syn. Ale oto, w to ustabilizowane, zwyczajne życie wkradł się dramat, który zabrał mu to, co dotychczas uzyskał. Najpierw przechodzi operację żołądka, później głowy, wielokrotnie przebywa w szpitalach i sanatoriach; nie może już pracować zawodowo. Z trudem układa słowa, ma zaburzenia równowagi i wzroku. Opuszczony w tym trudnym okresie przez najbliższą osobę, wraca do rodzinnego domu, do Sierakowic. Wtedy, między jednym pobytem w szpitalu a następnym, mógł poddać się obezwładniającej beczynności, bierności, skazać siebie na niewolę choroby. Ale nie zrobił tego. Przywołał do życia swój talent do sztuk plastycznych, z którym, jak to często bywa, pozostał się po latach dzieciństwa. Zaczął rzeźbić, malować. Rzeźbienie, po pierwszych próbach, wciągnęło go najbardziej. Gdy zawiózł pierwsze prace do „Cepelii”, powiedziano mu, że są dobre i że chętnie przyjmą następne. Ta ocena, jak i późniejsze sukcesy w konkursach, pozwalają mu wierzyć w siebie. W ciągu kilkunastu lat współpracy z „Cepelią” komisja kwalifikacyjna odrzuciła mu tylko jedną pracę. Teraz rzeźby odwozi jego ojciec — sam już nie może wybrać się w podróż. Ojciec, emerytowany kolejarz rodem z radomskiego, który osiadł w Sierakowicach tuż po wojnie, został jego najwierniejszym opieku-



nem. Wszędzie mu towarzyszy i pomaga w wielu sprawach, jak przy budowie w rodzinnym obejściu domu, w którym teraz mieszka i pracuje. Wnętrze sam zaprojektował. A więc przytulną pracownię, kapliczkę, w której zamyka się na długie chwile religijnych rozważań i pokój, który teraz wypełniają książki z dziedziny sztuki i pomeranika, roczniki „Pomeranii”.

Figurki Zbigniewa Supernaka oddają bolesne doświadczenie ich twórcy. Brodaci i długowłosi starcy mają twarze porysowane boleścią i smutkiem, a kolor czarny, którym ostatnio je pokrywa i długie szaty upodabniają je do mnichów, a może raczej pustelników. To bolesne piętno ma ukrzyżowany Chrystus, mają rybacy i chłopcy, którym dodaje przedmioty przypisujące ich do ziemi kaszubskiej. Bolesny, zamknięty świat Zbigniewa Supernaka zmusza do refleksji nad ludzkim cierpieniem. (s.j.)



Wciąż u siebie

Matka Boska Swarzevska, Królowa Kaszubów, Pani Bałtycka, Opiekunka Rybaków, Gwiazda Morza, Nasza Rybaczka. Ma wiele imion, a w każdym jest przestrzeń, wiatr, przypomnienie ludzkiego trudu i jakaś serdeczna, niemal rodzinna poufałość.

Ta figurka z lipowego drzewa ma niewiele ponad pół metra wysokości. Nieznany, piętnastowieczny rzeźbiarz umieścił Jej oczy nieregularnie, jedno troszkę wyżej od drugiego. Półśmiejch też jakiś falisty, ulotny, jakby pojawił się tylko na chwilę jako sygnał nawiązania kontaktu. Nie ma w Niej hieratycznej powagi i niezmienności oficjalnego wizerunku; wygląda jakby dawała się każdemu osobno, każdemu trochę inaczej.

Dzień 16 lipca to Jej święto. Jest ze mną ktoś, kto brał udział w takim samym odpuszczeniu w roku 1938, tuż po Jej koronacji. Był wtedy małym dzieckiem, ale zapamiętał szumną pielgrzymkę Kaszubów z Półwyspu Helskiego na łodziach, zapamiętał, jak w swoich tradycyjnych strojach przyklekali

przed kapliczką-studzienką i nabierali kubkami na lince uświęconą wodę.

Dziś nie przypływają łodzie, wszyscy idą piechotą. Sporo też samochodów. Nie ma regionalnych strojów, przeważają koszulki z napisami Polish Power albo American Football. Woda w studzience wyschła; ludzie jeszcze klęczą i grzechoczą po dnie kubkami, ale naczynia wracają puste.

Ale kiedy się podejdzie pod mury kościoła otoczone konfesjonalami z długimi kolejkami wiernych, kiedy zagra uroczysta orkiestra dęta, kiedy dziewczyny z zielonymi wiankami i ogorzali od wiatru mężczyźni ruszą w procesji z feretronami, obrazami i przenośnymi ołtarzami, kiedy Biskup podniesie rękę do błogosławieństwa, a goście z Włoch podziękują spontanicznie Polsce za takiego Papieża i za taki cudowny, rozmodlony, morski dzień, wtedy czuje się mocno, że Matka Boska Swarzevska — chociaż inaczej niż pół wieku temu — wciąż jest na swoim gospodarstwie, wciąż u siebie.

Ewa Szumańska